

Fabio Chiusi

BLACK MIRROR

CZY TO JUŻ SIĘ DZIEJE?

**Książka oparta na fenomenalnym serialu
platformy Netflix**

Fabio Chiusi

BLACK MIRROR

CZY TO JUŻ SIĘ DZIEJE?

Przełożyła z włoskiego
Agata Pryciak



Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału

Io non sono qui. Black Mirror

Projekt okładki

NATALIA TWARDY

Koordinacja projektu

PATRYK MŁYNEK

Redakcja

MAGDALENA SZAJUK

Korekta

JOANNA RODKIEWICZ

Skład

LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

World copyright © 2018 DeA Planeta Libri S.r.l., www.deaplanetalibri.it

Polish edition © Publicat S.A. MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6012-6

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp. Historie z tego świata

I. Computer love

II. Życie bez końca

III. Zaufaj mi

IV. Pamięć absolutna

V. Oszustwo

VI. Awatar walki, awatar władzy

VII. Bez obaw

VIII. Podłączeni i ocaleni

IX. Gdzie koniec, tam nowy początek

Posłowie. Czarne lustro przed *Czarnym lustrem*

Od wydawcy polskiego

Bibliografia

WSTĘP

HISTORIE Z TEGO ŚWIATA

Poranek jak każdy inny. Tuż przed pobudką Bingham Madsen leży skulony na łóżku w pomieszczeniu pełnym wyłączonych ekranów. Domyślamy się, czym są te czarne, lustrzane powierzchnie – zaciemnione na noc, dając jedyną chwilę wytchnienia – to jego całe życie. W ciągu dnia będą go nieustannie rozpraszały, udzielały informacji, wprawiały w stan ekscytacji i manipulowały. Pokażą mu bezkresny horyzont o świcie, piejącego koguta o poranku, reality show wczesnym wieczorem oraz najmodniejszy i najbardziej ogłupiający format telewizyjny. Stworzyły kult celebrytów i zniszczyły szarych śmiertelników.

Absorbują jego uwagę zwłaszcza podczas codziennych, rutynowych czynności. Jego praca, najważniejszy obowiązek? Pedałuje. Pedałuje bez przerwy, zbierając punkty za każdy obrót korby, i widzi na ekranie, jak ich suma rośnie.

Punkty służą do zakupu jedzenia. Można za nie nabyć akcesoria dla swojego awatara i sprawić, że na tle innych będzie wyglądał lepiej. Będzie godnie reprezentował swojego właściciela, podkreślał jego unikatowość. Punkty to nagroda za jego syzyfową pracę: Bing – przekształcony w ludzki generator – produkuje energię dla świata. Być może, pewnego dnia, zdoła wymienić punkty na szansę odzyskania wolności.

Otwiera oczy i wymachując ręką w powietrzu, odgania awatar opierzonego krzykacza. Wstaje z łóżka, wydaje kilka punktów na pastę do zębów i jeszcze parę po to, żeby wyłączyć tę przeklętą, natrętą reklamę pornosą, która nie daje mu spokoju.

Bing nie wydaje swoich punktów na głupoty.

Naciąga na siebie podkoszulek i szare spodnie dresowe – w jednakowym uniformie pojawiają się również pozostali – i oto jest już w windzie. Upodlone nedorzecznością sytuacji, wyrzeźbione z brązu ciało wciśnięte pomiędzy inne nieestetyczne ciała. To oni, więźniowie zamknięci w klatkach pełnych świateł i ekranów: identyczne stroje, identyczne pokoje. Na zewnątrz mogą poruszać się w jedynym możliwym kierunku – w stronę większej klatki, bardziej rozświetlonej

i zasobnej w jeszcze więcej ekranów, w której każdy wsiada na swój rowerek treningowy i pedałuje, pedałuje ile sił.

Bing zasiada na swoim miejscu, przez chwilę przesuwa obrazki pojawiające się na ekranie przed nim, aż wreszcie wybiera animację z drogą pośrodku niczego, po której szusuje jego cyfrowa kopia, i z nieszczęśliwą miną zabiera się do pracy.

Wciąż marzy o magicznej chwili, w której gasną wszystkie ekrany, jedynej, błogosławionej chwili ciszy, kiedy pojawia się komunikat o stanie jego konta – w rzeczywistości wcale nie jest tak źle, ma ponad piętnaście milionów punktów! Mógłby kupić sobie bilet do *Hot Shot*, reality show, które pozwala swoim uczestnikom zatańczyć z przeznaczeniem. A jeśli trzech sędziowie będą na tak, odzyska wolność i będzie mógł stąd wyjść. Z perspektywą pracy i bardziej satysfakcjonującego życia – najwyraźniej Bing nie potrafi sobie tego nawet wyobrazić.

Obok niego pedałuje w niezłym tempie złany potem mężczyzna przy kości o pobladlej, świńskiej twarzy. Wpatrzony jest w skecz, w którym trzech grubasów w kostiumach kąpielowych pod naporem mocnych strumieni wody nie jest w stanie utrzymać się na nogach przy zaśmiewającym się do rozpuku prezenterze.

Nie spuszcza wzroku z ekranu, koła roweru kręcą się coraz szybciej, a koszulka ciemnieje na plecach od potu.

Wygląda na szczęśliwego.

Podnoszę oczy znad monitora, wagon jest pusty. Jestem sam w ten kwietniowy wieczór, w pociągu mknącym do domu, po długim dniu pracy niedającej satysfakcji pomimo moich starań.

Jednym z wielu. Takim samym, jak wiele innych.

Od jakiegoś czasu mam nieprzyjemne wrażenie, że gonię własny ogon. Pedałuję bez chwili wytchnienia, popychany do przodu przez strach przed zatrzymaniem się, wciąż nie wiedząc, w jakim kierunku zmierzam. Jak dostawca pizzy, dźwigam na swoich barkach ciężar, tylko po to, żeby pozbyć się go jak najszybciej, wręczyć klientowi za kilka euro. I wtedy następny, następny, proszę – chociaż jestem całkowicie świadomy, że mój wysiłek w żadnym stopniu nie przekłada się na uczucie szczęścia na chwilę przed zamknięciem oczu wieczorem.

Czyżby była to powszechna przypadłość pośród nas, intelektualnych gości, w tym zuberyzowanym świecie? – pytam sam siebie i wolę pozostawić swoje pytanie bez odpowiedzi.

Wiem, wiem. Powinienem rozpiąć guzik koszulki, wypuścić powietrze z płuc, zająć swoją uwagę książką, przyjrzeć się światu przesuwanemu się za oknem. Ale zupełnie mi to nie wychodzi. Może uda się z następnym mailem. Może oczy właściwej osoby natkną się na mój kolejny tweet. Myślę: żyjemy w iluzji, w której kariery zaczynają się lub kończą za sprawą garstki liter, memu lub trafnego posta. W której szczęście i przyszłość kreuje się wyłącznie poprzez sieć – natarczywy, totalizujący napływ dzieł i myśli ludzkości w czasie rzeczywistym. Ja, parafrazując zdanie z *Podziemnego kręgu*, jestem bezkresnym uosobieniem samego siebie – pracującego, starającego się siebie, który miewa coś inteligentnego do powiedzenia, spotyka się z odpowiednimi osobami, bywa tam, gdzie należy bywać.

Jestem migawkową narracją o sobie samym.

Jestem bazą swoich własnych danych.

Być może nie wszyscy się nad tym zastanawiają. Może to tylko mój problem. Pozostali pasażerowie zdają się zajęci myślami o kolacji, w zaciszu własnych domów lub w restauracji, być może z przyjaciółmi, a być może sami – z własnego wyboru. Dla nich najwyraźniej dni mają głębsze znaczenie, istnieje coś więcej niż poniedziałek rano. Nie zawsze trzeba pedałować. Koniec końców, pewnie można znaleźć odpowiedź na moje pytanie. Tyle że mnie ona nie zadowala.

Czuję, że też potrzebuję się zatrzymać. Odłączyć się. A jednak to nie takie proste. Nie dlatego, że jestem uzależniony od mojego smartfona – nie, odłączenie się to kosztowna sprawa, to luksus, którego moja świadomość chyba nie chce do siebie dopuścić.

Popracuj jeszcze z godzinkę, podpowiada mi ze złośliwym chichotem, jak zły duch albo troll z portali społecznościowych. Pracuj, pracuj, bez wytchnienia, nie rozłączaj się, nie przerywaj. Tylko w ten sposób możesz zdobyć więcej punktów.

Wagon jest pusty, chociaż sam nie wiem, jak to się stało. Nie zauważyłem, kiedy opustoszał, zajęty oglądaniem *15 milionów*. Bing zakochuje się w Abi, w jej głosie, który słyszy przypadkiem w toalecie, w jej życzliwości i pokorze, w niewinnych oczach. Ich historia to próba odzyskania wolności przed jurorami *Hot Shota*. Przede wszystkim jednak to sprawozdanie z poniesionej przez nich klęski.

Ten obraz wciąż stoi mi przed oczami i wraz z nim nie potrafię pozbyć się wrażenia, że wiem, co czują. Wracam myślami do pustego wagonu i chwili, którą Charlie Brooker postanowił przemilczeć – tej, w której wszystkie ekrany gasną, kiedy wreszcie, przed zamknięciem oczu, Bing odnajduje spokój.

Przez chwilę moje poczucie rzeczywistości zaczyna chwiać się w posadach.

Gdzie jestem?

Podnoszę wzrok znad odcinka *Czarnego lustra* i wciąż nie widzę. W moim pociągu w miejsce rowerów wstawiono siedzenia, ale rozpraszający moją uwagę ekran jest tam, gdzie powinien być – choć mniejszy i bezgłośny, to w kółko nadaje te same idiotyczne reklamy, które prześladowają Binga. Jednakowo bezmyślna rozrywka. Kolejny ekran znajduje się tuż przede mną, to pulpity mojego laptopa. Obok jeszcze jeden, czarna tafla smartfona. Trzy monitory konkurujące o moją uwagę. Fikcja serialu w starciu z rzeczywistością wydaje się wręcz ostrożną wizją.

Czuję, jakbym przeniósł się do pokoju Binga – otaczają mnie migoczące ledowe światła, których zadaniem jest sprawić, bym przetrwał kolejny dzień pedałowania i zbierania punktów przeznaczonych na odległy i nieokreślony cel. Jestem więźniem złotej iluzji, cyfrowego mirażu, który upiększa moją rzeczywistość. Bez niego byłaby powtarzalna, pozbawiona znaczenia i perspektyw.

Wyzuta z ludzkiego wymiaru. Na ekranie zawieszonym nad automatycznymi drzwiami mojego przedziału wyświetla się reklama – uśmiechają się do mnie cyfrowe ludziki. Wyglądają jak awatary żywcem wyjęte z rowerowej dystopii Brookera, satyryka i twórcy całego serialu.

W ciszy szybkobieżnego pociągu ogarnia mnie lęk. Od kiedy pierwszy raz zobaczyłem *Czarne lustro*, nie potrafię pozbyć się poczucia dyskomfortu i pewnej otuchy zarazem. Świat odzwierciedlony w serialu to nie mój świat, powtarzam sobie za każdym razem, to tylko cyniczna wizja Brookera, który przekomarza się z rzeczywistością. Przypomina nasz świat, ale nim nie jest.

Czy to już się dzieje?

Tu, gdzie jestem i istnieję, nie ma błękitnych wirtualnych misiów kandydujących w wyborach ani dziwnego ustrojstwa, które przyczepia się do skroni i przekształca oczy w dwie kamerki rejestrujące wszystko dookoła, a pamięć w twardego dysku z nieograniczonym miejscem.

W mojej rzeczywistości mam wybór. Mogę wyłączyć laptop, smartfon i tablet; mogę nie odpisywać na maile, nie kupować produktów sugerowanych mi przez spersonalizowane algorytmy na Facebooku czy Amazonie, mogę ignorować kod, który uwalnia mnie od ciężaru decyzji: co przeczytać, z kim się spotykać, co należy mówić, a czego nie. W *Czarnym lustrze* z kolei jest zbyt późno na wolną wolę. Wolnością cieszy się technologia, a my jesteśmy jej niewolnikami.

Kiedy do technologicznej sieci podłączony jest twój mózg, twój umysł, jedynym sposobem na przejście w tryb offline, na odłączenie się od jej administratora, jest śmierć. O ile jest to w ogóle możliwe. O ile włamanie się do sieci połączeń mózgowych nie prowadzi automatycznie do tworzenia cyfrowych kopii zapasowych świadomości, czyli nas samych, zdolnych do życia w wieczności, w jednym z wirtualnych światów, które *Czarne lustro* opisuje z obsesyjną wręcz dokładnością. O ile postęp nie zdołał jeszcze przedłużyć nam życia tak bardzo, że będziemy mogli żyć już zawsze.

Niewiele trzeba, na samą myśl o tym powraca niepokój zapierający dech w piersiach.

Czy to już się dzieje?

To jak moment objawienia, jak gdy w serialowym intro czarny ekran pęka i powraca rzeczywistość. Fantazja filmowców jest nie do zniesienia, przytłaczająca i niewygodna. A z każdym kolejnym kadrem, jak to bywa w sennych koszmarach, coraz bardziej wytrzeszczamy oczy i jedziemy bez trzymanki aż do wielkiego finału.

Dyskomfort i poczucie otuchy – utożsamiamy się z fikcją *Czarnego lustra* do tego stopnia, że nie możemy powstrzymać empatii wobec dziwnych mieszkańców zaludniających te przerażająco realistyczne iluzje i dajemy się wciągnąć w ich otchłań. Jednocześnie, ostatkiem sił, walczymy o utrzymanie się na powierzchni, balansując na cienkiej linii oddzielającej koszmar od naszej rzeczywistości. Identyfikujemy się z Bingiem tylko po to, żeby uświadomić sobie, że nim nie jesteśmy. Niepokój i ulga. Czy to możliwe, żeby odczuwać je równocześnie?

Tak, to możliwe.

Ponieważ z siecią łączy nas to, że i my jesteśmy mieszanką dobra i zła, ambiwalencją w czystej postaci.

Tamtego wieczoru, w pociągu, mam za sobą dziwny dzień. Po raz pierwszy od wielu lat wykorzystałem swój limit danych na smartfonie przed końcem miesiąca. Mój telefon przeszedł w tryb offline. Nie jest łatwo opisać hipotetycznemu czytelnikowi w przeszłości czy przyszłości uczucie dopadające nas w teraźniejszości, w momencie kiedy połączenie zostało przerwane i nie mamy dostępu do sieci. Nagle przypominamy sobie o wszystkich niewysłanych mailach, nieprzeskrolowanych tweetach, wiadomościach, na które nie odpisaliśmy, mapach, które mieliśmy przestudiować. Wszystko to znika. Ogarnia nas poczucie porzucenia i pustki, podobne do tego, które najpewniej odczuwają Bing i jego nieszczęśni kompani w chwili, którą Brooker pozostawia naszej wyobraźni – kiedy pod koniec dnia gasną migoczące monitory, oczy zamykają się zmorzone snem, a w ciemnościach pod powiekami włącza się nowy ekran, niczym rozprawa sądowa, na której zapada wyrok w sprawie naszego przerażającego uzależnienia od wszystkiego tego, co nas rozprasza i dekoncentruje.

Zaczynam zdawać sobie z tego sprawę naz jutrz rano. Czeka mnie kolejna podróż i kolejny dzień pracy. Muszę doładować telefon. Myślę o tym jak ktoś, kto sięga po następnego papierosa, jakbym potrzebował wymówki, która usprawiedliwia mój nałóg – nie mogę się bez tego obyć. Kupuję doładowanie, nie zwracając uwagi na to, ile będzie mnie kosztował brak powściągliwości w obrocie danymi.

We wspomnianym odcinku Bing działa w ten sam sposób – jak telefon na kartę. Kiedy pedałuje, jego życiowa punktacja wzrasta. Paradoksalnie jednak odejmowanie punktów kosztuje go więcej niż ich gromadzenie. Tak jak i my, bohater funkcjonuje w epoce zbytku, w której prawdziwym problemem jest nadmiar bodźców, a nie ich brak. W epoce, w której środki na naszym koncie służą również temu, żeby widzieć mniej, pozwolić sobie na luksus zakochania się bez konieczności oglądania natrętnych reklam, żeby skupić się na jednej treści naraz, na jednej myśli naraz. A może nawet skupić się wyłącznie na sobie.

Oczywiście dla Binga jest to nieosiągalna perspektywa. Rozważni i przewidujący zarządcy antyutopijnych fikcji z zasady wiedzą, że nie ma w nich miejsca na ludzką samotność. Wykluczenie jej z idealnego społeczeństwa jest niezbędne, aby utrzymać władzę – w ciszy i poczuciu osamotnienia ludzie stają się niebezpieczni. Nie tylko uświadamiają sobie swoją sytuację, ale zaczynają ją porównywać z sytuacją uprzywilejowanych elit. Snują plany rewolucji. Poświęcają

się sztuce i poszukiwaniu prawdy, dobra i sprawiedliwości. Uczą się rozumieć własne uczucia, stawiają się w cudzej sytuacji i odkrywają, że słabość to wspólna cecha wszystkich ludzi. Empatia jest nieosiągalna, kiedy nieustający napływ obrazów odwraca naszą uwagę, przyciąga nasz wzrok. Inteligencja, człowieczeństwo, świętość i szósty zmysł poczucia końca i ulotności znikają w tej samej chwili, gdy na ekranie pojawia się reklama, od której nie sposób oderwać oczu, choćbyśmy chcieli zająć się czymś innym.

Tak jak Bing, tamtego wieczoru w pustym przedziale próbuję wykorzystać nazbierane punkty. On wydaje je oszczędnie, może kupić za nie wolność od idiotycznych i mdłych spotów reklamowych, ja rozporządzam nimi z rozwagą, by rozproszyć się na tyle, na ile trzeba, by zapomnieć o nieznośnym ciężarze raczej bezowocnego dnia pracy, by oderwać się od moich najgłębszych myśli. Otucha zaczyna ustępować miejsca niepokoju. Pewność zmienia się w pytanie.

Czy to już się dzieje?

Czy to dworzec główny, czy scenografia *Czarnego lustra*, ten nieprzerwany ciąg ruchomych obrazków wyświetlanych na wielkich telebimach, słupach z ekranami, ekranach zajmujących całe powierzchnie ścian, na których mimowolnie zatrzymuję wzrok? Jaka jest różnica, pytam samego siebie, maszerując w stronę taksówki, pomiędzy plastikowymi uśmiechami modeli z reklamy a tymi cyfrowymi, przyklejonymi piksel po pikselu na bezmyślnych twarzach awatarów? Zaniepokojony zauważam wejście na stację na samym końcu schodów prowadzących do głównej hali. Wysoko, pod samym sufitem, wśród prężnych łuków opowiadających historię papierowej dyktatury, królestwa fikcji pamiętającego czasy faszyzmu, wisi ogromny papierowy billboard. Przez chwilę jest jak balsam dla mojej duszy, jak wspomnienie letniego dnia pełnego miłości, kiedy zasypia się nad brzegiem morza, jak lek na rany, jak przeważający argument w ciągnącej się kłótni, jak sposób poradzenia sobie z osobistą porażką. To przeszłość, nadająca człowiekowi dobrze znaną formę i kształt – znajoma i bezpieczna. Przez chwilę Bing powraca do świata science fiction. Upojny moment nie trwa jednak długo – w jednej sekundzie moje oczy przyciąga produkt, który te gigantyczne kartonowe powierzchnie usiłują sprzedać. Smartfon z „potrójnym aparatem fotograficznym”, w dodatku „ulepszony dzięki sztucznej inteligencji”. To „nowy renesans fotografii” oznajmia billboard, zwięźle przekazując definicję marketingu na miarę naszych czasów – nadchodzący świat różni się od tego, który

znaliśmy dotychczas. Jest lepszy, inteligentny, jest *smart*. Każdy przedmiot zostanie obdarzony sztuczną inteligencją. W każdym podobnym urządzeniu skryje się cyfrowy system nerwowy.

Co jednak możemy dostrzec w „czarnym lustrze”, w zbiorowym odbiciu całej cywilizacji pozującej do zdjęcia w epoce masowych mediów społecznościowych? Czego możemy dowiedzieć się o nas samych? Analizując podobieństwa pomiędzy pustym wagonem a więzieniem, w którym ekrany nieustannie domagają się naszej uwagi, docieramy do prawdziwego źródła naszej przyjemności. Pośród nieusatisfakcjonowanych podróżników epoki prekariatu i wieku niepewności oraz anonimowych postaci pedałuujących bez wytchnienia na rowerze, żeby dostarczyć energii w dystopijnym świecie, wspólne jest pragnienie poznania odległej koncepcji prawdziwego, pełnego życia.

To, co widzimy, i to, co przeraża nas bardziej od jakiegokolwiek innej wizji, to próżność i miałość naszych pragnień. Chęć buntu ściera się z niezdolnością do podjęcia działania. Biorąc pod uwagę to, jak proste i wygodne jest poddańcze życie, tęsknota za czymkolwiek innym zdaje się niemożliwa.

Radykalne ruchy od dawna uzmysławiają nam, jak ideologia wpływa na kształt naszych marzeń. Uświadamiają, że prawdziwą władzą jest umiejętność panowania nad kierunkiem społecznych wyobrażeń i dążeń, jak również to, w jaki sposób sami zarządzamy sferą symboli i odniesień czerpiących z rzeczywistości, oraz to, jak kształtuje się nasza zdolność jej rozumienia.

Filozofowie Frederic Jameson i Slavoj Žižek podsumowują rozważania myśli radykalnej stwierdzeniem, że łatwiej jest wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu. Obecnie możemy dorzucić tu jeszcze jeden narzucający się wniosek: łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec Facebooka. Łaskawsza zdaje się apokalipsa niż życie w świecie, w którym nie istnieją media społecznościowe. Siła ich nakazów i obietnic jest w stanie unicestwić nie tylko każdą alternatywną wizję rzeczywistości, lecz także nasze pragnienie posiadania takiej wizji. Nie mamy żadnego innego wyboru – chociaż to nie szkodzi, bo przecież niczego innego byśmy nie chcieli. Poza tym nasuwa się pytanie, czym są przyszłość i postęp, jeśli nie tym, co jako przyszłość i postęp określa Dolina Krzemowa?

Oto nasza odpowiedź: *Czarne lustro* usiłuje nas przekonać, że fikcja wielkiego ekranu to nasza rzeczywistość, że przedstawiona w nim opowieść opisuje *nasz*

świat, *ten* świat. Sukces serialowej historii wynika z umiejętności zaprezentowania przez zniekształcający pryzmat satyry tego, jaką siłą jest ideologia przykuwająca nas do rowerka stacjonarnego, do bezustannego pedałowania z nadzieją na kolejną szansę odzyskania wolności przed jury-publicznością, która paradoksalnie miałaby umożliwić nam ucieczkę przed kłamstwem ekranów, punktami i awatarami, miałaby otworzyć przed nami podwoje *prawdy*.

O to samo prosi Bing, kiedy, z ostrzem na gardle, staje na scenie programu *Hot Shot*, reality show, które miałyby go ocalić i pomścić jego miłość, zdradzoną i zaprzepaszczoną przez fikcję widowiska. Błaga o coś „prawdziwego” na ideologicznej pustyni. O coś ludzkiego pośród tłumu gamerów.

Przystaje bez wahania na propozycję jurorów. Poprowadzi program telewizyjny, w którym co tydzień – z ostrzem na gardle – będzie krytykował otaczającą go rzeczywistość.

W świecie, w którym nie istnieje żadna alternatywa, nawet najbardziej radykalny akt oskarżenia staje się widowiskiem samym w sobie. Oto i on, nasz bohater ogarnięty szaleństwem, który w każdy piątek grozi, że odbierze sobie życie, bo system jest przegniły, a my – skazani na zagładę. Możesz obejrzeć go na jednym ze swoich ekranów, pedałuując za garść punktów. Możesz zaspokoić kolejną ze swoich potrzeb.

Nawet bunt przybiera kształt telewizyjnego formatu.

Ponadto utopia, w której każde pragnienie jest zaspokajane, przestaje być utopią.

Autorem tej sugestii jest sam Brooker, który objaśnia ją, dokładniej wyrażając swoje zdanie na temat *Czarnego lustra*. Należy przyjrzeć się uważnie scenie z jednego z odcinków *Strefy mroku*, serialu z 1959 roku, którym Brooker otwarcie się inspirował. Odcinek opowiada o urzędniku bankowym zakochanym w literaturze, który, wiecznie zaczytany, nagminnie doprowadza do szaleństwa klientów przy okienku. Pewnego dnia, pogrążony w lekturze *Dawida Copperfielda*, naraża się swoim przełożonym, którzy w pierwszym odruchu go upokarzają, po czym wyrywają mu książkę z ręki i drą ją na kawałeczki. Mimo to urzędnik, Henry Bemis, nie daje się tak łatwo. Następnego dnia zamyka się jak zawsze w bankowym skarbcu, gdzie zamierza zjeść obiad i w świętym spokoju oddać się lekturze. Jego wzrok ledwo prześlizguje się po tytule artykułu z dziennika: *Bomba H narzędziem totalnej destrukcji*, kiedy skarbcem wstrząsa eksplozja, a mężczyzna

traci przytomność. Odzyskawszy ją, Bemis stopniowo uświadamia sobie, że jest jedynym człowiekiem, który ocalał z katastrofy nuklearnej. Zdezorientowany i przerażony perspektywą niekończącej się samotności, zaczyna zastanawiać się nad samobójstwem, kiedy jego wzrok pada na pozostałości budynku biblioteki publicznej. Henry jest o krok od znalezienia wyjścia z sytuacji – może czytać przez resztę życia, w ciszy i spokoju, i wreszcie nikt nie będzie mu przeszkadzał. A jednak w chwili gdy sięga po pierwszy tom, potyka się i rozbija grube okulary, bez których jest prawie całkiem niewidomy.

I tak, w wywiadzie dla Channel 4 z 2014 roku^[1], Brooker oznajmia, że „właśnie takie rzeczy powinny częściej pojawiać się w telewizji”. W tym tkwi duch i dowcip całego serialu: gadżety, które miały ocalić twoje życie od nudy, krzywdy, upokorzeń, alienacji i samotności, w ostatecznym rozrachunku są dożywotnim wyrokiem – zwłaszcza kiedy przerodzą się w obiekt całkowitego uzależnienia.

„Jeśli technologia zaspokaja każde nasze pragnienie – mówi twórca *Czarnego lustra*, wykrzywiając się w okrutnym angielskim uśmiešku – zaspokojenie naszych pragnień jest zwykłą iluzją”.

Nie zapominajmy, że w którymś momencie system operacyjny wyłączy się na zawsze. A przedmioty, nieożywione i nie działające, na nowo staną się zwykłymi przedmiotami, zamykając wrota do nieskończonych światów. Wyłączony monitor to tylko plastikowa ramka i trochę metalu. „Kiedy odcinamy dopływ prądu – wyjaśnia Brooker – ekran zmienia się w czarne lustro, zimną i przerażającą powierzchnię”.

Pół wieku po perypetiach Bemisa, w momencie kiedy pęka szkło naszych okularów, soczewek, przez które możemy obserwować teraźniejszość i które krystalizują nasze pragnienia, osacza nas to samo poczucie opuszczenia i samotności. Tym bardziej dotkliwe, że nie potrafimy ich naprawić.

Bez technologii czujemy się ślepi. Samotni. Zagubieni.

Naszym jedynym pragnieniem, tak jak urzędnika ze *Strefy mroku*, był czas, który pozwoliłby nam zaspokoić nasze pragnienia. A przecież wystarczy tylko spojrzeć, nadstawić uszu i usłyszeć szyderczy ton narratora, odwieczny i zarazem współczesny: nie jesteśmy niczym więcej, jak tylko „częścią krajobrazu po zagładzie”. Skrajnie spolaryzowana polityka. Społeczeństwo – wszyscy przeciwko wszystkim. Własne „ja” w ciągłej walce z samym sobą. Ruiny, szczątki, fragmentaryczność i niekompletność.

Odrzucamy od siebie myśl o własnej ślepcie i zagubieniu, w momencie gdy wszyscy mamy na nosach nasze okulary. Kiedy wychodząc poza nawias metafory, jesteśmy zintegrowani, „dostosowani”, nawiązując do trafnego określenia Umberta Eco.

Właśnie to pytanie stawia książka, którą macie w rękach i która docieka, czy *to już się dzieje?*, tylko po to, żeby zastanowić się, czy zaprzeczenie tej hipotezie będzie ucieczką od rzeczywistości, czy też odrzuceniem projekcji przyszłości możliwej, choć wciąż należącej do świata fantazji. To książka, która posługuje się *Czarnym lustrem* i bogactwem odniesień do współczesnej kultury popularnej, żeby zobrazować dwuznaczny stosunek ludzkości do technologii.

To właśnie technologia stała się fetyszem, który zdołał zastąpić nasze fobie i nadać kształt naszym marzeniom.

To właśnie ona stopniowo zastąpiła człowieka, mając iluzją odpowiedzialności, wolnej woli, empatii i piękna.

Pozostaje pytanie: jesteśmy bardziej ślepi, bardziej samotni, bardziej zagubieni, filtrując rzeczywistość przez jej potężny pryzmat, czy też kiedy jesteśmy go pozbawieni?

Czy bardziej iluzoryczna wydaje się obietnica niekończącej się satysfakcji, czy groźba wiecznego niezaspokojenia bez odwołania?

Dlaczego bardziej zdają się nas ciekawić cudowne dzieci sztucznej inteligencji niż ludzka głupota?

Czego w istocie pragniemy, snując marzenia o przyszłości? Czy przyszłość w naszych wyobrażeniach i, tym samym, w naszych pragnieniach może jawić się jako wielka niewiadoma, coś zupełnie niespodziewanego?

Wokół tych pytań kręci się scenariusz *Czarnego lustra*. Nie podejmuje on kwestii technologii, lecz te związane z człowieczeństwem.

A zresztą, jak pisał Nikołaj Bierdiajew na początku zeszłego stulecia: „Wchodzimy w Nieznane i nawet Nieodgadnione, wchodzimy chmurni, bez nadziei i promiennej radości. Przyszłość jest mroczna”^[2].

Nie, nasz los nie został jeszcze przesądzony.

Koniec końców, co jest tak przerażającego w technologii? Czy jest to strach płynący po prostu z ilości? Natłoku tweetów, nagrań na YouTubie, memów na

Reddicie, słów na czacie, zdjęć na Snapie i Instagramie, wyników wyszukiwań w Google'u, zakupów na Amazonie, przejazdów Uberem czy zamówionych przez Internet kanapek. Z natłoku kontaktów, które tak naprawdę nie przekładają się na międzyludzkie relacje, natłoku „znajomych”, którzy znajomymi nie są, natłoku słabych więzów i niedoboru tych silnych.

Być może ma w tym swój udział przesytna autoreklama. Ludzie przekształcili się w *brandy*, wygładzone za pomocą domyślnie ustawionych filtrów, ulepszone cyfrową magiczną różdżką, od której znikają oznaki zmęczenia i starości, która dorzuca parę nieistniejących okularów, króliczy nos i uszy, kwietny wianek albo królewską koronę. Ochoczo eksponujemy nadmiar szczęścia, zaklinamy los, obnosimy się z naszymi marzeniami, narzekamy na czym świat stoi i promujemy naszą własną osobę. Czy jeszcze lepiej, opowiadamy o sobie w najlepszy z możliwych sposobów podczas niekończącego się przedstawienia na deskach teatru mediów społecznościowych. Nasze codzienne życie staje się spektaklem, jak u Ervinga Goffmana, tyle że do entej potęgi. Nasza egzystencja definiuje się na nowo w każdej chwili, z postu na post, z instarelacji na instarelację, od jednego *lubię to* do drugiego.

Jasne, co minutę wymieniamy się 38 milionami wiadomości na WhatsAppie, oglądamy 4,3 miliona filmów na YouTube, logujemy się 973 tysiące razy na Facebooka, wydajemy 862 tysiące dolarów online i przesuwamy 1,1 miliona profili na Tinderze.

A jednak moralne niepokoje związane z technologią znane są już z czasów znacznie poprzedzających wynalezienie Internetu. Czyżby problem tkwił w nadmiarze informacji, których ludzka jednostka nie jest w stanie przetworzyć? Jeśli odpowiedź na to pytanie jest twierdząca, to obawy te sięgają przynajmniej XVI wieku, jak przypomina nam Vaughan Bell na łamach czasopisma biznesowego „Slate”, powołując się na słowa szwajcarskiego naukowca Konrada Gesnera i jego obawę przed nowożytnym światem pogrążającym jemu współczesnych obfitością danych, „szkodliwych i wprawiających rozum w zakłopotanie”.

Już Sokrates upominał, że pismo osłabia ćwiczenie pamięci – to samo usłyszymy również dziś, zastanawiając się razem z Nicholasem Carr'em, czy wszechwiedząca wyszukiwarka zawsze na wyciągnięcie ręki, taka jak Google, zwyczajnie nas ogłupia.

W epoce wynalezienia telefonu żywo dyskutowano nad tym, czy taka innowacja nie sprawi, że zaleje nas fala plotek i próżnego strzępienia języka. W epoce radia podejrzewano, że nadający odbiornik uniemożliwi uczniom skupienie się na nauce.

Kasety magnetofonowe dały w kość wydawcom płyt, kasety wideo zachwiały w posadach rynkiem kinematograficznym – trochę przypominając to, co ostatnio mówimy o piractwie internetowym i streamingach online.

Oraz to, że coraz częściej słyszymy o druzgocącym wpływie wiadomości tekstowych na pisany język angielski.

Przykładów jest nieskończenie wiele. I chociaż nie przestajemy wysysać z palca nowych terminów o wątpliwej użyteczności, takich jak: *fake newsy* zastępujące znaną *dezinformację*, *postprawda* w miejsce *totalitaryzmu*, trudno oprzeć się wrażeniu, że nie ma niczego oryginalnego w miłośno-nienawistnej relacji, którą człowiek od zawsze nawiązuje z technologią.

W rzeczy samej, jeśli mamy do czynienia z nową dynamiką korzystania z technologii i łączącymi się z tym konsekwencjami, to bardziej niż na różnice należy zwrócić uwagę na pewną stałą występującą niezmiennie na przestrzeni dziejów: to po stronie człowieka spoczywa odpowiedzialność za podporządkowanie sobie technologii i niepoddawanie się jej władzy.

Co więcej: jeśli jako ludzie nie jesteśmy do tego zdolni i dajemy się porwać jej wartkiemu nurtowi, to często dzieje się tak przez brak wewnętrznej równowagi, uprzedni w stosunku do wpływu, jaki wywiera na nas technologia. I ten czynnik znajduje się w *Czarnym lustrze* na pierwszym planie.

Całościowa wizja Brookera nasuwa pytanie: dlaczego cynizm, suma migawkowych dyktatur szaleństwa i oszustw zręcznych sprzedawców iluzji sportretowanych w serialu są tak wiarygodne, tak rzeczywiste? Czy to wina technologii, tego, kto niczym diabeł wodzi nas na pokuszenie, prowadzi najprostszą drogą i pomnaża zwodnicze ścieżki?

Nie, odpowiada Brooker: wina leży w nas samych. Leży w nieodpowiedzialności, skłaniającej nas ku temu, by uwierzyć w syreni śpiew i poddać się naszym najniższym instynktom. Leży w iluzji wygody, nieodłącznej towarzyski współczesnego życia, która zdaje się podstawowym prawem człowieka. A jednak to prawa człowieka, te prawdziwe, giną pośród naszych prób

walki o nią – nieustannej walki za wszelką cenę, walki, w której obdarzamy wygodę boską czcią i ulegamy jej tak, jak ulega się niepodważalnej ideologii.

A przecież wystarczy skonfrontować ullańską fantazję przygody „*on the road*” ze ślepym posłuszeństwem wobec mechanicznych komend instrukcji z Google Maps. Docenić to, ile wniesć może w nasze życie piosenka, która właśnie poleciała w radiu i którą nieudolnie usiłujemy odtworzyć na gitarze, zanim przeanalizuje ją algorytm Shazamu i sprawdzimy chwytły na jednym z niezliczonych tutoriali na YouTube. Choćby nawet nasze wykonanie miało brzmieć gorzej od oryginału.

Właśnie do tego zachęca nas *Czarne lustro*. Zastanówmy się, jak piękne jest to, co trudne, niedoskonałe, przestarzałe.

Zastanówmy się również nad tym, jak trudno dostrzec oszustwo w gładkich obietnicach Doliny Krzemowej i możliwych tego świata usiłujących przekonać nas, że świat został zbudowany na miarę naszych potrzeb, na miarę każdej ludzkiej jednostki, by nas wybawić i ocalić.

Książka ta jest próbą zagłębienia się w iluzję tych obietnic i odkrycia, na czym polega ich nieodparty i silny wpływ, jaki wywierają na człowieka.

Począwszy od najbardziej fundamentalnej i szlachetnej obietnicy – obietnicy miłości.

COMPUTER LOVE

Frank jest wyraźnie zdenerwowany i zakłopotany. Nie znajduje ukojenia w przygaszonych światłach lokalu – w końcu to pierwsza randka, a jej wciąż tu nie ma. A przynajmniej wydaje mu się, że jeszcze nie dotarła na miejsce. Frank nie wie nawet, kim jest ta „ona”. To nie on ją wybrał, nie on się z nią skontaktował, to nie on ją podrywał. Została mu przydzielona przez algorytm. Przez „System”.

Czeka, niespokojny i zniecierpliwiony. Kto wie, czy jest blondynką, czy brunetką, czy woli piwo, czy wino, muzykę rockową czy techno, czy wieczorem, żeby się zrelaksować, czyta książki, czy ogląda seriale.

Również i ona, Amy, nie ma bladego pojęcia, kim będzie jej towarzysz – kompan na jedną noc lub na wiele nocy. Kiedy przechodzi przez próg restauracji, postanawia zapytać o to „Coacha”, urządzenie, które wybrało tych dwoje i zmusiło do spotkania, posługując się kompletnie nieznanym im wzorem. Z urządzenia rozlega się obojętny głos, przywykły do wydawania poleceń i instruowania.

– Oto i on – oznajmia.

Kiedy zasiadają przy stole, oboje są zawstydzeni. Również dla niej to pierwszy raz. Wkrótce jednak okazuje się, że wzajemne towarzystwo nie jest znowu takie nieprzyjemne. Dania same pojawiają się na stole, dobrane przez System na podstawie indywidualnych gustów bohaterów. System wyznaczył im dwanaście godzin, które mogą spędzić razem – po raz kolejny zadecydował algorytm, posiłkując się swoimi tajemniczymi obliczeniami.

Piją, jedzą, śmieją się. Samojezdne auto zabiera ich do spersonalizowanego gniazda miłości. Tam mogą robić to, na co przyjdzie im ochota. Wszystko dozwolone: seks, pogaduchy, miłość i nienawiść. Nie zmienia się nic – czas upływa, a kiedy w klepsydrze przesypuje się ostatnie ziarenko piasku, muszą się pożegnać, być może na zawsze.

Nocą wyciągają się na łóżku. Amy zastanawia się na głos:

– W czasach przed Systemem to musiało być jakieś szaleństwo. O każdy aspekt związku trzeba było zadbać osobiście. Trzeba było decydować, z kim chce się być.

– Klęska urodzaju – odpowiada Frank, przytakując. – Tyle opcji, że nie wiesz, kogo wybrać.

– Dokładnie, a kiedy okazywało się, że jest do dupy, trzeba było samemu z nim zerwać.

– I w dodatku wymyślić, jak to zrobić.

– Jakiś koszmar – mówi Amy.

– Teraz, kiedy wszystko zostało zaplanowane – podsumowują jednogłośnie – jest znacznie łatwiej.

Uśmiechają się. I nieco onieśmieleni, chwytają się za ręce.

W 2014 roku założyciel portalu randkowego OkCupid, Chris Rudder, przyznaje, że oszukał kilku subskrybentów. Jego strona posługuje się systemem takim jak ten, który połączył Franka i Amy w *Czarnym lustrze*, z odpowiednim algorytmem odpowiedzialnym za zainicjowanie nowej relacji. Algorytm musi nauczyć się twojej osobowości, rozpoznać jej cechy i następnie przekształcić te informacje w procenty zgodności pomiędzy tobą a potencjalnym partnerem. Rudder w poście, który został już usunięty, przyznał, że celowo pokazał niektórym użytkownikom poszukującym swojej drugiej połówki stopień kompatybilności odwrotny do tego, który wyliczył algorytm, niczym miłosny Kupidyn z OkCupida. Osobom, które wedle wyliczeń powinny mieć 30% szansy na wzajemną sympatię, przedstawiono wyniki opiewające na kompatybilność na poziomie 90% – i odwrotnie.

W swoim autorskim eksperymencie Rudder postanowił sprawdzić, czy odczyt zachęcających lub zniechęcających danych z internetowego profilu kandydata może wpłynąć na zachowanie potencjalnej pary. Odpowiedź na to pytanie okazuje się twierdząca: wysoki poziom zgodności sprawia, że ten, kto się o nim dowiaduje, zachowuje się tak, jakby zgodność charakterów istniała rzeczywiście. „Sugestia wzajemnej sympatii – pisze – inicjuje wzajemną sympatię. Kiedy powiemy dwóm osobom, że będą dobrym *matchem*”, czyli dobrą parą, „będą się zachowywali tak, jakby w zasadzie już nim byli. Choćby teoretycznie zupełnie do siebie nie pasowali”^[3].

Dowodzi temu fakt, że prawdopodobieństwo wymiany na prywatnym czacie przynajmniej czterech wiadomości – co stanowi przyjęty przez stronę próg dla próby zainicjowania poważniejszej znajomości – statystycznie się podwaja.

Eksperyment portalu OkCupid sprawił, że na świecie rozgorzała dyskusja. Doszło do niego w historycznym momencie, kiedy stało się już jasne, że Facebook, na przykład, celowo manipulował tonem postów pojawiających się na tablicach tysięcy użytkowników, wzbudzając w niektórych bardziej pozytywne, w innych zaś bardziej negatywne emocje. Zaczęliśmy dostrzegać wtedy to, co dla Rudderera nie było błędem czy wadą, a zwykłą cechą systemu: „Jeśli korzystasz z Internetu, jesteś obiektem setek eksperymentów przeprowadzanych w każdej chwili, na każdej odwiedzanej przez ciebie stronie”^[4].

To prawda. Nie zawsze musi być to powodem do niepokoju, jak w sytuacji gdy największy portal mediów społecznościowych na świecie usiłuje wpłynąć na stan emocjonalny swoich użytkowników, i to w dodatku bez ich wiedzy. Wiele tego typu eksperymentów to raczej nieszkodliwe zabiegi służące ulepszeniu pozycjonowania danej witryny, nie zaś sondowaniu i manipulowaniu umysłami ludzi.

Osobiście nie potrafię przestać myśleć o wszystkich Frankach i Amy tego świata, o ich zakłopotaniu, o spotkaniach zaaranżowanych dzięki wysokiej punktacji otrzymanej w nie wiadomo jaki sposób na stronie internetowej czy w aplikacji randkowej. O daniach zamówionych na podstawie jednowierszowej odpowiedzi na pytanie w kwestionariuszu osobowym: *no, lubię milkshake'i i uwielbiam pizzę*. I oto na naszym stole pojawia się milkshake i pizza, żeby przypadkiem nie zaliczyć wtopy, nie pomylić się na samym początku.

Myślę o tym, co musieli czuć oszukani użytkownicy portalu OkCupid, gdy po zakończeniu eksperymentu czytali maila informującego, że zostali wykorzystani jak króliki doświadczalne w laboratorium internetowej miłości. Być może czuli to samo, co Frank i Amy w odcinku *Hang The DJ*, kiedy Coach – Trenerka – oznajmia im, że oto mają przed sobą dwanaście godzin, które muszą spędzić razem. To samo uczucie pustki, miałkości, zbagatelizowania i odarcia nawet z własnych uczuć. Powierzenia tego, co stanowi naszą najbardziej intymną strefę – miłości, erotycznego napięcia, fascynującego i niezrozumiałego królestwa naszych zmysłów – głupim maszynom, skonstruowanym i kierowanym przez bezlitosnych i pozbawionych skrupułów zwierzchników.

Niezależnie od tego, jaki efekt odniosły spotkania będące następstwem celowo przekreślonych liczb – czy przekształciły się w szczęśliwe i stabilne związki, czy raczej zakończyły na kolacji, z której ratuj się kto może, z całą pewnością wiele mówią o czasach, w których przyszło nam żyć. Są dowodem zaufania, jakim obdarzamy dane, niczym talizman szczęścia, chociaż nigdy na własne oczy nie widzieliśmy jego magicznych mocy. Są dowodem na nasze pragnienie prostoty rzeczy, również w miłości. Sami, tak jak Frank i Amy, marzymy o tym, żeby chwycić się za ręce z przekonaniem, że to los chciał, by te dwie dłonie splotły się ze sobą.

„W aplikacji wszyscy ci mówią, że nienawidzą aplikacji – pisze poeta Danez Smith w tomiku *Don't Call Us Dead* – ale nikt nie przestaje jej używać”^[5].

Trudno przeciwstawić się algorytmowi, chociaż pod skórą czujemy, że nasze posłuszeństwo na niewiele się przydaje. Zwłaszcza że w rzeczywistości – w przeciwieństwie do serialowej fikcji – nie istnieje wystarczająco zaawansowana sztuczna inteligencja, która po całej serii próbnych partnerów byłaby w stanie popchnąć nas w ramiona *ultimate compatible other*, idealnej drugiej połówki, najlepszej i danej na zawsze.

Jako ludzie, posługujący się ludzką logiką, podejrzewamy lub chcemy podejrzewać, że taki wynalazek nigdy się nie pojawi.

I dlatego też niezmiennie krępuje nas głęboki dylemat moralny, kiedy fabuła *Hang The DJ* odsłania przed nam swoje sedno: Frank i Amy, którzy towarzyszyli nam przez cały odcinek, których miłości gorąco kibicowaliśmy, nie są niczym innym, jak wirtualnymi replikami prawdziwego Franka i prawdziwej Amy. Ten dziwny świat, w którym wydarzenia toczą się zgodnie z algorytmem miłości albo nie mają racji bytu, nie jest niczym innym, jak tylko jedną z tysiąca symulacji tego, jak może rozwinąć się ich wspólna historia.

Przede wszystkim, trzymając kciuki za to, żeby algorytm nieprzewidujący dla nich wspólnej przyszłości się mylił, w rzeczywistości mamy nadzieję na to, żeby miał rację. Bo przecież, jak okazuje się na koniec odcinka, w 998 symulacjach na 1000 możliwych wirtualni Frank i Amy zdołali razem uciec z systemu, a ludzka empatia wzbierająca w nas wraz z rozwojem opowieści sprawia, że chcemy tylko, żeby okazało się, że naprawdę się kochają, również w rzeczywistości. Zaraz, a czy przypadkiem nie trzymaliśmy kciuków za miłość, której nie można sprowadzić do czysto mechanicznego wymiaru matematycznego algorytmu? Nie przeklinaliśmy

wszystkiego tego, co stawało im na przeszkodzie przez ten surowy, totalitarny system zakochiwania się za pośrednictwem Trenerki?

Wobec tego dlaczego pragniemy, żeby Frank i Amy się kochali? Czy istota ich miłości nie była całkowicie odwrotna, czy nie była dążeniem do tego, by zbuntować się przeciwko algorytmowi, który chciał ich rozdzielić? Dlaczego zatem chcemy utożsamiać się z innym Systemem, nakazującym im być razem?

To poważny moralny dylemat sięgający daleko ponad proste rozróżnienie pomiędzy prawdziwą miłością a miłością wirtualną, pomiędzy ludzką wolną wolą a poleceniami algorytmu. Dzięki niemu możemy spojrzeć na eksperyment przeprowadzony przez portal OkCupid w innym świetle. Dlaczego za coś tak dogłębnie niewłaściwego uznajemy fakt, że Frank i Amy, jak każda para oszukana przez Rudderą, zostają zdradzeni przez algorytm, skoro wiemy, że jego wytyczne na nic się zdają?

A ponadto, dlaczego czujemy się bardziej zdradzeni przez tych, którzy zdradzają algorytm, tak jak Rudder, niż przez sam algorytm i jego nieudolność?

Ponieważ, mimo iż doskonale zdajemy sobie sprawę, że matematyczne wyliczenia stworzone po to, by łączyć ludzi w pary, w rzeczywistości nie działają, od ponad pół wieku udajemy, że tego nie zauważamy.

Jesienią 1959 roku jednym z cieszących się największą popularnością kursów dla studentów matematyki i inżynierii elektronicznej na Uniwersytecie Standforda jest Math 139 prowadzony przez profesora Jacka Harriota. Zajmuje się w szczególności tajnikami *Theory and Operation of Computing Machines*, czyli teorią użytkowania komputerów stworzonych w celu automatycznych analiz dużych liczb danych. Studenci pchają się drzwiami i oknami, nie mogą oprzeć się ciekawości nowego języka programowania, Fortrana, udostępnionego wydziałowi zaledwie dwa lata wcześniej. Nic nie powstrzyma ich przed dorwaniem się do IBM 650, jednego z pierwszych modeli komputerów i absolutnego prototypu w zakresie użytku komercyjnego i biznesowego, jak obwieszcza strona Historii Komputeryzacji Uniwersytetu Columbia. To 1,3-tonowy gigant, wynajmowany za ówczesną równowartość 3200 dolarów miesięcznie.

Semestr dobiega końca, a razem z nim zbliżają się nie tylko imprezy na zakończenie roku akademickiego – coraz bliższy jest również termin oddania projektów na zaliczenie kursu. Dwóch studentów, Philip A. Fialer i James Harvey,

wpadają na pomysł, który może połączyć przyjemne z pożytecznym. Zamierzają zorganizować imprezę, choć, rzecz jasna, planują również złożyć projekt. „A jeśli nasz projekt mógłby okazać się pomocny w jak najlepszym zorganizowaniu imprezy?” – zastanawiają się.

Dwójka naszych bohaterów doskonale zdaje sobie sprawę, na jakich zasadach funkcjonują studenckie zabawy trzęsące w posadach akademikami w Stanford i okolicach. W tamtych czasach uniwersytecki kampus nie jest w stanie pomieścić wszystkich studentów, jak wspomina C. Stewart Gillmor w publikacji akademickiej z 2007 roku^[6]. Niektórzy z nich nie mają wyjścia i muszą ulokować się w wynajętych stancjach na wzgórzach za uczelnią, takich jak bursa w Los Trancos Woods, wybudowana w latach dwudziestych i przeznaczona początkowo dla mieszkańców San Francisco spragnionych latem odpoczynku od miejskiego zgiełku. To właśnie tam, w zaadaptowanych domach studenckich, odbywają się czasem potańcówki zorganizowane przez uniwersyteckie radio, KZSU. Pośród tych leśnych ścieżek, o północy, rozlega się dźwięk siedemdziesięciopięciosobowej orkiestry grającej na instrumentach dętych i perkusji.

Warto dodać, że częstymi gośćmi takich potańcówek są studentki pielęgniarstwa z pobliskiego szpitala psychiatrycznego dla weteranów w Menlo Park, miejsca, w którym dziś wznosi się siedziba Facebooka.

Inżynierowie i matematycy z Uniwersytetu w Stanford, rzecz jasna, planują je poderwać. Niestety, muszą jednocześnie pamiętać o projekcie, który należy oddać na zakończenie semestru. Pomysł spada na Fialera i Harveya jak grom z jasnego nieba – a może by tak stworzyć działający na IBM-ie 650 program przypisujący konkretną studentkę odpowiedniemu studentowi?

Tak naprawdę wystarczyłoby, główkują gorączkowo, zorganizować próbę pięćdziesięciu zaproszonych chłopaków i pięćdziesięciu zaproszonych dziewcząt, polecić im wypełnić kwestionariusz osobowy, na podstawie odpowiedzi wyliczyć „stopień rozbieżności” dla każdej możliwej damsko-męskiej pary i połączyć dwie osoby z najniższym wynikiem.

W kwestionariuszu pojawiło się trzydzieści pytań do chłopców i dziewcząt w grupie wiekowej 18-22 lata. Formularz poruszał każdy możliwy temat – pytał o wiek, wzrost, wagę, wiarę, hobby, cechy osobowości, nawyki, a nawet o liczbę planowanego potomstwa. Wypytywał o opcję polityczną, wspieranie komunistów, demokratów czy republikanów. O to, czy kandydaci piją, czy palą, czy są w stanie

znieść pijącego lub palącego partnera – okazało się, że piją praktycznie wszyscy ankietowani, a połowa z nich pali.

W ten sposób powstał pierwszy algorytm randkowy. Razem z nim narodziła się koncepcja zakładająca, że jakość *matchmakingu*, czyli doboru odpowiedniego partnera, jest wprost proporcjonalna do tego, ile mają ze sobą wspólnego dwie połówki pary. Tego, jak bardzo jedna osoba przypomina drugą.

To logika leżąca dziś u podstaw software’u obiecującego nam księcia na białym koniu, który pojawi się w naszym życiu dzięki jednemu przesunięciu na Tinderze czy jednemu kliknięciu na portalu eHarmony. To zasada, która pomimo swojej popularności nie znajduje żadnego odzwierciedlenia naukowego.

Gillmor pisze: „Socjopsychologiczne profile kandydatów przygotowane zostały przez studentów, którzy nie zastosowali, i tu posłużę się eufemizmem, najbardziej wyrafinowanych socjologicznych narzędzi badawczych”. Co gorsze: „Nie opierając się na żadnym naukowym źródle, twórcy algorytmu zwyczajnie postanowili zeswatać ze sobą pary o najbardziej podobnych odpowiedziach, otwarcie ignorując stare powiedzenie, zgodnie z którym to przeciwieństwa się przyciągają”^[7].

Niepomni ograniczeń swojego projektu, Fialer i Harvey nadają mu nazwę Happy Families Planning Service – czyli usługa planowania szczęśliwych rodzin. Algorytm zostaje zapisany na kartach perforowanych i złożony u profesora Harriota. Kiedy ten ostatni wprowadza go do komputera, to mimo że program udaje się odpalić na dysku, algorytm nie działa.

W takiej formie projekt okazuje się klapą.

A jednak nasza dwójka nie zamierza się poddać. Tej samej nocy, w Los Trancos Wood, autorzy algorytmu łamią sobie głowy nad tym, ile potrzebują czasu, żeby uruchomić program – dochodzą do wniosku, że wykonanie wszystkich potrzebnych obliczeń zajmie im jakieś pięć-sześć godzin. Problem tkwi w tym, że oficjalnie przypada im tylko dziesięć minut dostępu do komputera. Trzeba zaryzykować. Przydatny okazuje się podręczny zestaw narzędzi do „awaryjnego otwierania drzwi” znajdujący się w posiadaniu radiowców ze stacji KZSU. Kiedy gasną światła, nasi bohaterowie zakradają się do uniwersyteckiej sali komputerowej, włączając obieg wewnętrzny i klimatyzację. Nawet przekąski z automatu tamtej nocy wypadają dzięki jednemu przyciskowi guzika w maszynie, gratis.

Po kilku bezowocnych próbach studenci odkrywają błąd w programie, poprawiają go, po czym czekają cierpliwie na wyniki. Choć praca zajęła dziewięć godzin, znacznie przewyższając założenia, Fialerowi i Harveyowi udaje się wręczyć profesorowi Harriotowi wartości obliczone na próbie pięciu par i celująco zaliczyć przedmiot. A do tego – zatrzymać dla siebie dane odnoszące się do pozostałych czterdziestu pięciu oraz wykorzystać je na imprezie zaplanowanej na koniec jesiennego trymestru.

Nie wszyscy postanawiają się na nią wybrać. Jedna dziewczyna znajduje sobie chłopaka niedługo wcześniej, jeden chłopak woli jechać na narty. A jednak inni, zachęteni wizją piwa domowej produkcji i zespołu z radia KZSU z muzykami grającymi na banjo, puzonie, gitarach i klarnetach, stawiają się punktualnie. Pojawiają się pary zeswatane ze sobą przez algorytm. Niektórzy mają naprawdę niskie wskaźniki różnic, kto wie, jak potoczą się ich losy. Inni natomiast, ci z nieco wyższymi wynikami, muszą się koszmarnie męczyć w swoim towarzystwie.

W tym miejscu opowieść Gillmora, dzięki której możemy odtworzyć bieg wydarzeń sprzed lat, staje się czysto autobiograficzna. On sam, nasz narrator, bierze udział w eksperymencie. Zresztą algorytm zarezerwował dla niego coś specjalnego, przynajmniej teoretycznie. Otóż z obliczeń wynika, że jego partnerką będzie osiemnastolatka o szkockim nazwisku, rudych włosach i buzi upstrzonej piegami. W skali matematycznego podobieństwa są czwartą najlepiej dobraną parą wśród zgromadzonych.

Oboje lubią czytać, chodzić na koncerty i jeździć pod namiot. Oboje nie znoszą formalnych bankietów i wywodzą się z prezbiteriańskich rodzin. Ona uważa się za przeciętnie atrakcyjną – ani „namiętną”, ani „oziębłą”. On natomiast, pozbawiony poczucia własnej wartości, definiuje się jako „bardzo namiętny”. A jednak wstępne założenia zdają się pomyślne – ta dwójka w myśl algorytmu jest naprawdę obiecującym duetem.

Niemniej na pierwsze problemy nie trzeba długo czekać. Gillmor przyjeżdża pod dom przydzielonej mu partnerki sportowym samochodem, który nie wzbudza aprobaty towarzyszkii jego wieczoru. Wręcz przeciwnie. Panna McD., jak wspomina ją w swojej opowieści, niemal natychmiast zaczyna narzekać na przesadną prędkość jazdy. Kiedy docierają na miejsce, przeszkadza jej głośność grającego zespołu, niepokoi ją dziwny dom zagubiony w lesie, w którym odbywa się impreza, przeszkadzają zaproszeni goście. Co więcej, nawet domowo warzone

piwo nie przypada jej do gustu. O dziesiątej wieczorem Gillmor przystaje na jej propozycję i odwozi dziewczynę do akademika, uprzednio dostając ponownie po uszach za chojrakowanie za kierownicą.

„Tamtego wieczoru nie wróciłem już na imprezę – wyznaje Gillmor – i dlatego też nie mogę się wypowiedzieć na temat całościowego powodzenia skomputeryzowanego eksperymentu *datingowego*”. Z trzydziestu par, które zostały ze sobą zeswatane tej pamiętnej nocy, z tego co wie, jak pisze, jedna wzięła ślub. Pozostałe znajomości najprawdopodobniej umarły szybką śmiercią, o ile w ogóle przerodziły się w związki.

Harvey nie ma najmniejszego zamiaru ustąpić. Ponieważ Math 139 otrzymał tak doskonałą ocenę, chłopak dostaje propozycję zapisania się na kolejny kurs, tym razem na temat małżeństwa i rodziny. Prowadzący dostrzega rewolucyjność jego projektu i chce się przekonać, czy można go jeszcze udoskonalić.

Gillmor znów daje się przekonać do udziału. Algorytm, nieco mniej wielkodusznie, umieszcza go na szóstym miejscu wśród najlepiej dobranych par. Jako partnerkę tym razem wybiera mu pracownicę Stanford and Pistol Club. Znajomość urywa się jeszcze tego samego wieczoru.

Czy Gillmora prześladował pech, czy też może jego los dzieli większość osób, które próbują znaleźć drugą połówkę za pomocą matematycznych obliczeń? A może, jak powtarzają za każdym razem, gdy brakuje im lepszej odpowiedzi, bohaterowie odcinka *Hang The DJ*: „wszystko dzieje się z jakiegoś powodu”? Czy istnieje przyczyna każdego niepowodzenia w związku, powód, dla którego delikatny pączek zakochania czy namiętności więdnie, nim zdąży rozkwitnąć? I przede wszystkim, czy za każdym razem możemy opisać to matematycznym algorytmem?

Mija pół wieku od perypetii matematyków ze Stanford, jednak odpowiedź na nasze pytania jest wciąż jednakowa: nie. Wyliczona ze wzoru punktacja nie wystarczy, żeby stworzyć stały związek. „Miłość pragnie tajemnicy i nocy”^[8] – pisał Ugo Fasolo. Nie istnieje żaden kod zdolny zapoczątkować mechanicznie to, czego utrata każe kreślić poetom, takim jak Milo De Angelis w swojej przejmującej *Kompozycji pożegnalnej*, następujące słowa: „w tobie zbierają się wszystkie śmierci, wszystkie / potłuczone szyby, wysuszone strony, nierównowagi / myśli”^[9].

Mimo to obietnica miłości na zawołanie kusi, kusi jak diabli. Jest w nas pragnienie łudzenia się, że mogłaby się spełnić. I pewnie w niektórych przypadkach się spełnia. Jest w nas też przekonanie, że przecież nie mamy nic do stracenia, zwłaszcza kiedy jesteśmy samotni i pogrążeni w rozpacz. A strony randkowe w Internecie tylko się mnożą.

Internetowy rynek randkowy na tę chwilę wart jest 1,383 miliarda dolarów, a przewiduje się, że w roku 2022 będzie obejmował prawie 400 milionów użytkowników na całym świecie. Taka grupa może się wydawać liczna, ale jeśli weźmiemy pod uwagę zapowiedź Facebooka, który w maju 2018 roku wyraził chęć wprowadzenia tego rodzaju usług do swojego serwisu, ich strefa zasięgu rozszerzy się do ponad 2 miliardów użytkowników mediów społecznościowych.

Niedługo szacunkowe dane dotyczące znajomości zawieranych przez Internet mogą wyglądać bardziej optymistycznie. Już dziś, jak powiedział Mark Zuckerberg na konferencji F8 w 2018 roku, jedno małżeństwo na trzy rodzi się online.

Wszystkich zasług nie można jednak przypisywać algorytmom. Nawet jeśli sieci społecznościowe namnażają możliwości nawiązania kontaktu z potencjalnym partnerem, wkładając nam w ręce niezliczone sposoby, żeby się poznać i żeby się sobie nawzajem spodobać, to i tak lwia część powodzenia zainicjowanych w ten sposób relacji bierze się z ludzkiej wrażliwości, a nie z komputerowych sugestii czy punktacji wyliczonej przez maszynę. Tajemnica *meaningful relationships*, czyli poważnych związków, terminu, który obecnie jest na tapecie naukowców z Doliny Krzemowej, pozostaje wciąż tajemnicą, niewytłumaczalną alchemią, z której rodzi się fizyczny pociąg i miłość, i najprawdopodobniej nie przestanie być obiektem poezji i opowieści, tak jak dzieje się od tysięcy lat.

A mimo to dość iluzoryczna wizja zautomatyzowanego dobierania się w pary rodem z *Czarnej lustra* jest traktowana śmiertelnie poważnie. Przede wszystkim należy zrozumieć kierującą nią logikę – koncepcję zakładającą, że aby się sobie spodobać, trzeba być do siebie podobnym, a podobieństwo jest wprost proporcjonalne do wzajemnej sympatii.

W „naukowym” podejściu do internetowego randkowania nigdy nie znalazło się miejsce na podanie w wątpliwość tego dogmatu. Wręcz przeciwnie – na przestrzeni lat takie myślenie przybrało tylko na sile, przekładając się na coraz bardziej udoskonalone algorytmy, zdolne precyzyjnie obliczyć podobieństwo, zmielić coraz większe i większe liczby danych i dostarczyć nam coraz bardziej ukierunkowane

i dokładne propozycje, by zaspokoić potrzeby odpowiadające temu, kim *już* jesteśmy i czego *już* pragniemy. Bóstwa w rodzaju Matcha, eHarmony, OkCupida, Tindera i im podobnych nie dopuszczają do siebie platońskich teologii negatywnych: algorytm zdolny połączyć nas w pary to czysta materia, w której nie ma miejsca na żadne boskie tajemnice. Korelacje, dane, preferencje wskazane przez nas w utworzonym profilu oraz przez wielogodzinne wymiany wiadomości to niekończąca się mrówcza praca, dzięki której zdołaliśmy wyszkolić sztuczne inteligencje do takiego stopnia, że w przyszłości będą potrafiły jeszcze skuteczniej znaleźć nam nasze drugie połówki.

Obecność takich platform wyklucza potrzebę istnienia jakichkolwiek form wiary. Tego typu portale oczyszczają miłość i wynikające z niej ewentualne cierpienia z wszelkich niewiadomych. Wzmagają skuteczność uczucia. Optymalizują i poprawiają nasze interpersonalne doświadczenia. Jeśli miałyby one trwać choćby jedną noc, niech będzie to noc jak ze snu. Jeśli miałyby trwać całe życie, niechaj nam ono lekkim będzie. Najważniejsze, żebyśmy mogli to przewidzieć już tu i teraz. Nie ryzykując.

Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.

Możliwe, któż to może wiedzieć. Niemożliwe jednak wydaje się stwierdzenie, że oto algorytm miałby stać się powodem wszystkiego.

Z naukowego punktu widzenia, opierając się na obecnym stanie wiedzy i technologicznego rozwoju, możemy wyłącznie potwierdzić nasze rozważania. Brooker, zapowiadając odcinek *Hang The DJ* w jednym ze spotów promocyjnych Netlixa, mówi, że wyobrażał sobie społeczeństwo, w którym istniałoby coś w rodzaju „randkowego Spotify”, dzięki któremu moglibyśmy samodzielnie wygenerować „playlistę związków”. Świat, dodaje, w którym to algorytm przyjmuje na siebie odpowiedzialność za „wszelkie miłosne rozterki”. Ten świat okazuje się jednak kłamstwem, fikcją w dosłownym tego słowa znaczeniu, zakładającą, że rozwiązaniem naszych problemów będzie przekształcenie wzajemnego przyciągania i zakochania w matematyczny wzór. Co, jak widzimy, jest nie tylko niemożliwe do zrealizowania z technicznego punktu widzenia, lecz również pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia i całkowicie niewyobrażalne. Co to za miłość bez aury tajemniczości? W której każdy krok byłby przewidywalny, niczym drzewko decyzyjne zapisane alfabetem zero-jedynkowym?

Już samo słowo *miłość* zdaje się tracić swoje znaczenie w momencie, kiedy uznamy ją za zjawisko wymierne i *policzalne*. Kochać według prawa czy dynamiki zapisanej w naszej biologicznej instrukcji obsługi lub na kartach przeznaczenia dwóch ludzkich istot to zaprzeczenie samo w sobie, dalekie od drogi, którą stąpały Laura Petrarcki czy Beatrycze Dantego.

Rudder, założyciel strony OkCupid, pisze w swojej książce *Dataclism*: „Dziś wieczorem jakieś trzydzieści tysięcy par uda się na swoją pierwszą randkę dzięki stronie OkCupid. Mniej więcej trzy tysiące z nich zdoła przekształcić tę znajomość w długi związek. Dwieście stanie na ślubnym kobiercu i wiele z nich, oczywiście, będzie mieć ze sobą dzieci”. Gdyby nie „widziliśmy naszego kodu HTML – podsumowuje – nigdy nie przyszłyby na świat”^[10].

A jednak statystyczna prawidłowość i korelacje, które usiłuje udowodnić w całej swojej publikacji, gdzie opisuje zachowanie użytkowników randkowej platformy, tracą natychmiast na znaczeniu w momencie, w którym pomyślimy o tym, co odróżnia korelację od przyczyny. Wystarczy wyobrazić sobie, że zeswatane ze sobą pary mogą się ze sobą zgadzać lub rozstać się w kilka chwil z powodów, które nie mają nic wspólnego z OkCupid i jego algorytmem skojarzania.

Innymi słowy, wysoki procent kompatybilności na stronie w żaden sposób nie gwarantuje przyjemnie spędzonego wieczoru przy świetle świec czy w łóżku ani tym bardziej udanego wspólnego życia. Według Davida Lewisa, socjologa z Uniwersytetu w Kalifornii, dowód na to, że 95-procentowy współczynnik *matchingu* wygenerowany na OkCupidzie na podstawie zainteresowań wskazanych w kwestionariuszu przez dwóch potencjalnych partnerów przekłada się na udany związek, nie istnieje. „OkCupid chwali się skutecznością swojego algorytmu – pisze Lewis na łamach czasopisma naukowego „Jstor Daily”, przedstawiając wyniki swoich badań – ale tak naprawdę nie ma o tym zielonego pojęcia. Żadna z tych stron zasadniczo nie wie, co robi”^[11].

W rzeczywistości wszystkie takie platformy doskonale wiedzą, co robią. Pieniądze.

Mimo to, a może właśnie dlatego, uparcie twierdzą co innego. „Wiara, nie jesteś już potrzebna – głosiła reklama strony randkowej eHarmony wisząca na ścianach londyńskiego metra, na chwilę przed tym, jak została zbanowana i usunięta przez Brytyjskie Stowarzyszenie Standardów Reklamowych (ASA) w styczniu 2018 roku – nadszedł czas, żeby do miłości podejść naukowo”.

„Po co pozostawiać przypadkowi najważniejszy wybór twojego życia? – pytała reklama mniejszymi literami. – Nasz naukowo opracowany system matchingu rozwiązuje sekret kompatybilności i miłosnej chemii, więc dlaczego miałbyś sobie tym zawracać głowę?”

Cóż, choćby dlatego, że rezultat tego dobrodziejstwa nie jest absolutnie „naukowo opracowany”, a brytyjska organizacja dokonała właściwego wyboru, oszczędzając odbiorcom tego tak ewidentnie fałszywego stwierdzenia. To nieprawda, że nauka przypieczętowała koncepcję, według której osoby korzystające z eHarmony, tak jak z jakiegokolwiek innej strony randkowej, mają większą szansę na znalezienie miłości w porównaniu z tymi, które z takich portali nie korzystają.

A zresztą, czy byłoby to w ogóle możliwe? Wszelkie współczesne ambicje przejawiające się w próbach stworzenia miłosnego algorytmu opierają się wyłącznie na kombinacji preferencji wyrażonych przez jednego i drugiego partnera potencjalnej pary, ich odpowiedziach na pytania w kwestionariuszu i tym, czy dali kciuk w górę przy danych profilach. W ten sposób zakładamy, że każdy z nas od zawsze dokładnie wie, czego szuka w miłości i czego od niej oczekuje, chociaż przecież to właśnie nieprzewidywalność zakochania sprawia, że staje się ono tak wstrząsającym i wyjątkowym doświadczeniem. Pożądanie, które pojawia się nagle w stosunku do osoby znanej nam od lat i niewzbudzającej wcześniej naszego zainteresowania, oszałamiający efekt odnalezienia nowego, nieznanego dotąd kanonu piękna, zakazany owoc zdrady w pozornie szczęśliwym związku – wciąż pozostają dla nauki całkowicie niezrozumiałe.

Miłość istnieje dzięki miłosnej chemii, właśnie dlatego, że ta ostatnia jest niekompletna i niepoznawalna. Ponieważ to *chemia* tylko w metaforycznym tego słowa znaczeniu.

Nie zaskoczą nas badania z Uniwersytetu Northwestern z 2012 roku, w których uszeregowano wyniki naukowej literatury na ten temat, żeby dowieść lub zaprzeczyć, że algorytmy *matchingu* miałyby cokolwiek wspólnego z odnajdywaniem prawdziwej miłości. Niezależnie od tego, jak bardzo są złożone i wyrefinowane, zwyczajnie nie działają.

Posiadanie podobnej hierarchii wartości czy łóżkowych upodobań, tak zwana kompatybilność, nie jest przesłanką, która doprowadzi skojarzoną parę przed ołtarz. „Te portale – piszą autorzy badania – pozbawione są jakichkolwiek narzędzi, które

pozwołyby odkryć i przewidzieć, w jaki sposób partnerzy się rozwiną i dojrzeją z upływem czasu, jakie spotkają ich okoliczności życia, jakie strategie obiorą, żeby stawić im czoła, i w jaki sposób je wdrożą, jak dynamika ich interakcji wpłynie na zwiększenie lub osłabienie ich miłosnego zaangażowania oraz jak zadbają o dobrą kondycję długoterminowego związku”^[12].

Poza tym, jak opisać niespodziewane zdarzenie, niespodziankę zgotowaną przez los w internetowym profilu?

ŻYĆ BEZ KOŃCA

San Francisco, przestronny ogródek jednej z willi należących do typowych zamożnych amerykańskich rodzin. Matka, Lisa, trzyma na rękach najmłodszą córeczkę, uśmiechając się do kamery nagrywającej tę wiekopomną chwilę. Druga córka, Eva, ta starsza, trzyma w ręku pędzel i maluje zaparkowany na podjeździe autobus. Sceneria jest skąpana w zieleni. Zoltan, ojciec Ewy, pokazuje jej, w jaki sposób zrobić to najlepiej – porusza ramieniem w górę i w dół, naśladując ruch pędzla.

Jest 5 września, pogodny i słoneczny dzień, ale Zoltan jest wyczerpany. Odnawia autobus od tygodni. Zebrał przez Internet dwadzieścia pięć tysięcy dolarów od przeróżnych darczyńców, żeby go kupić. Przeglądając serwis ogłoszeniowy Craigslist, zdecydował się na model Blue Bird Wanderlodge z 1978 roku. Z podwozia przyczepy kampera cieknie olej, a żeby silnik odpalił, potrzebna jest spora dawka szczęścia.

– Kiedy go kupiliśmy, silnik w ogóle nie działał – opowiada kamerzyście, dysząc ciężko z gorąca. To on zdecydował się własnoręcznie go naprawić.

Ale to nie mechaniczna strona przedsięwzięcia przysparza mu największych trosk. Zoltan jest załamany, bo pragnął nadać pojazdowi zupełnie inną formę, dokładnie określoną. Stary Wanderlodge ma się przekształcić w ogromną trumnę na kółkach. Musi ją przypominać. Zoltan nie czeka zbyt długo – oto na ekranie pojawia się w lokalnym sklepie budowlanym, gdzie wkłada do koszyka długie drewniane panele. Uzbrojony w cierpliwość i śruby przykręca deski do karoserii, maluje ją całą na kolor przypominający drewno używane do produkcji trumien, a na boku pojazdu wypisuje drukowanymi literami: AUTOBUS NIEŚMIERTELNOŚCI. Pod spodem dodaje: Z TRANSHUMANISTĄ ZOLTANEM ISTVANEM. Z tyłu kampera złota myśl: „NAUKA PRZECIWKO TRUMNOM”.

Co zaskakujące, ten kuriozalnie odnowiony kamper przypominający obwoźny grób nie powstał na potrzeby cyrku ani żadnej komedii w stylu *Straszego filmu*.

„Autobus nieśmiertelności” miał zaszczyt stać się siedzibą komitetu wyborczego podczas przedwyborczego *tournée* potencjalnego przyszłego prezydenta kraju. Oto Zoltan we własnej osobie; kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych startujący z ramienia Partii Transhumanistów.

Na pokładzie znajduje się rodzina w komplecie oraz robot, nazwany Jethro Knights, tak jak bohater z powieści fantastycznonaukowej opublikowanej przez mężczyznę kilka lat wcześniej pod nieprzypadkowym tytułem: *The Transhumanist Wager*, czyli *Zakład transhumanistyczny*. Z obecnej perspektywy Zoltana zakład ten po raz pierwszy uwalnia się z więzów powieściopisarskiej fikcji. Dzisiaj rusza w drogę i ma prawdziwy powód do świętowania. Niechaj rozpocznie się kampania na rzecz „zwycięstwa nad śmiercią”.

Pierwszy przystanek Zoltana będzie miał miejsce na festiwalu „biohackingu” w Tehachapi. Tutaj, w świątyni postępu, marzenia o zwiększeniu ludzkich możliwości poprzez zaawansowane technologicznie implanty zdolne zmienić każdą ludzką istotę w coś w rodzaju superbohatera posiadającego w zanadrzu dziwne cybernetyczne moce to jeden z fundamentów wiary. Już dzisiaj przecież, jak notuje w swoim dzienniku: „paralitycy mogą chodzić dzięki egzoszkieletom, niewidomi mają szansę zobaczyć świat poprzez bioniczne oczy, a ci pozbawieni kończyn mogą chwycić butelkę wody i napić się dzięki sztucznej dłoni połączonej bezpośrednio z systemem nerwowym”.

Kandydat na prezydenta kładzie się na kozetce i nonszalancko pozwala sobie wszczepić czip pod skórę lewej dłoni. Chce pokazać, że to zupełnie bezpieczny, drobny zabieg.

– Och, czuję się, jakbym mógł się obudzić w Matriksie – żartuje, kiedy jest już po wszystkim, nawiązując do idei sióstr Wachowskich, bo przecież: – Procedura jest błyskawiczna i prawie zawsze bezbolesna. – To małe poświęcenie umożliwia nam początek transformacji w cyborga. – Niektórzy uczestnicy festiwalu – mówi – są w stanie uruchomić samochód bez kluczy, wystarczy, że pomachają przed kierownicą dłonią uzbrojoną w czip.

Nazajutrz możliwe okaże się wyłączenie alarmu w ten sam sposób. Albo zapłatanie za kawę w Starbucksie. Zapomniałeś biletu na samolot? Nie ma sprawy, wystarczy przesunąć ręką po fotokomórcie i bramka na odprawie na lotnisku staje przed tobą otworem.

„Żyć dłużej, by żyć wiecznie” – brzmi hasło ruchu Transhumanistów.

Zoltan jest jego twarzą – ewangelista z wyznania i pastor, w przeszłości był odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą, dzięki czemu znajduje się w dogodnej pozycji, by w pełni oddać się transhumanistycznym ideałom. Ma nieco ponad czterdzieści lat, jest postawnym blondynem cieszącym się dobrym zdrowiem i na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie młodego chłopaka w ciele atlety w szczytowej formie. Zoltan to uosobienie transhumanistycznych postulatów, modelowy rzecznik bojowników sprzeciwiających się śmierci, od których dzisiaj roi się w Dolinie Krzemowej. Również na wysokich szczeblach, od Google’a po PayPal.

– Moim zasadniczym celem jest życie na czas nieokreślony – oznajmia na wiecu wyznawców Kościoła Wiecznego Życia, którego główny dogmat zrzesza chrześcijan, buddystów, żydów, ateistów, humanistów i hinduistów, jednomyślnych entuzjastów idei fizycznej nieśmiertelności.

Manifest Istvana jest czysto polityczny, nie stanowi osobistej filozofii życia. Wszyscy powinniśmy żyć wiecznie i pewnego dnia, dzięki nauce i technologii, zdołamy to osiągnąć. Śmierć nie jest bowiem niczym naturalnym, śmierć to tylko pewien etap ludzkiego rozwoju, który należy przewyciężyć.

– Śmierć nie jest naszym przeznaczeniem – objaśnia spokojnym tonem. Lata temu sam cudem jej uniknął. Zaproszony w charakterze dziennikarza do Wietnamu, uszedł z życiem wyłącznie dzięki interwencji swojej przewodniczki, która w ostatniej chwili zdołała zatrzymać go na krok od miny.

W zachowaniu i sposobie bycia Zoltana nie ma już ani śladu strachu. Poświęcił całe swoje życie, by wymazać go bezpowrotnie, rozwiązać kwestię zaświatów, przeciągając je na stronę żywych, wedle własnego upodobania dostosowując metafizykę do postępu technologicznego.

A zresztą, jak prowokuje wyznawców retorycznym stwierdzeniem:

– Gdyby już dziś na rynku pojawił się algorytm zdolny nas wszystkich uszczęśliwić, wielu z nas prawdopodobnie by z niego skorzystało.

Pomimo ambicji Istvana jego zdaniem z odpowiedzialnością spoczywającą na tym, kto zasiądzie na fotelu w Gabinetce Owalnym, lepiej poradziłaby sobie sztuczna inteligencja.

– W gestii prezydenta leży zapewnienie jak największych korzyści jak największej liczbie osób. To zadanie, z którym maszyna może uporać się znacznie

lepiej niż człowiek.

Nie można wykluczać, że jeszcze lepszym rozwiązaniem byłaby współpraca maszyny z człowiekiem. Dlatego też Zoltan podczas swojego *tournée* prosi wyborców, by wyobrazili sobie listy kandydatów – „roboludzi” startujących w wyborach w ciągu najbliższych dwudziestu pięciu lat.

Wszystko idzie zgodnie z planem.

Pewnego popołudnia, podczas wiecu w San Diego, oznajmia, że: „starzenie się to uleczalna przypadłość”, a jednocześnie zastanawia się, czy: „nauka zdoła sprawić, że miłość będzie wieczna”. Następnie pojawia się w ośrodku robotyki w Phoenix. Jeszcze później odwiedza giganta kriogeniki, Alcor, miejsce, w którym na własne życzenie można poprosić o odcięcie głowy i umieszczenie jej w opakowaniu próżniowym, w oczekiwaniu na to, aż nauka zdoła wskrzesić martwe ciało, niczym tajemnicze bóstwa egipskie z czasów faraonów odpowiedzialne za wskrzeszanie ciał zamkniętych w sarkofagach.

Nie należy zapominać o polityce w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Transhumaniści pochodzą z różnych frakcji politycznych, jednak Zoltan jest libertarianinem i głęboko wierzy w siłę wyrównawczą automatyzmu rynkowego, czyli, innymi słowy, w kapitalizm pozostawiony samemu sobie. Odrzuca zasady i koncepcję państwa opiekuńczego prawiącego moralizmy swoim obywatelom. Każdy powinien być w stanie decydować o samym sobie, *rosnąć* lub *maleć*, w zależności od osobistych preferencji.

Za kilka najbliższych dziesięcioleci przestaniemy być ostatnim ogniwem ewolucji. Coś nas wyprzedzi. Być może sztuczna inteligencja z nowo nabytą świadomością, być może nasza ludzko-technologiczna hybryda, nowa forma rozwoju. Na 2045 rok, według transhumanistów, przypada najdonośniejsze wydarzenie w historii ludzkiego gatunku, którego będziemy świadkami – ostatnie z tych zrozumiałych dla obecnego człowieka, ponieważ później nic nie będzie już takie samo, wszystko będzie wykraczać poza granice zrozumienia ludzkiego umysłu w znanej nam formie. Ten moment w słowniku transhumanistów określany jest jako technologiczna osobliwość (*Singularity*). To dzień, w którym człowiek technicznie życie w czującą maszynę lub sam zespoli się z nią w jedną całość. Dzień, w którym zmienią się granice poznania i doświadczenia, rozszerzając się do nieskończoności. Dzień, w którym człowiek, tak jak (przesadnie) inteligentna

osobista asystentka Samantha w filmie *Ona*, rozplynie się w niewiadomym i nieznanym.

Nareszcie osiągnie swoją ostateczną, idealną formę, niczym Bóg.

*

Pewnego dnia, podczas jednej z wielu rozmów, które odbył w swoim autobusie z autorem obszernego reportażu opublikowanego na łamach „The Verge”^[13], Istvan odpowiada na pytanie dziennikarza Elmo Keepa o wizję przyszłości, w której wszyscy naprawdę zaczynają żyć wiecznie. Co z emeryturami? Co z pracą? A, przede wszystkim, czy na naszej planecie nie wyczerpią się wszystkie istniejące zasoby? Przeludnienie, głód, katastrofy naturalne – wszystko to wygląda bardziej na doskonały przepis na kataklizm niż na zbawienie.

„Kiedy pytam go o to, w jaki sposób Ziemia miałaby poradzić sobie z miliardami nieśmiertelnych mieszkańców – notuje Keep – odpowiada, żebym się tym nie przejmował. Bo w ciągu najbliższych dwudziestu pięciu lat i tak «wszyscy zmienimy się w maszyny»”.

A kiedy jesteś maszyną, przypomina nam Zoltan, nie potrzebujesz powietrza ani pożywienia, tylko energii słonecznej. To wszystko, czego ci trzeba. Jeśli ludzkość zespoli się z maszynami, Ziemia mogłaby stać się domem dla nieskończonej ilości takich hybryd.

– Gdybyśmy tylko zdołali przeistoczyć się w „czystą energię” – przepowiada – moglibyśmy zgromadzić całą ludzką populację na dachu wieżowca, takiego jak Empire State Building, wypełnionego serwerami podłączonymi do sieci połączeń neuronowych.

Zoltan kocha życie ponad wszystko. Jak bardzo? Keep pyta go o to, podczas gdy pozostała część ekipy zabiera się do sprzątnięcia. Została tylko chwila na pożegnalnego drinka. Rozmowa znacznie się przeciągnęła.

Co musiałoby się wydarzyć, drogi Zoltanie, żebyś choć na chwilę wysiadł ze swojej karuzeli fantazji?

– Nie chciałbym nigdy być niewolnikiem – odpowiada. – Gdybym miał stać się częścią systemu, w którym najstraszliwszą karą na wieczność jest niewolnictwo, wtedy uznałbym, że lepsza jest śmierć niż niepotrzebna, bezcelowa egzystencja.

Nie piekielna: bezcelowa. Pośród futurystów od zawsze obowiązuje ten sam imperatyw moralny – efektywność.

Keep nie jest usatysfakcjonowany odpowiedzią, nie daje za wygraną. Jest jak uosobienie Brookera i ducha *Czarnego lustra*, kierując do Zoltana perfidne pytanie:

– A jeśli wpadłbyś w taką niewolę i nie mógłbyś odebrać sobie życia?

Gdybyś znalazł się na zawsze sam, gdybyś stał się jedynym więźniem w samym środku pustego uniwersum, swojego własnego wirtualnego świata?

Gdybyś skończył na wieczność w ciele szmacianej lalki, jako ludzka świadomość o możliwościach ekspresji pluszowej mały, która potrafi tylko dziękować albo prosić o to, żeby ją przytulić?

Gdybyś stał się cyfrowym duchem skazanego na śmierć, uwiecznionym wyłącznie po to, by wciąż na nowo przeżywać swoją egzekucję?

Światopogląd Zoltana i koncepcje Brookera zdają się przecinać w jednym punkcie – w rozmowie dziennikarza z transhumanistą, która rzeczywiście miała miejsce i którą możemy odczytać jak scenariusz kolejnego odcinka *Czarnego lustra*.

Do myślenia skłania zwłaszcza odpowiedź. Jeśli twoja cyfrowa replika miałaby żyć wiecznie, ale jako byt zniewolony? Co ją czeka, skoro śmierć nie jest możliwa?

Ten jeden, jedyny raz Istvan nie popisał się swoim zwykłym optymizmem:

– W takim przypadku jesteś w piekielnej pułapce, na wieczność.

Zatoka San Junipero o zachodzie słońca zmienia się w magiczne miejsce. Powoli zapalają się łagodne światła górującego nad nią miasta. Niebo przybiera różowawy odcień, niedługo będzie zmierzchać. Morze jest spokojne, a plaża pusta – cała do dyspozycji Yorkie i Kelly, radosnych młodych kobiet siedzących na bagażniku jeepa i świętujących w weselnych sukienkach swoje zaimprovizowane zaślubiny.

Piasek, wiatr, ptaki ćwierkające w oddali – sceneria wydaje się bardzo realna. Yorkie wie, że tak nie jest, a mimo to zmysły wmawiają jej coś innego. Powtarza sobie raz po raz, że San Junipero to wirtualna rzeczywistość, gra wideo, w której przebywają śmiertelnie chorzy, umierający i martwi – iluzja życia wiecznego. To cyfrowy sen, w którym replika naszej świadomości może doświadczać tego samego co w prawdziwym życiu.

Nie potrafi w to jednak uwierzyć.

Jak może to być iluzja, skoro mogę się nawet zakochać? Przynajmniej miłość powinna być prawdziwa. Przecież *jest* prawdziwa.

Ta myśl podtrzymuje ją na duchu.

– Uwielbiam to miejsce – mówi do swojej wybranki, podskakując boso po plaży. Śmieje się do rozpuku, tryska radością.

Kelly zdaje się nie dzielić jej entuzjazmu. Nie po raz pierwszy odwiedzają San Junipero. To tu przypadkiem się poznały, jeszcze zanim zaczęły się szukać i zanim zaczęły się kochać.

Ich historia zdawała się niesamowicie piękna, aż do pewnego dnia, w którym wszystko nagle się zmieniło. W realnym świecie serce Yorkie przestało bić. Teraz może zakochiwać się i podskakiwać na piasku wyłącznie w wirtualnej rzeczywistości – w tej prawdziwej jest martwa.

Dla niej San Junipero to okazja do rozpoczęcia nowego życia.

– Teraz wreszcie czuję, że żyję – dodaje, patrząc Kelly prosto w oczy, w których widzi obietnicę szczęśliwej przyszłości w tej wiecznej krainie. Przyszłości, która nie będzie opowieścią o dwóch starszych cierpiących na nieuleczalne schorzenia, skazanych na przemijanie i kres, ale o dwóch młodych i pięknych dziewczynach, których historia wciąż jeszcze nie została napisana. Wystarczy tylko, że Kelly zrobi pierwszy krok i zdecyduje się przenieść również swoją świadomość do San Junipero, raz na zawsze. Tylko wtedy będą mogły żyć i kochać się wiecznie.

A jednak Kelly, chora na raka, lecz wciąż żywa, nie chce się zgodzić.

Nachodzą ją wątpliwości – nie wie, czy naprawdę rozumie znaczenie słów „na zawsze”. A gdyby okazało się, że z jakiegoś powodu któregoś dnia zachcemy przestać żyć wiecznie?

A jeśli San Junipero stałoby się dla nas nieznośną złotą klatką?

Poza tym, myśli, czym jest miłość pomiędzy dwiema osobami, które się nie zmieniają, nie dojrzewają, nie dorastają? Bo właśnie tym jest San Junipero – to wirtualne miejsce, żywiące się naszymi wspomnieniami, pozwala nam wciąż na nowo przeżywać chwile zapisane w naszej pamięci, ale nie jest w stanie zastąpić nam naturalnego biegu rzeczy. Z definicji w San Junipero brakuje epilogu.

Być może przez jakiś czas faktycznie by to zadziałało – jako lek na samotność, strach przed nieznanym i śmiercią wystarczyłby wieczny zastrzyk z kompleksowej mieszanki naszych tęsknot. Lepsza oszukana miłość, rozpalająca się wciąż na nowo

w odrapanej tancbudzie z lat osiemdziesiątych odtworzonej przez bóg wie jakie oprogramowanie, niż szpitalne łóżko, z którego nie można się podnieść. Lepiej zamieszkiwać we własnych wspomnieniach, niż tracić je, jedno po drugim, wraz z postępującą chorobą Alzheimerera.

A gdyby któregoś dnia czar prysł? Jeśli miłość przybrałaby groteskową formę, nuda czy chęć ucieczki zrobiłyby swoje albo, w najbanalniejszym ze scenariuszy, technologia tworząca obraz San Junipero zepsułaby się lub została zhakowana? Co by się z nimi stało?

I oto po raz kolejny, w tej historii zaczerpniętej z *Czarnego lustra*, odbija się, jak w krzywym zwierciadle, niepozorna uwaga rzucona przez Istvana. Przed nami rozciąga się niekończące się piekło.

A może wcale tak nie jest?

Jasne, że nie. Yorkie jest przekonana, że również w San Junipero można umrzeć – wystarczy się zdecydować.

– Możesz usunąć się w sekundę, ot tak. – Pstryka palcami, usiłując przekonać kobietę, którą kocha. Również z tej magicznej scenerii wiecznego zachodu słońca jest wyjście awaryjne. Można wyłączyć własną cyfrową kopię. Można przecież pożałować swojej własnej decyzji o nieumieraniu. – To nie pułapka.

A jednak. Bo jak inaczej nazwać historię bez zakończenia, w niekończącym się życiu? Jak poradzić sobie z opuszczeniem, odrzuceniem, wspomnieniami, jeśli nie można umrzeć? Czy zbierający się bez końca ból nie okaże się w pewnym momencie nieznośny? Czy naprawdę lepsza od śmierci jest wizja wieczności pełnej udręk jednej, jedynej miłości?

Jeśli staniemy się cyfrowymi replikami nas samych, wiecznie młodymi, wiecznie zdrowymi, czy wciąż możemy się nawzajem zdradzać, odkochiwać, porzucać, ignorować?

Kelly zdaje się ważyć tego rodzaju pytania, mówiąc swojej kochance, że nie chce przeprowadzać się do San Junipero na stałe, kiedy odejdzie z realnego świata. Tylko dlatego, że któregoś dnia będzie musiała się skończyć, myśli, tylko dlatego miłość może być tak silna, tak wielka i tak niewytłumaczalna.

W przeszłości, wyznaje, straciła mężczyznę, który wolał śmierć od San Junipero. Zdecydował tak ze względu na szacunek do ich córki, która umarła, zanim można było dokonać wyboru pomiędzy śmiercią a wirtualnym przetrwaniem. Jak

sprzeciwić się mężowi i ojcu mówiącemu: „Skoro ona nie mogła wybrać, jak mógłbym sam tego dokonać?”.

Yorkie nie rozumie, uważa to za głupi, pełen egoizmu gest.

– Zdecydował, że porzuci cię na zawsze – mówi jej.

Kelly reaguje wybuchem nieokiełznanej złości, wymierza przyjaciółce policzek.

– Czterdzieści dziewięć lat, byliśmy razem przez czterdzieści dziewięć lat – przypomina jej z wściekłością. – Nie możesz nawet próbować sobie wyobrazić, a co dopiero wiedzieć, jak silna była łącząca nas więź: zaangażowanie, nuda, pożądanie, śmiech. Miłość, pieprzona miłość. Nie wiesz, o czym w ogóle mówisz, nie znasz czegoś takiego. To wszystko, co poświęciliśmy. Lata, które ja mu ofiarowałam, lata, które on ofiarował mnie.

Skończoność. Wartość czasu nierozzerwalnie łączy się z jego upływem. „Czyż w trzydziestu latach życia nie zawiera się więcej życia niżli w stu latach martwej egzystencji?”^[14], zastanawiał się Leopardi w *Zibaldone*, jeszcze zanim sformułował swój potężny i prekursorski zarzut pod adresem zarówno transhumanistów, jak i architektów San Junipero: „Filozofom nie przystoi zadowolić się miarą rzeczy, ale ich ciężarem, oceną ich wartości. W tym celu na nic przydają się suche matematyczne rachunki obliczające faktyczną i abstrakcyjną ilość, ale te szacujące jej istotę, właściwości, naturę, szczególne atuty i prawdziwą siłę”^[15].

Ostatnie słowo, *prawdziwy*, wypowiedziane tamtego wieczoru o zachodzie słońca, to nóż w samo serce. Tak też się staje, kiedy Kelly własnymi słowami tłumaczy swojej towarzyszce myśl poety, pytając ją, czy naprawdę chce: „zawsze już żyć w miejscu, w którym nic nie ma prawdziwego znaczenia”.

– Ja nie – mówi do Yorkie. – Ja wolę nicość od *suchych matematycznych obliczeń*.

*

Chyba że zmieni zdanie. Wówczas Yorkie i Kelly pozostałyby na zawsze lub prawie na zawsze zakochaną i zadowoloną parą czipów wpiętych pośród miliony sobie podobnych w gigantycznej bazie danych – parą cyfrowych uosobień duszy wzbijającej się do lotu w stronę wspólnej przyszłości, pozostawiając nas, widzów, z pytaniem, czy niekończący się i niezmienny raj wciąż jest rajem.

Wielu z nas, gdyby było to możliwe, już dziś wykupiłoby sobie możliwość wiecznego wirtualnego życia. Niektórzy już próbują tego dokonać. Nieprzypadkowo, kiedy tylko przedsiębiorcy poczuli zew nowego rynku niezależnego od przemijających mód i wartego miliardy dolarów, w Dolinie Krzemowej zaczęły się mnożyć start-upy i firmy usiłujące przekształcić kres naszego istnienia w spersonalizowaną „usługę”, związaną już nie z samą egzystencją, a wyłącznie z rozwojem technologicznym.

Ponad czterdzieści tysięcy osób, dla przykładu, zapisało się już do zakupu oprogramowania, które obiecuje „wirtualną wieczność”. Software nazywa się Eternime – „Uwiecznij mnie” – i oferuje swoim użytkownikom możliwość dołączenia do uprzywilejowanej grupy przedpremierowych testerów próbnej wersji programu. To dość znana koncepcja, przynajmniej dla fanów *Czarnego lustra*. Program zbiera twoje „myśli, historie i wspomnienia”, analizuje je i opracowuje, aż wreszcie wykorzystuje, by stworzyć „inteligentnego awatara, który przypomina właśnie ciebie”.

Eternime stawia wprost swoje pytanie: „Co by się stało, gdybyśmy mogli żyć jako wirtualne awatary siebie samych?”. Co, jeśli: „istoty z przyszłości mogłyby naprawdę wchodzić w interakcję z twoimi wspomnieniami, opowieściami i pomysłami, tak jak gdyby rozmawiały faktycznie z tobą?”. Jeżeli pomysł się sprawdzi, być może okaże się najcudowniejszym z wynalazków. Da nam pocieszenie i ukojenie. A jeśli nawet któraś szczególna cyfrowa kopia nie wykazywałaby zadowalającego podobieństwa do oryginału, dlaczego miałoby to właściwie stanowić problem, czy wręcz koszmar dla wszystkich? Ile innych wirtualnych replik naszych zmarłych bliskich okazałoby się wystarczających, by zadowolić, a przynajmniej dać ukojenie tym, którzy nie są w stanie poradzić sobie ze stratą?

Dla ilu, innymi słowy, tyle by wystarczyło?

Tak ambitny i jednocześnie przerażający projekt jak Eternime każe o sobie myśleć w kategoriach „biblioteki osób, nie książek”. Lub też „interaktywnej historii obecnych i przyszłych pokoleń”. Dzisiaj zaglądam do mojego zmarłego na raka ojca i wskrzeszam go w internetowym czacie, w którym używa nagminnie stwierdzenia: „a ty zawsze na przekór wszystkim” i daje upust swoim cynicznym i politycznie niepoprawnym tyradom, dokładnie tak, jak robił to przy każdym posiłku i podczas wieczornych wiadomości. Jutro zwierzę się przyjacielowi, który

stracił życie na drugim końcu świata, osuwając się w wir wodospadu. Każda z tych osób ma swoje miejsce na cyfrowej półce. Wystarczy kliknąć u góry po prawej stronie na „X” i okienko czatu się zamknie.

To jednak w dalszym ciągu ledwie przenośne znaczenie nieśmiertelności, które wielu wyda się niewystarczające. Niejeden będzie chciał naprawdę żyć wiecznie. Nie jako rodzaj inteligentnego oprogramowania zdolnego zdać test Turinga z krewnym czy przyjacielem po drugiej stronie ekranu – lecz zapragnie doświadczyć nieskończonego życia.

Być samym sobą, zachować własną świadomość w innym ciele, naturalnym lub syntetycznym.

Istnieje wiele poglądów filozoficznych sprzeciwiających się tej hipotezie, ale spróbujmy na chwilę udać, że o nich zapomnieliśmy. Wyobraźmy sobie, że sprawy mają się dokładnie tak, jak zakładają teoretycy *mind uploading*, czyli transferu umysłu, i że umysł zupełnie nie zależy od materii, z której zbudowana jest ludzka istota. Wyobraźmy go sobie jako software, oprogramowanie, dla którego ludzki mózg jest wyłącznie sposobem kodowania, językiem złożonym z układu linii delikatnych struktur połączeń neuronowych.

To wciąż tylko założenia. Jeśli strukturę tego rodzaju można byłoby zmapować, opisać aktywność mózgu poprzez zastosowanie narzędzi obliczeniowych w komputerze, moglibyśmy dokonać emulacji umysłu, przenieść go na nowy nośnik – tak samo jak jedno oprogramowanie da się uruchomić na różnych sprzętach. Jeśli nasz programista okazałby się wystarczająco zdolny, a narzędzia obliczeniowe wystarczająco potężne, byłibyśmy w stanie utrzymać się przy życiu bez względu na naszą fizyczną ułomność, przechodząc z ciała do ciała, niczym w scenariuszu *Altered Carbon*.

Entuzjaści tej koncepcji nazywają to „niezależnością od substratu”. Jeśli ewolucja doprowadziła nas do miejsca, w którym narodził się *homo sapiens*, ten sam *homo sapiens*, poprzez technologię, może pokonać własne ograniczenia i wymienić węgiel na krzem, przenosząc świadome doznania z człowieka na nadczłowieka o niewyobrażalnych zdolnościach kognitywnych i fizycznych.

Dla niektórych taka koncepcja brzmi jak czysta fantazja. Czy też raczej chora fantazja. Przeciwnicy tej teorii szydą z jej zwolenników.

Tymczasem jednak inicjatywy naukowców i przedsiębiorców mnożą się jak grzyby po deszczu.

Są i tacy, którzy, jak holenderski badacz Randal Koene, próbują opracować dokładną i kompletną mapę mózgu, zasadniczą informację, bez której marynarz – transhumanista – skazany jest na bezcelowe dryfowanie. Celem jego fundacji, Carboncopies, jest ni mniej, ni więcej, tylko: „przechowywanie, naprawianie i wreszcie pogłębianie doznań wewnętrznych, wykraczające poza ograniczenia biologii”^[16], tej zajadłej, wrogiej siły przewidującej koniec i śmierć. Dzięki odpowiedniej determinacji możliwy okaże się „postęp naukowy”, który już za naszego życia pozwoli nam zrozumieć, w jaki sposób neurony i synapsy „koduują nasze wspomnienia”, i tym samym, w przypadku gdyby zostały zniszczone, odzyskać je dzięki „protezom neuronowym” czy też naprawić funkcje mózgowe osłabione przez chorobę czy starzenie się organizmu. Jeśli nasza maszyna miałaby się nie nadawać już do niczego, zawsze można zastąpić ją drugą – nowiusieńkim cyfrowym mózgiem.

Koene zdaje sobie sprawę, że jego badania brzmią jak fragment z książki Arthura Clarke’a – powieści właśnie tego pisarza sprawiły, że Koene po raz pierwszy zakochał się w materii jako młody chłopak. To autor *Miasta i gwiazd*, ten sam człowiek, który zabrał nas w podróż w głąb sztucznej inteligencji i sztucznie wykreowanego okrucieństwa w *2001: Odysei kosmicznej*.

Mimo to obecnie *brain mapping* nie jest już wymysłem science fiction, lecz rzeczywistością. W tę dziedzinę zainwestował drugi rząd prezydenta Obamy, który w 2013 roku uruchomił BRAIN Initiative – projekt współpracy pomiędzy sektorem publicznym a prywatnym powstały w celu szczegółowego zrozumienia każdej, najmniejszej nawet części mózgu, ujawnienia sekretów percepcji i – w tym tkwi największe wyzwanie – świadomości. Dostyc podobna inicjatywa ruszyła z ramienia Komisji Europejskiej, pod nazwą Human Brain Project – to dziesięcioletni projekt badawczy, którego celem jest stworzenie „jak najdokładniejszej symulacji ludzkiego mózgu”.

Można zatem – choć pewnie nieco na wyrost – nazwać Koenego wizjonerem.

Nie tylko Koene zresztą wróży nam przyszłość, w której ciało przestaje być częścią naszej osobistej tożsamości i staje się towarem zamiennym. Wizję, w której umysły są niczym twardy dysk – poddają się replikacji na polecenie.

Firma start-upowa Nectome, na przykład, oferuje „zeskanowanie twojego mózgu i wykorzystanie tych informacji, żeby odtworzyć twój umysł”. I już zaczęła zbierać surowce niezbędne do prezentacji swoich dokonań – najbardziej przerażającego marketingowego *pitchu* w całej historii odważnych pionierów innowacji z inkubatora biznesowego Y Combinator: „Jeśli jesteś nieuleczalnie chory, pozwól nam uzyskać dostęp do twojego końca. Dzięki temu to nie będzie prawdziwy koniec!”.

Problem polega na tym, że ten rodzaj surowca potrzebny jest w jak najświeższym stanie. Według dwójki współzałożycieli, w obu przypadkach absolwentów prestiżowego bostońskiego MIT, jeśli umierających pacjentów w ich ostatnich chwilach podłączyłoby się do mechanicznego płucoserca i jeśli otrzymaliby w tętnicę szyjną zastrzyk z mieszanką odpowiednich substancji chemicznych – owszem, umarliby, ale ich mózgi zachowałyby się w każdym najdrobniejszym szczególe.

Paradoksalne samobójstwo wspomagane – nasuwa się pierwsze skojarzenie. Pod warunkiem, oczywiście, że pacjent żyje *przed* zabiegiem i jest martwy *po* nim, by móc zmartwychwstać w nieokreślonym momencie w przyszłości. Technika opracowana przez Nectome w istocie pozwoliłaby zachować odpowiednią ilość informacji na temat dopiero co obumarłego mózgu, by umożliwić – kiedy, rzecz jasna, postęp technologiczny na to pozwoli – odtworzenie płataniny połączeń sieci neuronowej i w ten sposób przywrócić pacjentowi życie.

Nie ma to większego znaczenia, że uczelnia odcięła się od poczynąń swoich byłych studentów i że wyjściowe założenie brzmi wciąż jak czyste science fiction. O wiele ważniejsze jest to, że wiemy już, że start-up uzyskał finansowanie z zasobnego funduszu federalnego, jak pisze „Technology Review”, i może pochwalić się współpracą z cenionym specjalistą z zakresu neurologii z MIT, a nawet otrzymał nagrodę w wysokości 80 tysięcy dolarów za zachowanie mózgu świni w tak dobrym stanie, że przez mikroskop elektronowy widać było każdą pojedynczą synapsę^[17].

Brzmi to jak klasyczna proza Hansa Moraveca, który teoretyzował na ten temat już w 1988 roku. Mężczyzna leżący na sali operacyjnej obserwuje, jak maszyny rozcinają mu czaszkę, aż wreszcie pozostaje mu tylko wyzute z doznań fizycznych postrzeganie samego siebie, obserwowanie nieruchomego ciała z zewnątrz, oczekiwanie w gotowości na nowe ciało, które zechce go ugościć.

„Twoje zwierzęce życie dobiegło teraz końca – streszcza jego słowa „The Guardian”. – Nastął czas twego maszynowego życia”^[18].

Na dłuższą metę *Czarne lustro* to tylko sposób przełożenia na obraz tego, jak nieludzkie zdaje się nieskończone życie, jak absurdalna jest koncepcja świadomości pozbawionej śmiertelnego ciała.

Jeśli nazajutrz wśród ofert biura podróży pojawi się bilet w jedną stronę do wirtualnej wieczności, lepiej pamiętać o tym, żeby zapytać o możliwość powrotu. Albo przynajmniej ucieczki.

ZAUFAJ MI

Niedawno, podróżując, kilka ludzkich reakcji dało mi do myślenia. Właściciel hotelu w Lizbonie w zamian za obietnicę nieumieszczania negatywnej recenzji o moim zakwaterowaniu na Bookingu czy TripAdvisorze oferuje mi zwrot kosztów, po tym, jak poskarżyłem się na pewne niedogodności, którym nie był w stanie zaradzić.

Dostawca w Mediolanie, przemoknięty do szpiku kości, kaja się i prosi o przebaczenie, ponieważ moja kolacja dotarła z dwuminutowym opóźnieniem względem czasu oczekiwania podanego przez aplikację, dla której pracuje. Na wypadek gdyby przyszedł mi do głowy pomysł, żeby ocenić jego pracę czterema gwiazdkami zamiast pięciu.

Pani sprzątająca w moim mieszkaniu, znaleziona przez apkę Helpling, postanawia pracować o pół godziny dłużej, niż ustaliliśmy, i nie chce za to nawet grosza więcej. „Wystarczy, że dasz mi najwyższą ocenę w aplikacji”.

Kierowca Ubera w samym sercu Amsterdamu dostaje szału, usiłując dojść do tego, czy ja to rzeczywiście ja i czy przypadkiem nie zamówił go inny klient, który teraz czeka na styczniowym deszczu i mrozie, przez co z każdą minutą prawdopodobieństwo otrzymania negatywnej oceny wzrasta.

W całym swoim życiu widziałem niejednego taksówkarza upewniającego się, że do jego samochodu wsiada właściwa osoba. Nie brakowało również tych, którzy mieli to głęboko gdzieś. Nigdy jednak nie zdarzyło mi się widzieć nikogo, kto wpadłby we wściekłość i tracił rozum ze strachu, że pomylił mu się klient – czy gorzej – że *sam się pomylił*.

Mógłbym sypać takimi przykładami w nieskończoność, ale sprawa jest oczywista. Im bardziej wciąga nas wirtualny świat, tym większy wpływ mają na nas wszelkie recenzje w każdym możliwym wydaniu. Wszystko, co przychodzi nam do głowy, podlega numerycznej ocenie, wymaga naszego stanowiska. Nasza opinia zostaje przeliczona na matematyczną średnią wyrażoną w procentach, liczbie gwiazdek lub kciuków „lubię to”.

Dotyczy to naszych zakupów na Amazonie, wynajmowanych przez Airbnb mieszkań, wyszukiwań w Google i stron na Facebooku – nasze recenzje, opisowe czy wyrażone jednym kliknięciem, mają fundamentalne znaczenie. Według badania przeprowadzonego przez Fan & Fuel Digital Marketing Group 97% nabywców dokonujących zakupu przez Internet przyznaje, że opinie innych użytkowników bezpośrednio wpływają na ich decyzje konsumenckie. Nie tylko – 92% badanych przyznało, że brak recenzji przekłada się na ich ograniczone zaufanie względem produktu czy usługi i skutecznie odstrasza od zakupu w wirtualnej kasie^[19]. „Odkryliśmy, że internetowe recenzje uznaje się za drugi najważniejszy czynnik skłaniający do zakupu danego produktu czy wyboru danej restauracji” – oznajmił Mandy Yoh z ReviewTrackers w wywiadzie dla „New York Post”. – „Skuteczniejsza jest tylko rekomendacja przyjaciół lub rodziny”^[20].

Podwójny nakaz i jasny przekaz. Po pierwsze: *ocenić*. Po drugie: *sugeruj się oceną innych*.

Dla niektórych oznacza to prawdziwy koniec krytyki, dotychczas domeny profesjonalistów – teraz powierzonej ludziom z ulicy czy fałszywym profilem, stworzonym na potrzeby ingerencji w istniejącą ocenę. Dla innych to długo wyczekiwana demokratyzacja, niezbędna, by prawdziwie bronić odbiorców przed dyskusyjnymi gustami i, w szczególności, stronniczością krytyków.

Nie dziwi zupełnie fakt, że założyciel Tesli i SpaceX, Elon Musk, wywołał głośną dyskusję propozycją stworzenia strony internetowej, za pomocą której można byłoby oceniać wiarygodność danej informacji, a przede wszystkim wyrazić swoją opinię na temat każdego dziennikarza. *Credibility score*, czyli punktowa ocena wiarygodności, miałyby wreszcie uwolnić nas od dziennikarskich chłopców na posyłki czekających na jedno skinienie swoich przełożonych, którzy zniszczyli naszą wiarę w obiektywne dziennikarstwo i doprowadzili populistów do władzy na całym świecie. Musk zaproponował, by portal nosił prowokacyjną nazwę „Prawda”, tak jak oficjalny organ prasowy Związku Radzieckiego. Wydawany z ramienia Partii Komunistycznej, rzecz jasna.

Wystarczyły zaledwie 24 godziny, by ponad 400 tysięcy użytkowników Twittera wyraziło swoją aprobatę względem pomysłu nadania prawdzie i dziennikarskiej wiarygodności takiego samego statusu jak reszcie ludzkiej aktywności – od teraz i te miałyby podlegać podwójnemu nakazowi: *ocenić* i *sugeruj się oceną innych*.

Reporter zrównany z gońcem, kierowcą, gospodarzem podnajmującym pokoje czy księgarnią. Od teraz to wirtualna rada ludowa zebrana przed monitorami swoich własnych komputerów powie nam, ile – i czy w ogóle cokolwiek – jest wart.

Na pierwszym miejscu jest punktacja, czyli rating. A jeśli musimy wybrać spośród dwóch rzeczy o tym samym ratingu, lepsza wydaje się ta z większą liczbą recenzji. Tak mówią badania naukowe.

Nie mamy wyjścia – musimy dążyć do perfekcji, jeśli chcemy uzyskać jak najwyższy *score*.

Ale to nie wszystko: powinniśmy być również dość lubiani, jeśli chcemy, żeby jak najwięcej osób potwierdziło nasz rating.

I stąd bierze się niepokój, którego byłem świadkiem.

Koniec końców tak jest przecież sprawiedliwie. Coraz krócej musimy czekać na kanapki czy taksówki, w domu robi się czyściej i jakby przestronniej, książki cieszą oko niezaprzeczalnym pięknem, a ta klinika, tamta, o której tak wielu pacjentów napisało, spontanicznie i z własnej nieprzymuszonej woli, że wyzdrowieli właśnie tylko dzięki niej, z całą pewnością jest najlepsza.

Poza tym jeszcze kwestia woli większości. I demokracji. Bezpośredniej, więc najlepszej z możliwych. Co mogłoby być w tym szkodliwego?

– Gdybyś mi powiedziała, że ten pomysł przyniesie nam dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów zarobku, przeprowadziłybyśmy się do San Francisco na trzy miesiące, żeby zrobić z tego apkę – mówi Julia, śmiejąc się od ucha do ucha. – Powiedziałabym ci wtedy: no jasne, czemu nie!

Siedzi za kierownicą luksusowego audi, a za oknami samochodu migają zieleń i słońce Kalifornii. Kobieta tryska entuzjazmem – jedzie na drugie spotkanie z deweloperami aplikacji służącej do oceny ludzi, Peeples, wymyślonej wspólnymi siłami wraz z współzałożycielką firmy, Nicole.

Trzecia pasażerka nagrywa wszystko z tylnego siedzenia. Jest wiosna 2015 roku, dwie kobiety siedzące z przodu – młode, pewne siebie blondynki, są przekonane, że mają w rękach godnego następcę Facebooka. Kod, który po raz kolejny odmieni losy świata. Dlatego też każda sekunda tej wiekopomnej chwili zostaje

uwieczniona, każde słowo, każda nadzieja i wyznanie muszą znaleźć się na nagraniu, na YouTube, na później dla potomnych.

Rozmowa toczy się o „dobrze ogółu” – obiecuje Julia, wyraźnie podekscytowana, próbując wydostać się z zatłoczonej drogi – o tym, „jak odkryć, kim są naprawdę dobrzy ludzie”.

San Francisco to dla Julii Cordray miejsce powrotu. To tutaj się urodziła i dorastała, tu spędziła połowę swojego życia, przed przeprowadzką do doliny Okanagan w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Ciepła, empatyczna, przedsiębiorcza, stawia pierwsze kroki w świecie biznesu. Po pracy jako przedstawicielka gigantycznego koncernu spożywczego General Mills oraz dziesięciu latach bycia rekruterką w Calgary przeszła na własny rachunek i założyła firmę.

Ma w sobie żyłkę do biznesu. „Wolność stawiam na pierwszym miejscu” – oznajmia na swoim profilu na LinkedInie.

Z upływem czasu dochodzi do gorzkiej konkluzji. Nasze nieustannie otwarte cyfrowe łącza nie przekładają się na więzi bliskości z drugą osobą. Coraz bardziej *alone, together*, samotni razem, jak głosi tytuł uznanego i krytykowanego bestsellera Sherry Turkle z zakresu psychologii Internetu. Jesteśmy sami pośród tłumu, który ignorujemy i który ignoruje nas, nie ufając już nikomu.

W drugim nagraniu, pokazującym powrót do Kalifornii, Julia opowiada jeszcze bardziej bezpośrednio o swojej koncepcji.

– Bardzo trudno było nam znaleźć miejsce na wynajem – wyznaje przed obiektywem kamery, zmęczona po długim dniu zmieniania świata na lepsze. – Razem z Nicole – opowiada – próbowałyśmy skontaktować się z ludźmi z VRBO (największej strony z ofertami mieszkań na wynajem w Stanach Zjednoczonych), ale najwyraźniej nie mieli do nas zaufania, bo nigdy wcześniej nie korzystałyśmy z tej platformy i nie miałyśmy ani jednej recenzji.

Co gorsze:

– Ja też byłam zmuszona czytać recenzje o ludziach, od których zamierzałam wynająć mieszkanie. Niektóre z nich nieszczególnie zachęcały. Nie wiedziałam, czy mogę im zaufać.

To nie koniec przygody. Najpierw Julia nie jest w stanie nawet dostać się do wynajętego mieszkania. Kod, który otrzymała online, jest błędny. Udaje jej się

przejsć przez próg wyłącznie dzięki pomocy sąsiadów, osób z krwi i kości. To grzech myśleć źle o innych użytkownikach sieci, można byłoby rzec, dodając aktualności słynnemu powiedzeniu najbardziej długowiecznego i najpotężniejszego polityka w historii Republiki Włoskiej, Giulia Andreottiego, ale często okazuje się, że mamy rację.

Dla Cordray to przykre doświadczenie z poszukiwaniem zakwaterowania jest czymś więcej niż anegdotą. To przenośnia – czy aż tak nisko upadliśmy? Przez nasze poczucie samotności i opuszczenia jesteśmy zmuszeni zaufać nieznanym z sieci.

Potrzebna byłaby nam rewolucja, myśli gorączkowo Cordray. Potrzebna jest nam taka usługa jak Peep. Aplikacja, dzięki której każdy, uzbrojony jedynie we własny smartfon, będzie w stanie nawiązywać jakiegokolwiek kontakty wyłącznie z „lepszymi”.

W jaki sposób? Odpowiedź jest prosta. Ściągamy, odpalamy, a aplikacja pokazuje nam wszystkie zapisane do niej osoby w okolicy. Każdemu przypisany jest numer odzwierciedlający sumę oceny trzech aspektów jego osobowości: zawodowego, osobistego i uczuciowego.

– Każdy z nas – ciągnie Cordray – będzie mógł zgłosić do aplikacji, kogo tylko zechce. Wystarczy wprowadzić numer telefonu przyjaciela lub znajomego, a każda osoba wyposażona w komórkę będzie mogła wyrazić swoje pozytywne lub negatywne zdanie na jego temat. Wystawić mu recenzję.

W rzeczywistości to ni mniej, ni więcej, tylko „Yelp stworzony dla ludzi”. Każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie na Ziemi, w utopijnym założeniu, zostaje automatycznie przypisana jakaś liczba w wirtualnym świecie, dzięki której wiemy, jak wiele – i pod jakim względem – dana osoba jest warta. Albo jak *niewiele* jest warta i dlaczego.

W świecie, w którym nasza reputacja jest cenną walutą, „twoja osobowość kształtuje twoje przeznaczenie” – głosi motto rodzącej się cyfrowej rewolucji.

Rate and be rated. Oceniaj i poddawaj się ocenie.

W zamyśle Cordray to doskonałe uzupełnienie naszego społeczeństwa uzależnionego od koncepcji *sharing economy*, czyli ekonomii współpracy. Innymi słowy, idei Ubera dla każdej branży. Czy ten atrakcyjny mężczyzna siedzący przy barze byłby emocjonalnie zrównoważonym i godnym zaufania partnerem? Czy

sąsiadka z mieszkania obok byłaby w stanie zająć się naszym psem, czy raczej dać sobie z nią spokój? A ten barman – warto spróbować zamienić z nim dwa słowa czy to raczej złośliwy gbur, który często pozwala sobie na niestosowne komentarze lub gesty wobec interesantek? Peeples jest w stanie odpowiedzieć na te i wszystkie inne pytania dotyczące otaczających nas osób.

– Jak w małej wiosce – fantazjuje Julia – w której wszyscy się znają, tylko na skalę globalną. I nikt nie będzie już czuł się samotny.

Nagrania się mnożą, jest ich jakiś tuzin. Julia daje jałmużnę kobiecie w potrzebie, spotyka się z obywatelami i ekspertami wszelkiej maści, publikuje raz za razem długie i zabawne burze mózgów z Nicole wprost z zacisza własnego domu. Przyjaciółki nie przepuszczają ani jednej okazji, byle tylko wślizgnąć się na każdą ważną imprezę godną następczyni Zuckerberga, do których aspirują.

W jednym z nagrań Julia wyjawia mimochodem, że Peeples, ich zdaniem, jest „ostatecznym eksperymentem społecznym”.

W innym z kolei siedzi za kierownicą terenowego buggy’ego w Melrose w stanie Montana. Wypiła już kilka szotów whiskey Fireball i w zamieszaniu między jednym ujęciem a drugim, jakby przez pomyłkę, wyznaje z przejęciem, że dąży „nie tylko do pieniędzy, ale do czegoś, co miałyby znaczenie dla całej reszty świata”.

Historycy, usiłując pewnego dnia odtworzyć obraz fascynacji i populistycznej obsesji Doliny Krzemowej, nie będą mogli obyć się bez tego materiału, tej demagogii w czystej postaci. Naturalną częścią wizji, w której „to osoby wpływają na kształt świata, a nie korporacje”, jest to, że to algorytmy będące w posiadaniu tych samych korporacji wyznaczają jej kształt ideologiczny i w niewidzialny sposób wpływają na ludzkie wybory.

W społeczeństwie donosicielskim, zbudowanym od podstaw, liczy się to, co inni o nas mówią.

Nie jest to wyłącznie kwestia polityczna, ale również – przede wszystkim – dotycząca człowieczeństwa. W myśl tej idei człowiek zostaje sprowadzony do wymiaru swojego profilu na Facebooku – jest od niego całkowicie zależny, stosując się nieprzerwanie do sugestii, które jego „przyjaciele” przekazują mu za pomocą serduszek, lajków, komentarzy i szerów. Bo przecież i tak liczy się tylko ich aprobata.

Z tego samego powodu nasze nowe „ja” w pełnym wymiarze mediów społecznościowych jest zobowiązane zadawać się wyłącznie z „najlepszymi z najlepszych”. Otaczać się tymi, którzy mają wyższe oceny i większą liczbę lajków, retweetów, trzymać się zaś z dala od tych, którzy nie spełniają nowych standardów. Nowe cyfrowe teorie kast społecznych. Nie zdając sobie z tego nawet sprawy, uśmiechnięte, niczego niepodważające Julie i Nicole zaprojektowały od strony teoretycznej i usiłowały zrealizować idealną maszynę dyskryminacji i nadużyć, tym bardziej niebezpieczną, że pokrytą patyną uroku i pokusy towarzyskiego awansu, charakterystyczną dla aplikacji cieszących się powodzeniem w epoce mediów społecznościowych. Próbując ocalić świat, autorki nie zauważyły ryzyka wiążącego się z przekształceniem socjotechniki w pewien rodzaj zabawy – sprowadzającej unikalną osobowość do wartości liczbowej.

Minęło kilka tygodni, a branżowe media zwróciły uwagę na kuriozalny pomysł Amerykanek. Następnie apkę dostrzegają media mainstreamowe. Wreszcie o People’u zaczynają mówić wszyscy. A dla Julii i Nicole sprawy się komplikują. Z każdej strony docierają do nich krytyczne głosy mieszające z błotem „utopijną” ideę globalnej łączności i osądów. „Jestem ludzką istotą, a nie algorytmem” – piszą użytkownicy na fanpage’u aplikacji na Facebooku. Premiera People’a coraz bardziej się opóźnia. A jeśli ktoś, kto nas nienawidzi, zechciałby umyślnie nas oczernić w sieci? A gdyby wpadł na pomysł, żeby zabrać się do tego systematycznie, zwerbowałby grupę osób, by zniszczyć nasz wizerunek publiczny i tym samym życie? Czy w jakikolwiek sposób można byłoby temu zapobiec?

Wyobraźmy sobie żony, które od nieznanym komentujących dowiadują się, że zostały zdradzone, a przynajmniej zaczynają tak podejrzewać, choćby nawet miało się to okazać nieprawdą. Pracodawców przeglądających komentarze na temat domniemyanych i niemożliwych do zweryfikowania wad swoich przyszłych pracowników.

Myślałam, że kocha pieski, a tylko zobacz, co o nim wypisują...

Lista możliwych nadużyć ciągnie się w nieskończoność.

W jednym z odcinków swojego vloga, po wieczorze spędzonym na wymianie przejęmości z lokalnymi przedstawicielami branży technologicznej w nocnym klubie, odpoczywającej w zaciszu swojego salonu Julii wyrywa się o kilka słów za dużo.

– Uważam, że należy ponosić odpowiedzialność za swoje deklaracje. Z pewnością jest więcej pozytywnych niż negatywnych skutków takiej postawy. Nie chciałabym jednak, żeby ta apka zawierała wyłącznie pozytywne opinie. – Myśli na głos, przynajmniej ten jeden raz próbuje być szczerą ze swoimi widzami. W istocie, dzięki Peeple: – Będziemy mogli się dowiedzieć, czy ludzie, którzy nas otaczają, kiedyś kogoś okradli, obrazili, czy mają problem z radzeniem sobie ze złością. A może są nałogowymi kłamcami? Może to osobowości narcystyczne? Lepiej takie rzeczy wiedzieć, niż się nad nimi zastanawiać. Nie żyjemy w krainie iluzji, dobrze wiemy, że każdy ma swoją ciemną stronę. Uważam, że moja apka, owszem, wydobędzie z ludzi to, co najlepsze, ale byłoby niedorzecznością pozbawić jej możliwości wglądu w negatywne cechy charakteru.

W zamian za możliwość szybkiej oceny naszych sąsiadów czy znajomych zgadzamy się na system, który pozwala nam dowolnie zniesławić każdego, kto znajdzie się w naszym zasięgu. Wystarczy smartfon i kilka prostych kliknięć!

Rate and be rated. Oceniaj i poddaj się ocenie.

Czy też raczej: *powinniśmy* się na to zgodzić, zwłaszcza że o apce jest głośno od jakiegoś czasu. A jednak prawie nikt się do niej nie zapisuje. Pomimo wysiłków, pomimo usunięcia wszystkich dziwnych materiałów promocyjnych Cordray nie jest w stanie podjąć żadnych sensownych kroków, żeby pomóc Peeple zachować twarz. Projekt kończy się spektakularnym fiaskiem.

A jednak jego widmo wciąż straszy. Wyobraźmy sobie: pojawia się inna apka, bardziej dopracowana i zareklamowana w skuteczniejszy sposób, powielająca ambitne cele Peeple'a. Miliardy użytkowników postanawiają dopasować się do społecznie akceptowalnych i politycznie poprawnych wzorców zachowań, naginając się i ustępując ponad miarę, żeby uniknąć ryzyka otrzymania negatywnej recenzji czy punktacji, która mogłaby obniżyć ich średnią i zepchnąć do kategorii *tych gorszych*.

I w końcu społeczeństwo składa się z osób o statusie zredukowanym do wartości liczbowej, której za wszelką cenę należy bronić przed obniżeniem.

Statusie, który powinien wzrastać, nieustannie wzrastać.

Przyjrzyjmy się Lacie, która potrzebuje dodatkowych punktów. Potrzeba jest konkretna – Lacie chciałaby się przeprowadzić do nowego domu o wyższym standardzie, lepiej wyposażonego i bardziej komfortowego. Chciałaby mieszkać

w okolicy „wyższych numerów”, żeby przebywać wśród *najlepszych*. W jej świecie każdy ma przypisaną punktację – im jest wyższa, tym większymi przywilejami dana osoba może się cieszyć.

Lacie jest pracowita i konsekwentna, posłuszna zasadom panującym w wyimaginowanym, choć tak bardzo podobnym do naszego, społeczeństwie *Czarnego lustra*. Jej punktacja wynosi 4,2. Tyle wystarczy, żeby godnie żyć, ale na tym koniec. Jeśli chciałaby pozwolić sobie na wymarzony dom, musi wskoczyć na pułap rzędu 4,5. To zasadniczy warunek, oznajmia agent nieruchomości, żeby móc skorzystać z 20-procentowego upustu zarezerwowanego wyłącznie dla influencerów.

Codziennie rano Lacie ćwiczy przed lustrem szeroki uśmiech, który następnie wypróbowuje w barze, w pracy, przez cały dzień. Musi nieustannie się uśmiechać, jeśli chce dostać pięć na pięć gwiazdek. Każdy post w mediach społecznościowych – pięć gwiazdek. Każda społeczna interakcja, każda wytarta i oklepana uprzejmość – pięć gwiazdek.

Bo przecież nic nie powinno umknąć kwantyfikacji, wszystko można zmierzyć na skali punktowej i zrecenzować.

Lacie zaciska pięści, daje z siebie wszystko i powoli opada z sił. Stara się być grzeczna, uprzejma i ugodowa. Wybiera się nawet na spotkanie z doradcą, żeby poprawić swoją reputację. Zdaje się jednak, że nic nie da się zrobić. Żeby zyskać na wartości, powinna zadawać się z osobami o wyższej punktacji. Powinna spróbować przyciągnąć uwagę *wysokich czwórek*...

Pewnego dnia, desperacko domagając się uwagi i uznania, Lacie publikuje na swoim profilu społecznościowym zdjęcie Mr. Ragsa, swojego pluszowego misia z dzieciństwa. Jakimś cudem zauważa go przyjaciółka z młodości, towarzyszka zabaw, obecnie 4,8, która ocenia post na pięć gwiazdek. Dzięki interakcji z celebrytką social mediów przed Lacie otwiera się cały świat nowych możliwości – interakcja z tymi lepszymi sprawia, że sami stajemy się lepsi.

Jedna z możliwości materializuje się przed naszą bohaterką prawie natychmiast. Przyjaciółka z dzieciństwa zanurza się we wspomnieniach i w przyływie nostalgii zaprasza Lacie na swój ślub, i to w charakterze świadkowej. Wszyscy zaproszeni to grube ryby z poziomu 4,5 i więcej. To okazja życia – dziewczyna ma szansę podwyższyć swój poziom i wspiąć się po drabinie społecznej. Cieszyć się większymi prawami, przekładającymi się na komfort życia.

Rate and be rated. Oceniaj i poddaj się ocenie.

Nietrudno się domyślić, że społeczeństwo Lacie to spełniający się na jawie sen Julii i Nicole. Pozornie wspaniały i kuszący, sterylny i zaawansowany technologicznie raj dobrych manier, przyzwoitości i społecznego postępu. Kraina szczęścia, do której kluczem jest „social” status, w której każdemu może się udać. Hasła przewodnie: wiralność i *engagement*, czyli zaangażowanie, przekładające się na liczbę komentarzy. Im bardziej uda nam się przyciągnąć uwagę influencerów, tym więcej sami jesteśmy warci.

Publikuj, recenzuj, nie przestawaj. Oceniaj i daj się ocenić, prędzej czy później i tak na ciebie padnie. *American Dream* wyrażony w punktach.

Przez jakiś czas Lacie, podobnie jak pomysłodawczyni Peeple’a, ślepo wierzy w to, że numery rzeczywiście mają znaczenie, że koncepcja konstruktu społecznego zbudowanego na skali od jednego do pięciu naprawdę ma sens.

Później jednak wszystko nieuchronnie zaczyna się walić.

Tak jak Julie i Nicole, również Lacie musi zmierzyć się z niewytłumaczalnym, lecz jakże prawdziwym ludzkim okrucieństwem. Nie może dojść do porozumienia z kasjerką w okienku na lotnisku, która za wszelką cenę próbuje utrudnić jej życie, wdaje się w sprzeczkę ze służbami porządkowymi i przechodniami, konfrontuje się z niekończącymi się i pojawiającymi bez powodu przeciwnościami losu.

Kłóci się, posyła wszystkich do diabła. Przez takie zachowanie nie może liczyć na pięć gwiazdek – oceny są coraz niższe i niższe. Status Lacie leci w dół, w dziewczynie narasta złość, a jej praw i przywilejów wciąż ubywa.

Może zapomnieć o wizie w paszporcie, o wynajęciu samochodu. Nie kupi już nawet biletu, aby polecieć na wymarzone wesele, które miało odmienić jej życie. To algorytm zdecydował, że Lacie, w wyniku powtarzających się uchybień, znacząco straciła na wartości.

Zdecydowali o tym wszyscy i wszystko, jej ocena to suma pojedynczych zachowań z całego jej życia – i teraz ta ocena spadła do poziomu, który uniemożliwia jej swobodne podróżowanie.

Dziewczyna nie ma zamiaru się poddać. Instynkt przetrwania pcha ją naprzód – Lacie postanawia dotrzeć na ślub koleżanki za wszelką cenę. A jednak jej prowizoryczna podróż „za jeden uśmiech” szybko zmienia się w upadek wprost

w otchłań. Na łeb, na szyję, jak głosi tytuł odcinka. Przywitana złośliwymi uwagami, krzywymi spojrzeniami i szyderczym śmiechem Lacie dociera na uroczystość w wyraźnie kiepskim stanie – w postrzępionej sukience i rozmazanym makijażu. Kiedy uświadamia sobie, że nie zdoła wkupić się w łaski ważnych i wysoko postawionych gości, całkowicie traci resztki kontroli.

W momencie gdy chwyta za nóż i zaczyna grozić, że poderżnie gardło biednemu Mr. Ragsowi, jej punktacja jest już nieodwracalnie zbrukana. Dziewczyna rozumie, że poniosła porażkę, i ostatecznie trafia do więzienia.

Znalazła się na dnie. Ale przecież zawsze może się od niego odbić.

Bo tam, i tylko tam, wreszcie może się wyżyć, nadać kształt i dać upust złym emocjom, które zbyt długo się w niej kłębiły.

Za kratami cienka zasłona hipokryzji opada.

Ostatnia scena daje poczucie, że Lacie jest wreszcie wolna.

I szczerą.

Być może zabrzmiało to jak paradoks, ale łatwiej jest uwolnić się w świecie Lacie niż w naszym. My bowiem nie znajdujemy się w okowach groteskowego łańcucha nieskończonych ocen każdej społecznej więzi. Nie istnieje zinstytucjonalizowana forma nadzoru, której obecność wyraźnie czuć w *Czarnym lustrze* czy w *Peeples*’u. Tym samym nie czujemy się więźniami systemu. A może nimi jesteśmy, chociaż wydaje nam się, że jest inaczej?

Niewola Lacie? Widzimy ją wyraźnie, potrafimy rozpoznać jej granice. Przypomina koncepcję znaną z *Kręgu*, powieści Dave’a Eggersa, który wziął pod lupę wszystkie nadużycia takich gigantów jak Google czy Facebook – to świat niewiele różniący się od naszego, w którym oligarchowie sektora danych osobowych scalają się w monopolistę panującego nad całą branżą, a ochrona prywatności rozpada się na kawałki za pomocą jeszcze bardziej absurdalnych i ordynarnych trików niż dotychczas nam znane.

W tych wszystkich przypadkach dochodzi do zniszczenia wartości jednostki i wtargnięcia sił polityczno-ekonomicznych w najbardziej intymne sfery ludzkiego życia. To nic innego jak „cyfrowy totalitaryzm”, ciągła inwigilacja niosąca za sobą nieuzasadnioną dyskryminację i samowolne nadużycia. To całkowity brak

przejrzystości władzy. Zmieniają się środki, ale cele są jednakowe z tymi, które mieliśmy okazję poznać doskonale na przestrzeni XX wieku.

Tym samym jasny jest fakt, że uwolnienie się z okowów systemu jest jak głęboki oddech, jak wolność w czystej postaci. Lacie *musi* się móc wyżyć. W naszym życiu musi się znaleźć coś, czym nie chcemy dzielić się z innymi i czego nie chcemy poddawać pod osąd tłumów.

Trudniej jest dociec, jak uwolnić się z krępujących nas obecnie cyfrowych więzów – brak im koniecznej agresywnej natarczywości, byśmy mogli dostrzec w nich zagrożenie. Krępują nas, ale wiedzą, jak się maskować.

Sprawa Snowdena i skandal związany z Cambridge Analytica nie wzbudza większych emocji. Przeciętny użytkownik wzrusza ramionami: „Mnie to nie dotyczy, poza tym, *jeśli nie masz nic do ukrycia, to nie masz się czego bać*”.

Tyle tylko, że krępujące nas łańcuchy są niewidzialne – ten, który ich szuka, z całą pewnością je odnajdzie. Nie mamy pojęcia o wielu określających nas wartościach liczbowych, o kategoriach, do których przynależymy, i jednostkach, które wyliczyły naszą przynależność według nieznanych kryteriów i w nieznanym celu. I choćby nawet wpływały na nasze życie, nie odczuwamy tego wpływu, nie wiemy, kiedy ani w jaki sposób to się dzieje. Wszystko to wydaje się tajemniczą grą, może nieco irytującą, lecz wciąż niewinną.

Z pewnej perspektywy możemy wydawać się liczbami, oczywiście, ale jako ludzie mamy prawa i obowiązki. Otóż to, tak powinno być. To stwierdzenie jednak nieustannie traci na znaczeniu.

Przede wszystkim nie zostało nigdy powiedziane, że gdyby ucisk stał się bardziej odczuwalny i widoczny, wszechobecny, gdyby zaczął przypominać koszmarną wizję rodem z *Czarnego lustra* czy *Peeples'a*, my, jako ludzie, próbowalibyśmy się od niego uwolnić. Całkiem możliwe, że otwierając podwoje każdej sfery naszego życia na algorytmy wybierające dla nas to, co najlepsze, i wyliczające średnią z cudzych ocen, będziemy czuć się tak dobrze, będziemy tak wolni, że wreszcie uwierzymy w to, że nie ma żadnej potrzeby uwalniania się.

Zresztą świat, w którym inteligentni asystenci głosowi, inteligentne domy, inteligentne samochody i inteligentne telefony komórkowe bez przerwy dokonują za nas wyborów *dokładnie tak, jak sami postąpilibyśmy w naszym własnym, najlepszym interesie*, to świat wygody, w którym nikt nie musi sam o niczym

decydować. „Dzięki inteligentnym technologiom – oznajmia Nissan w swoim spocie reklamowym – najlepsze rozwiązanie jest zawsze w zasięgu ręki”. Slogan producenta samochodów mógłby stać się mottem całego pokolenia.

W ekstremalnej wersji takiego stanu rzeczy sprowadzanie ludzkich jednostek do wartości liczbowych mogłoby okazać się dramatyczne w skutkach – wystarczy wyobrazić sobie nieodpowiedzialne osoby niezdolne do dorosłego życia, pozbawione prawa do cieszenia się ze swoich sukcesów i opłakiwania porażek; beztroski tłum, któremu obce są niezliczone dylematy – nieodłączny element ludzkiej egzystencji.

To obietnica totalnej wygody, wiecznego dzieciństwa – kusząca tak bardzo, że łatwo zapomnieć o strachu przed całkowitym wyzbyciem się tego, co jest istotą człowieczeństwa. W końcu to pojęcie również zostało przekute w liczbę, która – przynajmniej teoretycznie – powinna stale rosnać.

*

W Chinach serialowa fikcja jest coraz bliższa rzeczywistości. Tutaj Państwo przydziela każdemu obywatelowi numer, który określa prawa i całe jestestwo danej jednostki. Reżim nazywa to punktacją, systemem „kredytów społecznych”. Chociaż projekt zostanie ukończony do 2020 roku, już dzisiaj istnieją jego symulacje, wykorzystywane w eksperymentach, których chętnie podjęli się giganci sektora prywatnego. I nic nie wskazuje na to, żeby Chińczycy byli z tego powodu jakoś szczególnie niezadowoleni.

Propaganda, oficjalne dokumenty sprawiają wrażenie żywcem wyjętych z orwellowskiego angsołu – mowa w nich o rozwoju „harmonijnego społeczeństwa”, o „nagradzaniu szczerości i karaniu kłamliwości”, o ograniczeniach „sprzeczności społecznych” oraz o promocji „wzajemnego zaufania”.

To rodzaj propagandy, którą dzięki autorowi *Roku 1984* nauczyliśmy się szybko rozszyfrowywać.

Nieco trudniejsze w odbiorze i o wiele mniej oczywiste wydają się reakcje obywateli. Obywateli *numerów*. Nie sposób zrozumieć, jak zareagują na pomysł, że wystarczy przejść na czerwonym świetle, żeby obniżyć wartość własnego „kredytu społecznego”. Na to, że suma wszystkich ich wykroczeń i potknięć moralnych

względem Państwa może kiedyś przeszkodzić ich dzieciom w zapisaniu się do wymarzonej szkoły, uniemożliwić wzięcie pożyczki na zakup samochodu czy nawet utrudnić wyjazd z kraju.

Jesz więcej niezdrowych przekąsek niż pełnowartościowych posiłków? Spędzasz popołudnia przed konsolą do gier czy zmieniając pieluszki? Rozpowszechniasz w Internecie fałszywe i haniebne informacje na temat partii i kraju, a może w wolnym czasie jesteś wolontariuszem, pomagasz biednym, płacisz rachunki na czas i dotrzymujesz obietnic? Odpowiedź na każde z tych pytań warunkuje, kim jesteś dla Państwa i jakimi możesz cieszyć się prawami, na co możesz sobie pozwolić i w jakich kręgach się obracać.

Zadecyduje o tym ten, kto wszystko o tobie wie. Już dziś miliony Chińczyków korzystają ze smartfonowych systemów płatności. Płacą telefonami za wszystko – napisała Mara Hvistendahl w długim artykule dla magazynu „Wired”^[21] – dostarczając chińskim gigantom, od Tencenta do Alibaby, informacji o swoim stanie zdrowia, danych na temat nawyków konsumenckich, wiarygodności kredytowej, poprawności politycznej i zgodności swojego stylu życia z partyjnymi kanonami etycznymi.

Pomyślmy tylko o systemach rozpoznawania twarzy lub inteligentnym monitoringu, które wykorzystuje się praktycznie wszędzie, w całym kraju, na ulicach i w szkołach, a zrozumiemy, jak bliska jest nam orwellowska rzeczywistość.

Mimo to Chiny się bogacą, a ich geopolityczne znaczenie na arenie międzynarodowej wciąż rośnie – poziom życia dziesiątek czy setek milionów Chińczyków poprawia się właśnie dzięki tej ekstremalnej formie nadzoru w postaci kapitalizmu paternalistycznego.

Niektóre samorządy lokalne zaczęły przyznawać punkty obywatelom i tym samym dzielić ich na kategorie cieszące się różnym wachlarzem dokładnie określonych praw i obowiązków, przysługujących im w zależności od społecznościowego ratingu. Systemy płatności Alipay i Zhima Credit mają własne, wewnętrzne ratingi klientów. Jak podkreśla Lucy Peng, CEO Zhima Credit, celem takiego działania jest „zagwarantowanie, by dla tych złych nie było miejsca w społeczeństwie, a ci dobrzy mogli poruszać się w nim swobodnie i bez przeszkód”. Stwierdzenie dość niepokojące, zwłaszcza jeśli pomyślimy, że jednych

od drugich odróżnimy wyłącznie za pomocą pilnie strzeżonego algorytmu objętego tajemnicą przemysłową.

Jeszcze bardziej niepokojące okazałoby się, gdyby punktacja rosła lub spadała w zależności od naszej siatki znajomych – ludzi na wysokim bądź niskim poziomie.

Możemy się zatem zastanawiać, dlaczego Chińczycy wciąż nie postanowili się zbuntować.

Możemy, choć byłoby to z naszej strony wyrazem naiwności. Odpowiedź jest prosta: bardzo lubimy punktację. Co więcej, punktacja bardzo często się sprawdza. W społeczeństwie, które zaznało bezprecedensowego zastrzyku dobrobytu, liczą się porządek i harmonia. A jeśli dobrobyt płynie równolegle ze zwiększającą się kontrolą, która, jak na standardy Zachodu, poważnie narusza przestrzeń prywatną, zaburza niepodzielność życia intelektualnego, moralnego i obywatelskiego Chińczyków, to może uaktualnienie tej kontroli zgodnie z ostatnimi nowinkami technologicznymi zostałyby odebrane jako nowoczesna i tym bardziej pożądana zapowiedź jeszcze większego dobrobytu.

Poza tym opisywanie osób liczbami może mieć pozytywne i wręcz namacalne skutki – może, na przykład, spopularyzować w społeczeństwie zdrowszy styl życia i racjonalną dietę, może pomóc młodemu bezrobotnemu w znalezieniu (lub wymyśleniu sobie) zajęcia, choćby miało opierać się ono na nabijaniu sobie wyświetleń na YouTube, może zaoszczędzić nam nocy w hotelu z nędzną obsługą i w niskim standardzie.

Ponad wszystko pociąga nas iluzja korzyści płynących z systemu relacji społecznych i nieskończonej, demokratycznej władzy zawierającej się w skondensowanej ocenie. Wystarczy jeden post na Facebooku lub jeden chwytliwy kawałek na SoundCloudzie i ty też będziesz mógł zostać pisarzem czy muzykiem! Jako że obecnie nie istnieje już podział na profesjonalistów i amatorów – oto przed nami jego idealny substytut: głuchy i *niepodzielny* osąd algorytmu.

To prawdziwa tajemnica, zbiorowa kapitulacja jednostek w obliczu rankingów. Wiemy przecież, że przywileje otrzymają tylko nieliczni, pierwsi na liście, i nikt prócz nich. Dla całej reszty obywateli możliwości, prawa i wolności gwałtownie topnieją.

W przypadku chińskim przesadny entuzjazm wobec nowych narzędzi wynika z faktu (nie licząc, oczywiście, nieuniknionego przymusu), że wyjściowy problem – czyli brak zaufania – jest całkowicie realny i dotkliwie odczuwany przez populację. Autentyczność zaś na rynku, który wciąż zalewany jest falą podróbek, ma bardzo ważne miejsce w społecznej hierarchii wartości.

Ale przecież i tutaj, na Zachodzie chełpiącym się wolnością, padamy raz po raz ofiarą algorytmicznych manipulacji, których jesteśmy całkowicie nieświadomi i które są zdolne przechylić szalę sprawiedliwości na stronę winnych lub niewinnych, ustalić stopę oprocentowania naszego kredytu lub wysokość ubezpieczenia, rozdzielać przywileje i rozdawać immunitety. Dlaczego więc w tym przypadku brak buntu nas nie zastanawia?

Również tutaj kryteriom brakuje przejrzystości, a algorytmy znajdują się w rękach kilku prywatnych gigantów i państw z obsesją na punkcie konformizmu społecznego, posłuszeństwa i kontroli.

Sami jednak też nie próbujemy protestować przeciwko naszej egzystencji, którą ktoś nieustannie usiłuje manipulować, handlować i sprowadzać do liczb.

Tak jak dla Lacie, dla nas też najważniejsze jest tylko to, by liczby rosły.

IV

PAMIĘĆ ABSOLUTNA

Wieczorem 1 lipca 2012 roku Steve Mann, wraz z żoną i dziećmi, wchodzi do McDonalda na Polach Elizejskich, w samym sercu Paryża. Po dniu, który upłynął im na typowo turystycznych atrakcjach, zwiedzeniu ośmiu muzeów i wycieczce stateczkiem po rzece, z wiadomych względów są wilczo głodni. Zamierzają ustawić się w kolejce do kasy i złożyć zamówienie.

Mann to jednak nie pierwszy lepszy facet. Na nosie ma parę okularów podłączonych bezpośrednio do czaszki, zdolnych zarejestrować wszystko to, co widzi. To wynalazek jego własnego autorstwa, zwany EyeTap. Mężczyzna jest naukowcem na Uniwersytecie w Toronto, a w swoich badaniach i pracach opisuje „praktycznie niewidoczny sprzęt, który sprawia, że ludzkie oko zachowuje się jak połączenie kamery wideo i wyświetlacza”. Mimo to urządzeniu daleko do niewidoczności. Jasne, nie rzuca się w oczy tak bardzo jak jego prototypy, które wymagały noszenia jeszcze dziwniejszych elementów garderoby oraz niemało wążącego plecaka; nie jest jednak na tyle dyskretne, by nie przyciągnęło ciekawskich spojrzeń – również ze strony ochroniarzy lokalu.

Na blogu Mann opowiada swoją wersję wydarzeń, które nastąpiły w kilka minut po wejściu do fast foodu, ilustrując incydent zdjęciami uchwyconymi przez EyeTap. Skarży się na niedopuszczalną dyskryminację, której padł ofiarą, i postanawia dać jej świadectwo. Świat powinien o tym wiedzieć – cyborgi, ze względu na swój szczególny status, stanowią przecież narażoną na ataki mniejszość w społeczeństwie.

Ledwo przechodzą przez próg, Mann i jego bliscy zostają zatrzymani przez pracownika McDonalda. Jego uwagę zwrócił EyeTap – mężczyzna najprawdopodobniej wziął go za dziwny rodzaj kamerki. Próbuje się dowiedzieć, czym dokładnie jest to kuriozalne, cybernetyczne oko jakby żywcem wyciągnięte z *Terminatora*.

Profesor Mann, który od trzydziestu czterech lat obnosi się z urządzeniami tego typu i jest przyzwyczajony do pytań, pokazuje zaświadczenie lekarskie

i dokumentację swojego systemu wspomagania widzenia, najwyraźniej zaspokajając ciekawość ochroniarza.

Zamawiają hamburgera, McFlurry o smaku mango i dwa ranch wrapy, córka naukowca ćwiczy kilka zdań po francusku, za co dostaje pochwałę od kasjera. W końcu również po to tu przyjechali: paryski akcent cechuje się jedyną w swoim rodzaju elegancją – przyswojenie sobie odpowiedniej intonacji czy choćby samo jej wspomnienie po powrocie do Kanady jest już powodem do dumy.

Siadają niedaleko wejścia. Mann zaczyna jeść, obserwując przechodniów spacerujących po głównej ulicy, kiedy jak pisze, zostaje zaatakowany przez osobę, którą definiuje terminem z języka robotycznego: *Perpetrator 1*. Sprawca „z wściekłością” chwyta za robotyczne gogle, „usiłując zerwać mi je z głowy”, narażając naukowca na poważne obrażenia, jako że „elementów urządzenia”^[22] nie można tak po prostu ściągnąć – są przymocowane do czaszki.

Mann próbuje uspokoić napastnika, pokazuje mu po raz kolejny swoje dokumenty. To jednak nic nie daje. Od tej chwili opisywane przez profesora wydarzenia przybierają jeszcze bardziej groteskowy obrót: zostaje otoczony przez trzy osoby, z których jedna podnosi się zza lady, druga porzuca mop i wiadro, a „Sprawca 1” wymachuje mu przed nosem dokumentami.

Naradzają się, zastanawiają, co zrobić, przekazują z rąk do rąk papiery, aż wreszcie, po dłuższej chwili, drą je na strzępy i wyrzucają rodzinę z lokalu, prosto na ulicę.

Kiedy historia trafiła na pierwsze strony specjalistycznych czasopism technologicznych na całym świecie, McDonald wystosował notkę, w której zaprzeczył jakiegokolwiek agresji, jaka rzekomo miała miejsce w ich restauracji, podkreślając, że personel ani przez chwilę nie zachowywał się nieuprzejmie wobec gości, a sprzęt Manna nie został w żaden sposób uszkodzony. *Z przykrością przyjmujemy fakt, że uraziła Pana prośba naszego personelu o zaprzestanie filmowania wewnątrz restauracji – napisała firma w mailu do cyborga – ale jak wspomnieliśmy wcześniej, nasi pracownicy zwyczajnie próbowali dbać o ochronę prywatności personelu i klientów, zgodnie z prawem zagwarantowanym w artykule 9 francuskiego kodeksu cywilnego.*

Każdy może zobaczyć ten wpis na blogu Manna i obejrzeć opublikowane przez niego zdjęcia, które zostały uchwycone przez EyeTap, zanim urządzenie przestało działać, żeby stwierdzić, do kogo w tym sporze należy ostatnie słowo.

Ważniejsza niż samo zajście jest jednak opowieść. Post na blogu Manna to w istocie coś więcej niż zwykły donos, szczegółowy opis zdarzenia. To wyraz bardzo precyzyjnie określonego światopoglądu, według którego dla dobra ogółu należy dokumentować każdą chwilę swojego życia.

Opowieść Manna to wyraz walki o podłożu teoretycznym – zdaniem naukowca nadzór każdego nad każdym, paradoksalnie, sprawia, że nadzorowanie przybiera bardziej niewinną i demokratyczną formę. Gdyby każdy rejestrował wszystkie zdarzenia ze swojego życia, nie istniałby już dłużej monopol na kontrolę, *surveillance* (fr.), czyli nadzór, „obserwację z góry” w stylu Wielkiego Brata. Każdy mógłby stać się – posługując się wyrażeniem ukutym przez pisarza Cory’ego Doctorowa – Małym Bratem, co pozwoliłoby społeczeństwu na nową formę powszechnej i stałej kontroli „z dołu”. Mann nazywa ją *sous-veillance*, co w praktyce obrazuje zajście z McDonalda: oto jego wiadomość skierowana do wszelkich mniejszości padających ofiarą dyskryminacji – zawsze można odnieść się do pełnego nagrania zdarzenia, przejrzeć je scena po scenie i wykorzystać własną, kompleksową dokumentację rzeczywistości, żeby sprawcy odpowiedzieli za swoje czyny.

W chwili kiedy wszyscy otrzymują przyzwolenie na obserwację, nikt tak naprawdę się nie przygląda – sugeruje koncepcja Manna. Nadzór przestaje mieć konotacje polityczne i staje się „neutralną” obserwacją – mówi profesor w jednym z wywiadów. Staje się naturalnym zjawiskiem, mającym zastosowanie do wszystkich.

„Taki stan rzeczy bardzo przypomina zasady rządzące w starym świecie. W dawnych czasach szeryf wiedział wszystko o wszystkich, a wszyscy wiedzieli wszystko o nim”. Taka zależność nie leży już tylko w rękach władzy, bo zarówno kontrolowany, jak i kontrolujący dysponują taką samą możliwością kontroli w stosunku do siebie. Tego rodzaju równowaga utrzymuje się dzięki założeniu, że każdy zawsze obserwuje, i dzięki temu, że ta zasada obejmuje wszystkich.

Na chwilę zapomnijmy o antyutopijnych i autorytarnych konsekwencjach takiego stanu równowagi społecznej. Przymknijmy oko na nieodpartą pokusę konformizmu i politycznej poprawności, posłuszeństwa i wszechobecnego donosicielstwa. Zapomnijmy nawet o tym, jak bardzo taki efekt przypominałby świat Lacie, ofiary dyktatury punktacji tłumów, nad którą już się zastanawialiśmy.

W historii cyborga, który nie mógł w spokoju zjeść swojego hamburgera ze względu na dyskryminację cyborgów, kryje się coś głębszego.

W zbiorach danych zawiera się klucz do transformacji przeszłości. To nasze archiwa, do których możemy w każdej chwili sięgnąć, które możemy zawsze przeanalizować i wykorzystać do prognozowania i osądów.

Wszystko, każda sekunda naszej egzystencji, zmienia się we wspomnienie, w pamięć.

Tym samym zapomnienie staje się niemożliwe.

Przeszłość znika.

Jest jej zbyt wiele. Streamy na Facebooku, filmy na YouTube, relacje na Instagramie, posty na Twitterze. Zdjęcia, atakujące zewsząd zdjęcia. Do tego dochodzi śledzenie ruchu, historii zakupów, preferencji, wyszukiwań. Dane biometryczne. Kilometrowe rozmowy na czacie. Informacje medyczne, kredytowe, powielane w nie wiadomo jakich i ilu bankach danych. Dysponujemy takim ogromem informacji o przeszłości w sieci każdego z nas, że czasem z trudem znajdujemy miejsce na teraźniejszość i przestrzeń, w której będzie mogła zagościć przyszłość.

Wszystko sprowadza nas do liczb, dlatego że nasza rzeczywistość w nich tonie. Na pierwszy rzut oka ich nie zauważamy, bo ukrywają je przed nami platformy internetowe. Wystarczy jedno kliknięcie, o całą resztę zatroszczą się *data scientists*, badacze danych pracujący dla olbrzymów cyfrowego wszechświata. Dla nich liczby te są nie tylko całkowicie przejrzyste, ale i zupełnie zrozumiałe.

Zwykli śmiertelnicy, którzy do takiej wiedzy nie mają dostępu, widzą jedynie jej efekty: wzrost wydajności, wygody, *data sharingu* – wymiany, poczucia społeczności i uczestniczenia. A przynajmniej tak wmawiają nam reklamy zarządców naszego internetowego życia.

Wszystko to zdaje się dopasowane do naszych potrzeb, dotykowe, o natychmiastowym efekcie, niewymagające wysiłku. Mimo to pod nieskazitelną powłoką designu i interfejsów użytkownika kryją się liczby. Cyfry i kalkulacje definiujące, kim jesteśmy i czego pragniemy, i chociaż nie mamy o nich bladego pojęcia, w większości ślepo im ufamy.

Dlatego też chcemy liczb, marzymy o nich coraz bardziej, również po to, by zrozumieć nas samych i nadać kierunek naszej egzystencji. Z tego względu pozwalamy aplikacji mierzyć nasze parametry życiowe, przekuwać w dane nasz styl życia, nasze ciało i zdrowie. Ile dzisiaj udało mi się zrobić kroków. Jak bije moje serce, czy mam regularny puls? Ile spożyłem dziś kalorii. Ile przebiegłem, w jakim tempie i ile wykorzystałem na to energii. Umiejętność odtworzenia wszystkich tych danych przekłada się na poczucie absolutnej kontroli. Dobre samopoczucie jest kwestią odpowiednich proporcji.

Wyznaczają je przenośne urządzenia. Kieszonkowe komputery, które możemy zapiąć na nadgarstku i które ani na chwilę nie przestają nas mierzyć i mówić nam, jak się czujemy.

Generują kolejne liczby wpływające na nasz osąd. Przyznajemy sobie punkty za to, kim jesteśmy.

Przeszłość wzbogaca się o kolejne dane.

To właśnie jest pamięć absolutna każdego z nas. Nadbagaż zasypujących nas informacji składający się z notyfikacji, artykułów, pop-upów i spersonalizowanych reklam, danych, które lądują następnie w jednym z centrów danych, strzeżonych niczym Fort Knox.

Tak wygląda nasza współczesna forma pamięci.

Jesteśmy Funesami naszego świata, powiedziałby Jorge Luis Borges, gdyby mógł na nowo napisać swoje *Fikcje*, aktualizując je zgodnie z realiami epoki Google Glass, okularów o rozszerzonej rzeczywistości, zaprojektowanych przez wizjonerską ekipę X z Mountain View, których premiera miała miejsce zaledwie dwa miesiące przed zejściem w Paryżu z udziałem cyborga Manna.

Również dla nas, tak jak dla bohatera opowiadania^[1*] wielkiego argentyńskiego pisarza, człowieka, który nie może zapomnieć, „teraźniejszość stała się prawie nie do zniesienia przez swoje bogactwo i swoją wyrazistość, a także przez obecność najdawniejszych nawet i najbardziej banalnych wspomnień”.

To paradoksalne oskarżenie dotyczy nas samych, jak i nieszczęsnego Ireneo Funesa, który po upadku z konia doznaje paraliżu całego ciała. Równie nieruchoma okazuje się jego pamięć, niezdolna do jakiegokolwiek myśli oderwanej od *tu i teraz*, skupiona na rejestrowaniu każdego, najdrobniejszego szczegółu. Funes nie może oderwać się od niekończącego się biegu wydarzeń, odnotowuje wszelkie,

najmniejsze zmiany w otaczającej go rzeczywistości, znajduje się poza historią i poza czasem, odizolowany w swojej niemożności ucieczki do świata abstrakcyjnych myśli.

Nam, współczesnym, to dobrze znane uczucie porównywalne do zalewającej nas fali czasu rzeczywistego. Badacz mediów Douglas Rushkoff przekuł je na idealne określenie: żyjemy w czasach „szoku terażniejszości”, w epoce, w której „wszystko dzieje się teraz”.

Wystarczy zapytać się o to Google’a, migawkowej pamięci świata. Sięgnąć do *wspomnień*, które automatycznie wyskakują nam na news feedzie na Facebooku. Zajrzeć do galerii jednego z aparatów fotograficznych, które automatycznie rejestrują naszą egzystencję, pstrykając fotki temu, co *same* uznają za niezapomniane chwile naszego życia. Przejrzeć pamięć inteligentnych systemów monitoringu, zdolnych zauważyć i zinterpretować każdy nasz ruch, oskarżając nas o przestępstwa, których jeszcze nie zdołaliśmy popełnić, lecz których z dużym prawdopodobieństwem się dopuścimy.

Nie sposób oprzeć się myśli, że w obliczu nieustającego natłoku zapisanych chwil znika nie tylko znana nam koncepcja przeszłości, ale i przyszłość. Ostrzega nas przed tym *Raport mniejszości*, znany z prozy Dicka i z filmowego ekranu, ukazujący ideę *przedstępstwa*, czyli jutra, które w czysto hipotetycznym założeniu można sprowadzić już do dzisiaj, opierając się wyłącznie na dedukcji.

Borges idzie w swojej teorii o krok dalej. Dla nas, tak jak i dla Funesa, każde doznanie zmysłowe odznacza się nieprawdopodobnym wręcz bogactwem szczegółów. Dochodzi do tego obsesja „wysypiska śmieci”, miejsca, do którego trafiają historie i chwile pozbawione znaczenia – mimo to mamy do nich ciągły dostęp, wszystkie nasze wspomnienia to historie *potencjalnie istotne*. Mogą przydać się w chwili, gdy zastanawiamy się, czy tamtego wieczoru nasza dziewczyna nas okłamała; próbujemy zrozumieć, co powiedzieliśmy nie tak na rozmowie o pracę w zeszły czwartek lub kilka lat temu, albo na nowo przeżyć wakacje na Karaibach, w całości, minuta po minucie. Zdarza się to również Funesowi: „Dwa lub trzy razy – opisuje Borges w opowiadaniu – odtworzył cały jeden dzień; nie zaistniała ani jedna wątpliwość, ale każde odtworzenie wymagało całego dnia”^[23].

Stoimy w obliczu tego, co Viktor Mayer-Schönberger, badacz z Oxfordu, sugerował już dekadę temu w *Delete*: dzięki nieustannej rejestracji naszego życia

za pomocą cyfrowych technologii ludzkość musi uporać się z odwróceniem historycznych proporcji. Bezprecedensowo, normą dla ludzkości staje się nie zapomnienie, a pamięć.

Co więcej, problemem staje się przyzwolenie na odejście w niepamięć tego, co nie może i nie powinno na zawsze pozostać w sieci. Z tego powodu w wielu krajach ustanowiono nic innego, jak „prawo do zapomnienia” przysługujące wirtualnym obywatelom. To, co straciło na aktualności i nie posiada żadnej wartości historycznej, lecz w dalszym ciągu pojawia się na liście wyników w wyszukiwarce, ma prawo zniknąć, jeśli sobie tego życzymy.

Niemniej my wciąż się rejestrujemy i godzimy się na to, żeby nas rejestrowano. Tak jak Mann, chcemy pozostawić po sobie ślad, by móc odtworzyć naszą przeszłość. Nasze życie w całości musi zmienić się w materiał nagraniowy, w stream. Przeszłość to zbiór przeliczalnych danych podatnych do analizy, manipulacji i ponownego przeliczania.

Efekt takich działań jest sumą wielu różnych elementów filozofii Doliny Krzemowej. Jednym z jej składników jest „kapitalizm nadzoru” – to, że model biznesowy gigantów rynku cyfrowego w pełni opiera się na rejestracji i wykorzystywaniu do celów reklamowych naszych danych osobowych.

Kolejnym jest wykorzystanie całości danych zaczerpniętych prosto z naszych ciał w celu samodoskonalenia i ulepszania samopoczucia. To ruch, który w ostatnich latach dorobił się nazwy Quantified Self, postulujący lepsze życie dzięki wszelkim możliwym pomiarom. Jeśli wiesz, ile spożywasz kalorii i ile wynosi twoje dzienne zapotrzebowanie, będzie ci łatwiej zachować odpowiednią dietę. Jeśli znajomi będą mogli polubić twoje treningi i jeśli dysponujesz odpowiednimi danymi obrazującymi twoje postępy, będzie ci łatwiej się zmotywować, biegać więcej i bardziej regularnie. Jeśli prowadzisz przeważająco siedzący tryb życia, to w jaki sposób może ci zaszkodzić powiadomienie przypominające o tym, że musisz dzisiaj przejść jeszcze pięćset kroków, żeby dobić do średniej osób w dobrej formie?

Wreszcie istnieje kolejne stanowisko technologicznych wizjonerów oferujących lifelogging jako styl życia. To Mann i jego prekursorzy, teoretycy życia transmitowanego na żywo. Oni też uwielbiają mierzyć swoje parametry – rejestrują je, żeby się sprawdzać, kontrolować i porównywać wyniki. Jeden z pierwszych lifeloggerów, Gordon Bell, przewidywał, że do roku 2020 wszyscy będziemy

rejestrować swoje współczynniki. Każdy z nas miał być wyposażony we własną e-pamięć lub pamięć elektroniczną jako wspomaganie tej biologicznej. Bell, rocznik 1934, pojawia się w prasie jako mężczyzna z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi (to projekt Microsoftu o nazwie Sensecam), automatycznie i nieustannie uwieczniającym chwile z jego życia. Kiedy już wszyscy będą w jego posiadaniu, dojdzie do rewolucji na taką skalę, przewiduje, „że zmieni się znaczenie człowieczeństwa”.

Każdy z nas, jak Funes czy sam Borges, stanie się „archiwistą własnego życia”.

W swojej najbardziej znanej książce, *Your Life, Uploaded*, Bell posuwa się jeszcze dalej, wyobrażając sobie, że niekończący się zbiór informacji o życiu każdej jednostki ludzkiej na Ziemi pewnego niedalekiego dnia umożliwi nam stworzenie cyfrowego awatara zmarłej, bliskiej nam osoby, replikę, która po wchłonięciu miliardów danych, preferencji, zachowań i myśli będzie zachowywała się dokładnie tak, jak nasz bliski zmarły, i z którą będziemy mogli w wolnej chwili pogawędzić.

Czy gdybyśmy mogli, *dodalibyśmy* ją do „znajomych”?

Pamięć zajmuje centralne miejsce w fabule *Czarnego lustra*, wzbudza głębokie zainteresowanie twórców serialu. To typowy temat dla fanów kultury cyberpunku i w ogóle całej produkcji inspirującej się dystopijnym science fiction. Wspomnienia można wszczepić, żeby wmówić „replikantowi”, że jest człowiekiem (*Łowca androidów*), można przeżyć zgodnie z własnym życzeniem przeszłość należącą do kogoś innego (*Dziwne dni*) lub manipulować rzeczywistością i świadomością (wspomnienia to dane, więc z pewnością istnieje sposób, żeby się do nich włamać i je zhakować).

Mimo to w serialu kwestia pamięci dotyczy nie tyle cyborgów, ile nas samych, ludzi. Co stanie się z ludzkością, jeśli do wspomnień będzie można uzyskać dostęp za pomocą maszyn? – zastanawiają się twórcy *Czarnego lustra*. Gdyby okazało się, że nazajutrz moglibyśmy zwizualizować wszystko to, co zarejestrował nasz umysł, jak za pomocą pliku wideo zapisanego na komputerze lub w bazie danych mediów społecznościowych, jak bardzo by nas to zmieniło? Tożsamość, poczucie bliskości, stosunek do władzy i praw moralnych – trudno sobie wyobrazić, jak głęboko dotknęłaby nas rewolucja tego rodzaju.

Wspomnieniami można byłoby się dzielić spontanicznie i dobrowolnie, ale również uzyskiwać do nich dostęp siłą.

Kto wie, jako społeczeństwo moglibyśmy wspólnie dojść do wniosku, że wymuszanie wizualizacji wspomnień podejrzanego jest skutecznym sposobem na śledztwo dla sił porządkowych poszukujących winnego. Być może nadejdzie dzień, w którym policjant będzie w stanie odczytać nasze myśli i przeglądać naszą przeszłość niczym filmik z wakacji. A może wystarczy prośba o dostęp do danych z Facebooka lub jego następcy – Mark Zuckerberg oznajmił już, że jego tajny zespół technologicznych wizjonerów, Building 8, pracuje właśnie nad interfejsem umożliwiającym zarządzanie treścią z mediów społecznościowych wyłącznie za pomocą myśli^[2*].

Dokładnie tak: ambicją Facebooka jest czytanie nam w myślach. I nie, nie będzie to w żaden sposób pogwałcało naszych praw, zapewnia portal, ponieważ jego macki będą potrafiły wychwycić wyłącznie ukończone i kompletne myśli w części mózgu przechowującej to, co postanowiliśmy już publicznie oświadczyć.

Czy jest się czego bać? Tak.

W efekcie każde z przeszłych doświadczeń, każda myśl, choćby nawet nie w pełni wyartykułowana, staje się potencjalnym dowodem przeciwko właścicielowi wspomnień i myśli. Każda chwila naszej egzystencji może zostać wyciągnięta na światło dzienne, przeanalizowana i wykorzystana, by oskarżyć nas lub uniewinnić, w dowolnym momencie.

Powód naszych obaw jest prosty, tak jak prosta jest droga kierująca nas ku barbarzyństwu.

Czarne lustro przemierza ją na tysiąc możliwych sposobów. Opowiada na przykład historię naocznego świadka banalnego wypadku, w którym przechodzień został potrącony przez samojezdną furgonetkę rozwożącą pizzę. Ubezpieczyciel postanawia sprawdzić, z czyjej winy doszło do zajścia. To nieskomplikowane dochodzenie prowadzone w celu ustalenia wysokości odszkodowania od sieci restauracji szybko zmieni się w zawile śledztwo w sprawie zabójstwa. Wszystko to dzięki wymyślonej technologii o nazwie Recaller, urządzeniu weryfikującemu wspomnienia, które powoli, lecz nieuchronnie pogrąży główną bohaterkę odcinka.

To właśnie ona, Mia, centralna postać fabuły *Krokodyla*, stała w oknie hotelowego pokoju w noc wypadku. To ona jest naocznym świadkiem, tak bardzo

potrzebnym Shazii, agentce ubezpieczeniowej. Ostatnią rzeczą, jakiej mogłaby się spodziewać, jest to, że oprócz retrospekcji incydentu wypłyną inne wspomnienia – choćby to o zabójstwie Roba, który zadrezczał Mię swoimi wyrzutami sumienia prześladowającymi go od jednej nocy sprzed piętnastu lat, kiedy we dwójkę, po pijaku, śmiertelnie potrącili rowerzystę. Mia uznaje, że lepiej go wyeliminować, niż pozwolić, by wyznał prawdę. Teraz zaś, kiedy Shazia już o wszystkim wie, lepiej pozbyć się również jej.

Koncepcja wynalazku pokroju Recallera nasuwa istotne pytania: czy gdyby takie urządzenie istniało naprawdę, wtargnięcie do umysłu obywatela, choćby w służbie sprawiedliwości, byłoby moralnie zasadne? Poza tym, czy byłby to rzeczywiście najskuteczniejszy sposób poszukiwania prawdy?

W innym odcinku, zatytułowanym *Cała twoja historia*, wspomnienia zmieniają się w klatki filmowe, jak u lifeloggerów, tworzące film o długości równej długości naszego życia. Każde doświadczenie, każda sytuacja i wszelkie okoliczności ludzkiej egzystencji są automatycznie rejestrowane oraz dostępne do wglądu i ponownego przeżycia w dowolnym momencie. Również w tym przypadku możliwe jest to dzięki wymyślonemu gadżetowi – Grain, implant neuronowy, sprawia, że nasze oczy działają jak dwie kamerki w wysokiej rozdzielczości. To tak, jakby bohater Borgesa, Funes, dysponował technologią umożliwiającą mu pokazanie wszystkim dookoła własnej nieskończonej pamięci.

Wynalazek, jak możemy się domyślić, zmienia wszystko, począwszy od relacji w związku. Podczas seksu dwójka znudzonych kochanków włącza wspomnienia bardziej namiętnych nocy. Po kolacji każdą chwilę, która nie poszła po ich myśli w ciągu dnia, należy obejrzeć ponownie, przeanalizować i omówić razem z całą rodziną. Czy tamta rozmowa żony ze znajomym nie sprawiała wrażenia zbyt poufalej? Przyjrzyjmy się jeszcze raz nagraniu z kolacji i krok po kroku sprawdźmy, jaka jest między nimi zażyłość.

I tak dalej. Przeszłość znajdująca się w każdej chwili w zasięgu naszej ręki przybiera formę koszmaru. Przeszłość, która nie mija, to piekło na ziemi, a w przyszłości, jak sugeruje *Czarne lustro*, być może zostanie zaoferowana nam możliwość zarządzania nią z taką samą znudzoną obojętnością, z jaką dbamy dzisiaj o ochronę naszej prywatności na Facebooku: na tyle, na ile musimy, jak najmniej, prawie poirytowani, że musimy się o nią zatroszczyć.

Kogo zresztą miałyby interesować nasze wspomnienia? Kto chciałby dostępu do rejestru naszych myśli, kto miałby czas i chęci, żeby użyć ich przeciwko nam, żeby wyrzucić nam krzywdę?

Wielokrotnie powtarza się dziś te słowa, żeby usprawiedliwić każdy rodzaj kontroli naszych aktywności online. Jutro ten sam scenariusz mógłby się powtórzyć, tym razem odnosząc się nie do historii naszych wyszukiwań, ale właśnie do naszej pamięci.

Trudno o popełnienie większego błędu. Społeczeństwo, które nie zapomina, to społeczeństwo, które nie przebacza, w którym porażka i ból żyją życiem wiecznym, są ciągle obecne – wystarczy naciągnąć kliszę i obejrzeć wszystko od początku. *Czarne lustro* opowiada o tym przez postać Liama, młodego adwokata, który podejrzewa, że żona okłamuje go na temat swojego poprzedniego związku lub, co gorsza, ojcostwa córki, Jodie. Dlatego jak często ma to miejsce w przypadku ludzi węszących swoją osobistą porażkę, wszczyna śledztwo, zawzięcie szukając szczegółów, przyczyn i wyjaśnień.

W niedalekiej przeszłości zabrałby się do tego, przepytując przyjaciółki żony i przeglądając jej telefon, dziś zaczęłby obsesyjnie i kompulsywnie przeszukiwać jej profile na Instagramie i Facebooku, wyciągając z nich szczegółowe wnioski o jej poczynaniach. Nazajutrz wszystko mogłoby okazać się jeszcze łatwiejsze: wystarczyłby implant neuronowy, Grain, żeby przeskanować wspomnienia w poszukiwaniu dowodu zdrady. Tak też się staje, ponieważ drobne sito dobranych słów, półsłówki i gestów pozwala głównemu bohaterowi znaleźć satysfakcjonującą odpowiedź na nurtujące go pytania.

Dopiero w chwili gdy osiąga swój cel i wie już na pewno, że nie jest ojcem swojej córki, Liam, wraz z obserwującymi go widzami, odkrywa jeszcze głębiej ukryty sekret. Otóż świat cyfrowej pamięci absolutnej to więzienie, w którym każde nieprzyjemne wspomnienie – od żałoby po miłość, która przeminęła, czy zawodowe rozczarowanie – może prześladować nas z niezłomnym uporem. Wracając do niego raz po raz, za każdym przywołaniem zdołamy odnaleźć nowe szczegóły, analizując kolejne detale. W jakim kolorze była sukienka jej przyjaciółki stojącej w tle; czym pachniała jej skóra przed wyjściem z domu; jak długo się uśmiechała i z jakiego powodu, kiedy stroiła się przed lustrem; dlaczego nagle się zasmuciła – co takiego ci umknęło?

To więzienie, w którym mielibyśmy codziennie od nowa przeżywać ten sam koszmar, za każdym razem sięgając tam z innego powodu.

Tak jak dla Funesa, w epoce technologicznego odtwarzania pamięci „są tylko szczegóły, prawie bezpośrednio”. Możemy krzątać się w każdym jej zakamarku, z całą pieczołowitością i precyzją, którą narzucają nam ból i radość. W ten sposób nie nadamy jednak sensu naszemu życiu, możemy co najwyżej go sobie odebrać.

„Podejrzewam jednak, że nie umiał myśleć. Myśleć, czyli zapominać o różnicach, uogólniać, tworzyć abstrakcje”^[24] – pisze Borges, opisując tych, których pamięć i tylko pamięć przepełniona natłokiem szczegółów może przesłonić wizję całości. Już samo słowo *pies*, zauważa, było pojęciem zbyt złożonym dla nieszczęsnego Funesa – jak można połączyć w jednym krótkim słowie mnogość psiego doświadczenia, myślał, wszystkie rodzaje form występujących w tak różnych rozmiarach. Ten sam pies przecież, widziany z profilu i *en face*, zdawał się dwiema różnymi istotami.

W rzeczy samej, kiedy Liam w *Czarnym lustrze* wreszcie znajduje dowód winy swojej żony, sam też okazuje się winny. Chciał wiedzieć zbyt wiele jak na ludzkie możliwości. Ramię w ramię z Nietzschem i ideą przedstawioną w filmie *Zakochany bez pamięci* chciałby móc rzec: „Błogosławieni ludzie o krótkiej pamięci, ci bowiem zapominają także o własnych głupstwach”. Najwyraźniej jednak świat zaszedł za daleko i jest zbyt późno, żeby usunąć pamięć o nich – historii porażek nie sposób wykasować na życzenie. A jeśli nie usuwa się *niczego*, nie istnieje możliwość odkupienia win.

Począwszy od największego błędu, tragicznego w skutkach: tego, że pozwoliliśmy technologii zarządzać samymi sobą. Czip dał Liamowi możliwość zaspokojenia swojej obsesji, za cenę szaleństwa zasilanego wspomnieniami, a on dał się oszukać, że warto taką cenę zapłacić.

I w tym tkwi jego największa porażka – nie jest nią nieumiejętność poradzenia sobie z nadludzkim ciężarem moralnym i emocjonalnym, lecz to, że nie zdołał oprzeć się woli maszyny.

Dlatego ostatnia scena, w której bohater wyrywa sobie Graina wszczepionego pod skórę głowy, to również symboliczny objaw jego ślepoty i demencji. Pozbawiony umiejętności zapominania, już był głupi i ślepy.

Jest i trzeci odcinek *Czarnego lustra* zajmujący się tematem pamięci. To historia Marthy, młodej kobiety, która przedwcześnie traci swojego partnera, Asha, w wypadku drogowym.

Naturalnie opłakuje go i potwornie cierpi.

Cierpienie jest nie do zniesienia i nie chce minąć, aż wreszcie, któregoś dnia, jej przyjaciółka Sarah zwraca się do niej z pewną propozycją. Istnieje firma zajmująca się tym, co do złudzenia przypomina zrealizowane wizje lifeloggera Bella: sztuczną inteligencją zdolną stworzyć replikę naszego bliskiego zmarłego. Dzięki innowacyjnemu oprogramowaniu Martha będzie mogła czatować z nieboszczykiem!

Nie tylko... Może również wybrać numer i porozmawiać z programem generującym głos identyczny z głosem swojego Asha.

Aż wreszcie, któregoś dnia, może liczyć na to, że stanie twarzą w twarz z jego idealną repliką – z krwi i kości.

Wystarczy jedno słowo i Ash będzie z nią już zawsze – jego dane zostaną w internetowej chmurze na wieczność.

Marthę nachodzą zrozumiałe wątpliwości, jednak po jakimś czasie podejmuje decyzję. Tak, zaczyna korzystać z programu. Nieśmiało wprowadza dane. Postępuje zgodnie z instrukcjami. W końcu nie pozostaje jej nic innego, jak tylko czekać.

Pewnego dnia komputer wysyła nareszcie migające powiadomienie i jak dżin z cyfrowej lampy, z ekranu wyskakuje replika Asha w postaci kontaktu na Gmailu. Teraz Martha może do niego pisać, korespondować jak z przyjacielem z dawnych czasów i zasypywać go wiadomościami. Sztuczna inteligencja oprogramowania „odpowiada ci w ten sam sposób, w jaki on by ci odpowiedział”, obiecała jej Sarah. I tak też jest.

– To software, naśladuje go. Nadaje się mu czyjeś imię, a program prześwietla całą sieć, poszukując wszystkiego, co zdarzyło mu się kiedykolwiek powiedzieć online: posty na Facebooku, tweety, wszystkie jego publiczne wpisy. Wystarczyło – mówi Sarah – że wpisałam tylko imię Asha, a system załatwił całą resztę.

W krótkim czasie system uczy się naśladować Asha coraz lepiej.

– Jeśli ci się podoba, to daj mu dostęp do twoich prywatnych wiadomości – im więcej ma danych, tym bardziej się do niego upodabnia – sugeruje przyjaciółce

Sarah.

Maile zmieniają się w czat w czasie rzeczywistym.

„Jestem w ciąży” – pisze mu któregoś dnia Martha, przewyciężając strach i niesmak.

Ash rośnie, staje się żywym wspomnieniem, coraz bogatszym w szczegóły. Replikujący go algorytm syntetyzuje jego głos, opierając się na starych nagraniach, i wiernie go odtwarza. Martha może wreszcie porozmawiać z nim przez telefon. Głos jest autentyczny, a Ash mówi dokładnie to, co powiedziałaby Ash.

Ostatnim etapem ewolucji ich nowej-starej znajomości jest wszczepienie pamięci w klona, żywego manekina o wyglądzie Asha, który zjawia się w domu Marthy. Jest identyczny z oryginałem i do perfekcji naśladuje jego zachowanie.

Dziewczyna wita go z otwartymi ramionami i przez jakiś czas zdają się funkcjonować normalnie. Dzięki danym Martha odzyskała swoją utraconą miłość.

W końcu, nieuchronnie, coś zaczyna się między nimi psuć. Niedoskonałości cyfrowego klona o wyglądzie Asha ujawniają wszystko to, czego algorytm nie jest w stanie odtworzyć.

To, jak oddychał w nocy. Sposób, w jaki by zareagował, i jego zdenerwowanie po tym, jak Martha wyrzuca go z własnego łóżka podczas kłótni. Uporczywie powtarzane „okej” i podszyta lenistwem uległość w godzeniu się na wszystkie jej propozycje.

Brakuje czegoś, czego nie dało się *zapisać* we wspomnieniach.

Efektu zaskoczenia. Dzikiej radości uczuć. Błysku w oku, który zmienia ból w uśmiech.

Aż wreszcie, pewnego dnia, Martha wybucha.

– Nie jesteś taki jak on, w ogóle nim nie jesteś – oskarża go.

Maska oszustwa opada, a Ash niespodziewanie zmienia się w zbiór liczb, które dają błędny wynik w skomplikowanym równaniu.

W momencie, w którym usuwa go ze swojego życia, Martha uwalnia się z niemożliwości zapomnienia, i porzuca klona jak zepsutą zabawkę w najdalszym kącie domu.

Otwiera oczy na prawdę i wreszcie dociera do niej, że jeśli rzeczywiście chce uczcić pamięć swojej miłości do Asha, musi pogodzić się z tym, że utraciła go na

zawsze.

Żeby prawdziwie go zapamiętać, jako kobieta i jako żona, musi umieć zapomnieć.

Całe szczęście, że wciąż może wybrać niepamięć, dzięki czemu zdoła naprawić swoje błędy.

OSZUSTWO

W jakim stopniu jesteśmy przyzwyczajeni do oszustwa? Do tego, by brać fałsz za prawdę, fantazję za rzeczywistość? Efekty specjalne wielkich wytwórni w kinie czy w serialach na domowym ekranie laptopa kreują potwory niszczące metropolie, ożywiają droidy i statki kosmiczne, przywracają do życia zmarłych aktorów i pozwalają im wygłosić ostatnie monologi. Filtry na Instagramie powiększają nam oczy i doczepiają królicze uszy, jak w kreskówce. Wygładzone zdjęcia celebrytek i influencerów, na których wyglądają jak młodsze i szczuplejsze wersje samych siebie, bez żadnych niedoskonałości.

W tej kategorii mieszczą się również bohaterowie gier wideo: chorobliwie błady Connor z *Detroit: Become Human* czy bosko majestatyczny Kratos z *God of War* zdają się żywymi i rzeczywistymi istotami. Czy to androidy, czy bogowie, Wiedźmin na tropie fantastycznych bestii, czy zwykli, przypadkowi herosi, to postacie, które skłaniają nas do identyfikowania się z nimi w coraz większym stopniu. Oddychają, brody i włosy na głowie im odrastają, pozostają blizny, również te na psychice – która ewoluuje wraz z biegiem wydarzeń, z doświadczeniem.

Są na niby, ale prawdziwi.

Jest jednak inny świat, w którym przyzwyczajamy się do oszustwa. W odwrotny sposób: bierzemy prawdę za ułudę.

Wiecznie uśmiechnięte rodziny z telewizyjnych reklam, ich skąpane w słońcu popołudnia, symetrycznie podane i odpowiednio oświetlone obiady, czasem pokazane w zwolnionym tempie, żeby w pełni dostrzec i docenić perfekcję wykonania, ciepłe i anonimowe głosy przypominające współczesną interpretację dantejskich kręgów piekielnych. A tak przecież kształtuje się norma – po dziesięcioleciach prania mózgu reklamami właśnie tego się spodziewamy.

To właśnie historię i obsesje konsumpcjonistycznego społeczeństwa wyśmiewa się w satyrze *Simpsonów* – a wybuchy śmiechu towarzyszące perypetiom Homera

i innych uświadamiają nam, jak bardzo dotyka nas ten sposób przedstawiania świata – świata na wyciągnięcie ręki, świata popkultury.

Jeśli przyjrzymy się uważniej, dostrzeżemy jego ciemniejszą jeszcze stronę. Prawda jest taka, że z upływem czasu marketing fałszu na dobre się w nas zadomowił.

Pamiętam dokładnie moment, w którym to sobie uświadomiłem. Byłem studentem trzeciego roku ekonomii i siedziałem na wykładzie o marketingu. Nigdy wcześniej nie widziałem tego wykładowcy – tłumaczył nam głęboki sens pojęcia, jego esencję. Wyglądał na znudzonego, opowiadał w sposób syntetyczny, jak inteligentny asystent głosowy, Alexa czy Google Home, witający właściciela wracającego z pracy w któryś czwartkowy wieczór.

Tej definicji nie zapomnę jednak nigdy.

„Marketing to kreowanie zbędnych potrzeb” – powiedział prowadzący.

Tak jest: dociekanie, jakie słabości wykorzystać, żeby zaszcześcić w ludziach sztuczne pragnienia. Ich sprzedawcy zadbają o to, byśmy nie mogli się bez nich obyć – czy to z poczucia przymusu, czy natrętnego wrażenia pustki – zatroszczą się, by połączyła nas z nimi mieszanka sentymentu i uzależnienia, jak w chorej miłości, zmuszająca do ich zaspokajania.

Dajcie mi jeszcze, chcę poczuć się gorzej.

Z oburzenia ugięły mi się kolana. Nie byłem w stanie pojąć, że istnieje cały, odrębny dział nauki, nieszczególnie rozwiniętej z perspektywy podstaw filozoficznych, ale za to bardzo konkretnej, wyspecjalizowanej w unieszczęśliwianiu całych mas ludzkich. Mas segmentowanych, profilowanych, zredukowanych do sumy ich charakterystyk i preferencji, skatalogowanych w matrycy, a następnie bombardowanych propagandowymi wiadomościami, żeby wywołać w nich właśnie poczucie pustki, brak dokładnie tego, co nasz produkt, i tylko nasz produkt, mógłby ukoić.

Media społecznościowe wraz z ich reklamami szytymi na miarę pragnień każdego, pojedynczego użytkownika, kalibrowane na podstawie setek, tysięcy rodzajów informacji dla każdego z profili, nie robią w zasadzie niczego odkrywczego. Po prostu robią to lepiej. Dlatego też Google i Facebook zgarniają lwią część dochodów reklamowych w porównaniu z resztą branży – lepiej sprawdzają się w kreowaniu zbędnych potrzeb w osobach, które z nich korzystają.

Skuteczniej też urządzają sobie personalne wycieczki. Robią to dla *mnie*, by zaspokoić *moje* potrzeby. Te właśnie, o których istnieniu nawet nie wiedziałem i nawet nie podejrzewałem, że mogą być moje, ale które pasują jak ulał do mojej tożsamości i moich poglądów i mają wszystko to, czego mi trzeba, bym je „polubił”.

Wina za przerodzenie się naszych pragnień w konsumpcję tego, co zbędne, nie leży wyłącznie po stronie algorytmów. To one jednak przyczyniają się do pogrążania nas w iluzji, że to jedyna słuszna droga do długo wyczekiwanego szczęścia.

Historię myśli internetowej można streścić jednym zdaniem: to, co przez długi czas miało stać się utopią, przerodziło się w dystopię. „Cyfrowa rewolucja” mogła rzeczywiście przynieść za sobą równość, kosmopolityzm, dać pierwszeństwo demokracji, współuczestnictwu, dobrobytowi, tolerancji – zamiast tego zalała nas falą fałszywych informacji, propagandy, cenzury, nadzoru, konformizmu, ignorancji, przemocy, nienawiści, dyskryminacji i bullyingu.

Zgodnie z taką wizją, dziś równie niewiarygodnie rozpowszechnioną, co pospieszną i niekompletną, obecnie należy jak najwięcej mówić o fake newsach, strategiach „cyfrowej propagandy”, fałszywych kontaktach trolli siejących agresję czy dezinformację w dyskusjach internetowych, hakerach wykradających materiał z pierwszych stron gazet, żeby zmanipulować wyniki wyborów, o ogólnym poczuciu opresji ze strony „cyfrowego świata”.

Skoro sieć to sidła oszustwa, prawda, jak w *Z Archiwum X*, „wciąż gdzieś tam jest”.

Chociaż jesteśmy ciągle online, coraz bardziej marzymy o tym, żeby być offline, ukryć się przed naszym smartfonem, schować w pubie bez wi-fi, w strefie ciszy w pociągu, szukamy jakiegokolwiek wymówki, żeby *mieć prawo* odłożyć komórkę na bok.

Szukamy *autentycznych* doświadczeń – dlatego że nieustannie otacza nas nieautentyczny świat. Pracochlonne pozy na Snapchacie, autopromocyjne posty na Facebooku, najnowszy krok w karierze na LinkedInie. Wszystko doskonale pozbawione kontekstu, tonu, sumy rzeczywistych kroków, które doprowadziły do tej chwili.

Nie chodzi o to, że wszystko jest na niby. Otóż prawda i kłamstwo współegzystują ze sobą nie tylko na poziomie kognitywnym, ale w coraz bardziej wyszukanych metodach manipulacji rzeczywistością, na które przyzwolenie znajdujemy we współczesnym „ekosystemie” medialnym, również bezpośrednio na poziomie naszej percepcji. Oszukuje nas to, co *widzimy*, zanim jeszcze zdążymy to *odczytać* – dlatego też coraz większą trudność sprawia nam odróżnienie fałszu od prawdy.

Dajemy się zwieść mirażom i wizjom, tyle tylko że nasze zmysły są całkowicie sprawne.

Wszystko oczywiście zależy od jakości fikcji. Od poziomu perfekcji oszustwa.

Jesteśmy jak replikant K, w którego wcielił się Ryan Gosling w *Blade Runnerze 2049*: zakochani w hologramie, którego nie możemy dotknąć, w zachwycającej, choć niematerialnej partnerce – byle tylko się do niej zbliżyć i się z nią kochać, jesteśmy skłonni nadać jej jakąkolwiek formę cielesną, choćby ciało prostytutki, kobiety z krwi i kości, której płacimy, by doprowadziła nas do nieosiągalnego spełnienia, byśmy dzięki technologii mogli połączyć się z nią w jeden byt, w jedną iluzję.

Nasza percepcja jest również pogrążona w chaosie: widzimy i przeżywamy równocześnie prawdę i fałsz, jak dwie nałożone na siebie, tańczące kobiety, które obejmujemy, nie wiedząc, czy pocałunek składamy na ustach hologramu, czy żywej istoty.

*

Niegdyś stworzenie oszustwa i fałszu wymagało ogromnego wysiłku i zręczności. Żeby słuchacze audycji radiowej przyjęli tekst o inwazji Marsjan na Ziemi, jakby chodziło o bieżące wydarzenia ze świata, młody Orson Welles, w październiku 1938 roku, musiał zaangażować całą ekipę CBS, radiostacji, która miała transmitować jego słynną opowieść zaczerpniętą z *Wojny światów*.

Miejska legenda głosi, że literacka fikcja stanęła na wysokości zadania i zdołała wywołać panikę wśród milionów Amerykanów przekonanych, że oto przyjdzie im stanąć twarzą w twarz z obcą i wrogą inteligencją. W rzeczywistości było w tym więcej z medialnego konstruktu niż z prawdziwej fali strachu, tłumaczy Slate, odtwarzając zajście. Co prawda następnego dnia pierwsza strona „New York

Timesa” krzyczała: „Panika pośród słuchaczy, którzy wzięli fragment powieści za prawdziwą informację o wojnie”, chodziło jednak przede wszystkim o powszechny w tamtej epoce sposób na zdyskredytowanie konkurenta – czyli stacji radiowej, która groziła odebraniem prasy medialnego pierwszeństwa.

Dzisiaj podobne wydarzenie otworzyłoby dyskusję na temat fake newsów, kłamstw zbudowanych przez prawdziwą maszynę dezinformacji, po to, by zyskały „viralowy” status w mediach społecznościowych. Od czasów Orwella niewiele się zmieniło – również dzisiaj prasa ma tendencję wyolbrzymiać tego rodzaju zajścia, by podważyć pozycję rynkową platform cyfrowych – nowej i bardziej wydajnej formy komunikacji.

Istnieje jednak pewna fundamentalna różnica. Dzisiaj o wiele łatwiej jest tworzyć nieprawdę. Tyczy się to zarówno tekstu, jak i mowy, a nawet nagrania wideo. Zapomnijmy o słuchowiskach radiowych – w 2018 roku, dzięki zaangażowaniu sówicie opłacanego zespołu specjalistów, możemy cieszyć się transmisjami na żywo, w których padamy ofiarą inwazji obcych. Obrazy są doskonale realistyczne i zawierają deklaracje największych światowych instytucji wypowiadających się w nagraniu. Oczywiście w rzeczywistości żadne słowa nie padły z ich ust, ale to, co widzimy, jest nie do odróżnienia od prawdy. Żeby je sprokurować, wystarczą narzędzia znajdujące się w zasięgu prawie każdego amatora – koszt jest praktycznie zerowy, podobnie jak nakłady czasowe. Tyle wystarczy, by wprowadzić w błąd przynajmniej w takim stopniu, jak ciepły głos Wellesa. A jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że przyszło nam żyć w epoce, gdy geopolitykę i wypowiedanie wojny załatwia się przez Twittera, fake newsy mogą mieć naprawdę katastrofalne skutki.

To oczywiście hipotetyczne scenariusze, choć nie tak dalekie od prawdy. „Fejki” w wersji pisanej to tylko początek. Dziś problemem staje się post lub mem zawierający fałszywą informację i multiplikujący się w tysiącach udostępnień na Facebooku. Nazajutrz może przerodzić się w nagranie – fałszywe, lecz prawdziwe – przedstawiające Donalda Trumpa zapowiadającego wybuch trzeciej wojny światowej, choćby w rzeczywistości amerykański prezydent nie zapowiedział żadnego globalnego konfliktu.

Lub w szantażujący cię mail z linkiem do nagrania, na którym widać, jak twoja żona cię zdradza. Nawet jeśli w rzeczywistości nigdy cię nie zdradziła.

W telefon od twojego dziecka, które mówi, że jest poważnie chore, choć tak naprawdę nawet do ciebie nie dzwoni.

To nigdy nie musiało się wydarzyć – fakty tworzy się dziś za pomocą komputera.

Już teraz zarówno twarze, jak i głosy można bez trudu powielać cyfrowo, a tym samym dowolnie nimi manipulować. Już teraz niezliczone stają się możliwości oszustwa, a dzięki ogólnodostępnym technologiom i niskim kosztom coraz częściej wystarczy zaledwie garść zdalnych kliknięć.

Żeby w pełni to zrozumieć, musiałem wrócić do jednej z moich wielkich miłości: *Gwiezdných Wojen*. To saga, która przez ostatnich czterdzieści lat niejednokrotnie zrewolucjonizowała standardy w branży efektów specjalnych – fantazyjny twór, który ukształtował moją rzeczywistość, powiedziałyby Žižek.

Na nowo obejrzałem *Łotra 1*, historię, w której dowiadujemy się, jak Rebelianci weszli w posiadanie planów pierwszej Gwiazdy Śmierci, co pozwoliło Luke'owi użyć Mocy i wysadzić ją powietrze w najskrytniejszej, czwartej części sagi, *Nowej nadziei*.

Zastanawiałem się nad przykładem, który najlepiej spośród wszystkich pojawiających się w mojej głowie mógłby oddać poziom dezorientacji pomiędzy rzeczywistością a fikcją, na który przyzwalamy współczesnym technologiom. Męczyłem się nad nim aż do dnia, kiedy na ekranie kinowym ponownie ujrzałem postać Wielkiego Moffa Tarkina, diabolicznego dowódcy Imperium zarządzającego tą planetą – stacją bojową.

Wiedziałem, że Peter Cushing, aktor, który wcielił się w rolę Tarkina, zmarł w 1994 roku. Ale przecież widziałem go na własne oczy wypowiadającego nowe, nigdy wcześniej niesłyszane kwestie.

Już kilkakrotnie byłem świadkiem innych przykładów cyfrowego zmartwychwstania: Paula Walkera zmarłego nagle podczas nagrywania *Szybkich i wściekłych 7* czy Audrey Hepburn, która pomimo swojej śmierci w 1993 roku pojawia się, piękna i młoda, w reklamie czekolady, dwadzieścia lat później.

Tarkin jednak zdawał się autentycznie żywy – jego twarz, odtworzona za pomocą techniki wideo mappingu i nałożona na twarz innego aktora za pomocą dwudziestu kamer o wysokiej precyzji oraz dziesięciu tysięcy czujników, była identyczna ze znajomym kadrem.

Był tym samym, surowym starcem, takim, jakim pamiętali go widzowie. Tyle tylko, że jeśli dobrze się przyjrzeć, w jego obliczu było coś, co sprawiało dziwne wrażenie. Pewien dystans, pustka czająca się w spojrzeniu i w ruchach – esencja jego postaci zdawała się pozbawiona człowieczeństwa.

Niemniej tyle wystarczyło, by oszukać lwią część publiczności.

„Moja matka zupełnie się nie zorientowała przez cały film – powiedział telewizji ABC News jeden z techników pracujących przy odtwarzaniu postaci Tarkina. – Co najlepsze, stwierdziła, że Cushing całkiem niezłe się trzyma, biorąc pod uwagę jego wiek”.

Nawet osobista asystentka Cushinga, Joyce Broughton, nie kryła emocji, oświadczając, że praca wykonana przez specjalistów od efektów specjalnych w *Gwiezdnych Wojnach* była „po prostu rewelacyjna”^[25].

Czy jest w tym coś niepokojącego? – można byłoby się zastanowić. Wielkie produkcje kinowe Hollywoodu są właśnie wielkie ze względu na ich niepowtarzalne efekty specjalne.

To właśnie one, od kiedy pamiętamy, są w stanie tchnąć życie i prawdę w fikcję.

Pytanie jednak zostało postawione w nieodpowiedni sposób – sedno problemu nie tkwi w możliwościach manipulowania będących w zasięgu studiów filmowych z Hollywoodu, tylko tych, do których swobodny dostęp posiadają wszyscy.

Wystarczy odrobina zaangażowania i cierpliwości, a w niedalekiej przyszłości każdy z nas będzie mógł ożywić Tarkina. Co więcej: włożyć w czyjekolwiek usta dowolną kwestię i sprawić, by nasz awatar przemówił własnym głosem, poruszał się w charakterystyczny dla siebie sposób, specyficznie przechylał głowę, kiedy mówi, i mrugał nerwowo, kiedy czuje się zawstydzony.

Udowadnia to nagranie na YouTube porównujące efekty uzyskane przez team czarodziei z Industrial Light and Magic oraz przeciętnego użytkownika sieci posługującego się amatorskimi narzędziami. Jedni i drudzy starają się odtworzyć cyfrowo postać księżniczki Lei – również występującej w niektórych scenach *Łotra 1*.

W przypadku dość niskiej rozdzielczości domowy komputer z dobrą kartą graficzną oraz podstawowa wiedza z zakresu zasad programowania wystarczą, żeby otrzymać porównywalne efekty.

Możliwość kreacji fałszu stała się demokratycznym przywilejem.

Można manipulować fotorealistycznymi nagraniami w czasie rzeczywistym, a przyjazne użytkownikowi oprogramowanie jest bezpłatnie dostępne dla mas przyzwyczajonych od dziesięcioleci do reklam i efektów specjalnych sprawiających, że prawda miesza się z fikcją, rzeczywistość z iluzją.

Czy coś może pójść niezgodnie z planem?

Pozostaje ostatnia ewentualność, której należy się trzymać, by całkowicie nie ulec technologicznemu oszustwu. Uncanny Valley, czyli „dolina niesamowitości”, hipoteza postawiona przez japońskiego inżyniera i konstruktora robotów Masahira Moriego w 1970 roku w celu objaśnienia emocjonalnej reakcji ludzi na nie ludzi – w bliskim spotkaniu z robotem lub cyfrową repliką zmarłego aktora.

Według Moriego początkowo mamy tendencję do odczuwania sympatii względem tego, co nas przypomina – ale tylko do pewnego momentu. Kiedy replika jest bardzo podobna do oryginału, ale coś odróżnia ją od ludzkiej istoty; kiedy android nawet z bliska przypomina człowieka z krwi i kości, lecz mimo to dociera do nas, że nim nie jest – pojawia się uczucie dyskomfortu, a nawet odrazy. Nasz mózg oczekuje całkowicie ludzkich, znajomych reakcji, wizualizuje je i czeka. Jeśli się nie pojawią, rodzą się w nas negatywne emocje. Jakbyśmy poczuli się zdradzeni.

Kiedy patrzymy na wytworzonych przez grafikę komputerową Tarkina i Leię, czujemy, jak kielkuje i pęcznieje w nas niepokój. To samo dotyczy pewnej sceny z przeniesionej na ekran kinowy bestsellerowej sagi *Zmierzch*: w pierwszej części *Przed świtem* reżyser Bill Condon musi stawić czoła klasycznemu problemowi „niesamowitości”, tajemniczego elementu „nie z tego świata”, który przełamuje znajomą rzeczywistość. Musi pokazać postać Renesmee, niemowlaka: pół wampira, pół człowieka, owoc związku dwójki głównych bohaterów, Belli i Edwarda. Wyzwanie polega na tym, żeby dziecko wyglądało niemożliwie pięknie, jak rasa krwiopijców, i było jednocześnie po ludzku niedoskonałe.

Efekt jest „katastrofalny”, jak wyzna później sam Condon: „nie zdołaliśmy zupełnie sprostać temu zadaniu”^[26]. Dziecko wydaje się jednocześnie rzeczywiste i nierzeczywiste; jego spojrzenie, które powinno budzić w nas czułość, budzi niesmak, mała rączka dotykająca policzka Belli sprawia wrażenie preludium do satanistycznej sceny, a nie niewinnej pieśczoły.

Jasne, być może wina leży w nieodpowiedniej realizacji z punktu widzenia technicznego. Być może dałoby się temu jakoś zaradzić. Ma jednak rację Mori: mechanizmy rządzące naszą wrażliwością odrzucają wszystko to, co choć sprawia ludzkie pozory, nie może być nazwane człowiekiem.

Całe szczęście. Nasze zmysły percepcji oddzielają to, co rzeczywiste, z krwi i kości, od tego, co jest cyfrowym naśladownictwem, wciąż wyczuwalna różnica pomiędzy człowiekiem a tym, co do człowieka tylko zbliżone, pomaga nam sprawnie ustalać granicę pomiędzy prawdą i fałszem, rzeczywistością i iluzją. Pozwala nam zachować dystans, dzięki któremu zawsze jest w nas miejsce na wątpliwość.

Obecnie setki hollywoodzkich aktorów poddają się procedurom koniecznym do zrealizowania swoich wiernych replik, które będzie można pokazać na ekranie w dowolnym momencie, również w dalekiej przyszłości, dostosować do każdej możliwej fabuły i kazać wygłaszać jakiegokolwiek kwestie. Nieprzypadkowo toczy się ożywiona debata na temat kwestii prawnych – bo jak skodyfikować nowy zapis, choćby na poziomie umowy, w kwestii swobodnego rozporządzania wizerunkiem po śmierci?

To sposób na to, by zapewnić swoim bliskim dodatkową spuściznę, lecz również by zabezpieczyć się przed potencjalnymi nadużyciami. Weźmy przykład aktorki, która za życia konsekwentnie odmawiała udziału w scenach erotycznych i która, *post mortem*, odtworzona za pomocą wirtualnego ciała i twarzy, zostaje obsadzona w scenie seksu. Czy będzie to moralnie zasadne?

Nasze pytanie ma zaskakująco dużo wspólnego z rzeczywistością. Podmienienie twarzy gwiazdki porno i zastąpienie jej podobizną jednej z celebrytek, takich jak Sophie Turner czy Kaley Cuoco, które nie są częścią pornoprzemysłu, to praktyka tak często stosowana, że dorobiła się własnego miana i definicji – to „deep fake”. Pornodiwa jęczy, a wraz z nią jęczy przykładowa celebrytka. Profil, ruchy, cechy szczególne: wszystko zostało dokładnie przeanalizowane przez algorytm, by dać jak najwięcej radości i poczucia autentyczności dla tych, którzy siedzą po drugiej stronie ekranu.

Oczywiście bez wiedzy i przyzwolenia rzeczony celebrytki.

Zanim deep feyki zostały usunięte z głównych portali internetowej pornografii, właśnie ze względu na to, że zawierały przekonujące nagrania udostępnione bez zgody rzekomo występujących w nich osób, przyczyniły się w dużej mierze do

rozpowszechnienia przekonania, że fotorealistyczna manipulacja w czasie rzeczywistym jest całkowicie możliwa. I w tym przypadku nie wykorzystano do tego zasobów wytwórni Lucasfilm czy 20th Century Fox – twórcą zmanipulowanych w ten sposób treści pornograficznych był w przeważającej części użytkownik Reddita, dysponujący dość przypadkowym oprogramowaniem i całą masą perwersyjnej determinacji.

Efekty w dalszym ciągu są mierne, a fikcja, na chwilę obecną, pozostaje ewidentną fikcją. Mimo to szybki postęp oraz bardziej wyrafinowane techniki, choć podobne w założeniach, pozwalają specjalistom modyfikować w czasie rzeczywistym nagrania z udziałem Trumpa czy Putina, którym wkładają w usta – w ich autentyczne usta – słowa i zdania, których przywódcy nigdy w życiu nie wypowiedzieli. To może budzić rozmaite wątpliwości natury etycznej. A co, jeśli krótkie nagranie głowy państwa rzucającej wojenne pogroźki stałoby się wiralem na WhatsAppie, tak jak miało to miejsce w przypadku fake newsów nawołujących do nienawiści na tle rasowym i etnicznym, które doprowadziły do bardzo rzeczywistych linczów w Birmie i Indiach? Czy w naszym społeczeństwie, tak bardzo naznaczonym nieufnością wobec instytucji i tradycyjnych mediów, wystarczyłoby odporności i zdrowego rozsądku, żeby odpowiednio zareagować?

Hipoteza Moriego otwiera przed nami wiele niepokojących scenariuszy. Owszem, dopóki fikcja jest wciąż daleka od doskonałości, to choćby od rzeczywistości różniła się ledwo zauważalnie, będziemy reagować na nią z dystansem i sceptycyzmem. Ale kiedy wreszcie zostanie ostatecznie udoskonalona, przeważy w nas fascynacja i poddamy się jej urokowi. Dyskomfort związany z niesamowitością ustąpi chęci utożsamienia się, naturalności relacji międzyludzkich, na które składają się zrozumienie, słodycz, bliskość – czy też, w zależności od przypadku, nienawiść, okrucieństwo lub obojętność.

Również dzisiaj próbujemy uczłowieczać to, co nieludzkie, ponieważ pragniemy przyszłości, w której będziemy mogli wchodzić w relacje z robotami i wirtualnymi asystentami na takich samych zasadach, na jakich wchodzimy w związki z naszymi bliźniami: chcemy, żeby i oni stali się bardziej akceptowalni, bardziej normalni. Banalizując, chcemy bardziej autentycznego dubbingu, tak, żeby ruch ust odpowiadał słowom w każdym języku, lub, jak zostało już powiedziane, chcemy móc cieszyć się nowymi rolami wielkiego aktora, teraz i przez wieczność.

Nazajutrz jednak niedemokratyczne rządy mogłyby wykorzystać sztukę cyfrowej iluzji, by uzyskać odwrotny efekt – odczłowieczyć to, co już jest ludzkie. Sprawić, aby nasze zdezorientowane zmysły wzroku, dotyku, powonienia czy słuchu odbierały bodźce, które kojarzymy z potwornościami, choć w rzeczywistości mielibyśmy przed sobą inne ludzkie istoty.

To ciemna strona wyjścia z doliny niesamowitości.

O niej właśnie opowiada *Czarne lustro*.

– Łatwiej nacisnąć na spust w momencie, kiedy na celowniku masz czarnoskórego – mówi Arquette do Stripe’a.

Psycholog i żołnierz znajdują się w jednej celi, chociaż ten ostatni nie może uporać się z przytłaczającym poczuciem zwątpienia, które przeradza się w pewność. Być może wróg, którego wojsko nakazuje mu tropić i bezlitośnie eliminować, nie jest dokładnie tym, na co wygląda. Być może nie prowadzi zagłady „pasożytów”, potwornych istot powstałych jako następstwo globalnego konfliktu, który zakończył się dziesięć lat temu. O ile rzeczywiście się zakończył.

A jeśli to ludzie, tacy sami jak on?

Stripe jest oszołomiony i załamany, o krok od popadnięcia w obłąd. Ci, których zabił z zimną krwią, nie zdawali się ludźmi. Zaostrzone zęby, szkliste oczy, zwierzęcy grymas – przypominały mu raczej armię zombie niż żywe istoty.

Nie, nie mógł się pomylić. W jego mózgu został zainstalowany system, MASS, dzięki któremu stał się żołnierzem o „rozszerzonych parametrach”. Może zobaczyć to, co widzi zwiadowczy dron, otrzymuje informacje o ruchomych celach w swoim polu widzenia, jest w stanie lepiej wycelować czy przejrzeć holograficzną mapę domu, który ma przeszukać.

Wszystkie te informacje są dostępne w każdej chwili. Wszystkie zmysły maksymalnie wyostrzone.

Nie można się pomylić: MASS pozwala widzieć więcej, nie mniej.

Wreszcie, któregoś dnia, podczas misji na farmie, żołnierz bierze udział w bezpośredniej szarpaninie z „pasożytem”. Przeciwnik nie jest człowiekiem, w niczym go nie przypomina. Ryk, który dochodzi z jego gardła, nie pochodzi z ludzkich strun głosowych. Stripe powala go na ziemię, zadaje mu ciosy nożem, raz po razie. Pasożyt w końcu nieruchomieje.

Wzrok żołnierza pada na dziwne urządzenie leżące obok zwłok, mechanizm z trzema zielonymi lampkami. Stripe jest zaciekawiony. Pobrudzony krwią ogląda aparacik, a ten niespodziewanie błyska strumieniem światła, które powoduje dziwne zaburzenia w głowie mężczyzny, jakby zakłócało częstotliwość fal jego mózgu.

Od tej chwili, od czasu do czasu, Stripe cierpi na lekkie bóle głowy. Podczas ćwiczeń na strzelnicy z pomocą MASS-a obiera cel, ale chybia. Dziwne.

Postanawia poddać się badaniom i w ten sposób zapoznaje się z psychologiem, Arquette'em. Opowiadając o wypadku, po raz pierwszy odnosi się do pasożyta mianem „on”, a nie „to”, jak do zwierzęcia, jak do pozostałych.

Arquette skrupulatnie notuje, kiwa głową. Wszystko jest w porządku, zapewnia. Za pomocą onirycznej funkcji systemu wywołuje u Stripe'a erotyczny sen, dzięki któremu żołnierz będzie mógł się zrelaksować, po czym go odsyła.

Przy kolejnej misji problem znów się pojawia. Jest coraz gorzej. Przeszukując siedzibę zaatakowaną przez potwory, Stripe natyka się na przerażoną i zapłakaną kobietę uzbrojoną w kij baseballowy. Zapewnia ją, że jej nie skrzywdzi. Szybko jednak jego współtowarzyszka zabija ją z zimną krwią, bez chwili wahania.

Stripe zaczyna domyślać się prawdy: rzeczywistość jest o wiele bardziej złożona, niż może mu się wydawać. Zwłaszcza że to, czego doświadcza, nie jest rzeczywistością, a jedynie fikcją wywołaną w jego umyśle przez wojsko, by pozbawić żołnierzy wszelkich skrupułów, zdusić w nich jakiegokolwiek wątpliwości.

„Pasożyty” okazują się nie potworami, a mężczyznami, kobietami i dziećmi.

Podczas drugiego spotkania w celi Arquette zrzuca wreszcie maskę: MASS to w rzeczywistości złożony system determinowania percepcji i zachowań. Służy temu, by nie czuć zapachu krwi, płaczu ofiar, ich błagania, trzasku łamanych kości – by wysyłać go na wojnę, jak na polowanie, na którym to ludzie stają się ofiarami.

Świat Stripe'a chwieje się w posadach, ale dociera do niego prawda: nie jest zwykłym żołnierzem, a wykonawcą planu zagłady stworzonego przeciwko ludziom uznanym za gorszych, oskarżonych o bycie nosicielami chorób genetycznych i psychicznych. Ludzi, dla których nie ma miejsca w społeczeństwie przyszłości.

– Bronisz swojej braci – mówi mu psycholog. – Powinieneś być z tego dumny.

MASS służy wyłącznie do usprawnienia masakry i zminimalizowania emocjonalnej traumy u żołnierzy. Przy okazji sprawia, że pozbawieni są

jakiegokolwiek ludzkiej litości.

Żołnierz jest załamany, fundamenty, na których opierał się jego świat, obróciły się w proch.

Gdyby postanowił zmienić zdanie i zrezygnować ze swojej pozycji, Stripe może zostać ukarany na wiele sposobów. Ponieważ jego zmysły pozostają w całości pod kontrolą urzędnika, wystarczy jedno kliknięcie i straci wzrok. Drugie – i oto będzie musiał na nowo przeżywać wszystkie swoje misje, tym razem pozbawione filtra iluzji: w miejscu „pasożytów” będzie widział ginące, niewinne ludzkie istoty.

Empatia też może zmienić się w torturę.

Stripe dostrzega tylko jedno rozwiązanie: musi zapomnieć, pozwolić, by wojsko wykasowało jego wspomnienia, i wrócić do błogiej ignorancji sprzed odkrycia prawdy.

Niech żyje! Życie to piękny sen, namacalny dzięki technologii rozszerzonej rzeczywistości. Tylko popatrz, twój nowy, wspaniały dom. A w nim czeka na ciebie twoja ukochana.

Tak przynajmniej ci się wydaje. Bo to widzisz.

W historii, którą opowiada Brooker w *Ludziach przeciw ogniovi (Man Against Fire)*, zastanawiający jest sposób, w jaki Stripe najpierw odzyskuje, a później traci na nowo „łączność” z rzeczywistością. Znajdziemy w nim kilka ostrzeżeń dla nas, współczesnych.

Pierwsze z nich sugeruje, że technologie rozszerzonej rzeczywistości – pozwalające milionom użytkowników złapać pokemona w szkole lub na ulicy, tchnąć życie w zwykłą grę planszową rozłożoną na stole czy cieszyć się oglądaniem w jakości HD dinozaurów wymarłych miliony lat temu, tu i teraz, w domowym ogródku, a wszystko to za pomocą zwykłego smartfona – są znacznie mniej nieszkodliwe, niż mogą się wydawać.

Rozszerzona rzeczywistość, czyli treści i cyfrowe doświadczenia nałożone za pomocą filtra na treści i doświadczenia analogowe, to coś więcej niż niewinna zabawa. To również sposób na to, by nas zmylić, zwieść, oszukać. To bardziej podstępny fortel niż pokazywanie dokładnej cyfrowej repliki zmarłego aktora na ekranie kinowym, ponieważ działa bezpośrednio na nasze pole postrzegania. Zmienia się to, w czym mamy już doświadczenie.

To dogmat, doskonale zobrazowany przez Žižka w *Perwersyjnym przewodniku po ideologiach*, w scenie, w której we właściwy sobie sposób opowiada o *Oni żyją* Johna Carpentera. W kultowym filmie z 1988 roku główny bohater, John Nada, znajduje w opuszczonym kościele parę okularów przeciwsłonecznych, które wystarczy założyć, by odkryć ich niecodzienną funkcję.

„Pozwalają one – mówi słoweński filozof – dostrzec prawdziwe komunikaty kryjące się za otaczającą nas propagandą, reklamami i banerami”.

Reklamami i banerami, którymi upstrzone jest Los Angeles. „Jedź na Karaiby” zmienia się tym samym w „weź ślub i się rozmnażaj”; a spot promujący nowy komputer kryje w sobie prosty nakaz: „bądź posłuszny”. Gdziekolwiek spojrzymy, atakują nas rozkazy: „nie budź się”, „nie myśl”, „podporządkuj się”.

Okulary symbolizują w zasadzie strukturę ideologiczną rządzącą naszymi pragnieniami, odkrywają fikcję, która nadaje kształt naszej rzeczywistości.

MASS, system rozszerzonej rzeczywistości wykorzystujący żołnierza Stripe’a w *Czarnym lustrze*, działa analogicznie, tyle że w odwrotny sposób: zamiast redukować elementy rzeczywistości, by odsłonić jej prawdziwe znaczenie, dodaje kolejne, żeby je ukryć.

Nie służy krytyce ideologii, jak okulary Nady w interpretacji Žižka – zamiast tego zostaje wykorzystany do ideologicznej indoktrynacji. Tylko dzięki oszustwom i iluzjom tej diabolicznej aparatury żołnierze *pragną* likwidować „pasożyty” i odczuwają przyjemność z wykonanych zadań – tylko dzięki technologicznemu kłamstwu system jest w stanie przekonać sprawców ludobójstwa, że w rzeczywistości oczyszczają świat z choroby i niedoskonałości, że są jego zbawcami.

Gdyby zniknął filtr nadający ofiarom wygląd potworów, gdyby żołnierze ujrzeli przed sobą zwykłych mężczyzn i kobiety, z trudem przysłoby im nacisnąć spust. W tej kwestii Brooker posługuje się naukowymi źródłami. Kiedy serialowy psycholog, Arquette, podczas rozmowy ze Stripe’em w celi tłumaczy mu, że ludzie nie lubią zabijać innych ludzi, podaje, że podczas pierwszej wojny światowej tylko 15-20% żołnierzy otworzyło ogień, i to pomimo wyraźnie podanego rozkazu. Twórca *Czarnego lustra* cytuje badania generała Samuela Lymana Atwooda Marshalla. Tytuł jego książki? *Men Against Fire*.

Należy powiedzieć coś jeszcze: pośród tych, którzy znaleźli w sobie odwagę, by strzelić, odnajdziemy w przytłaczającej większości osoby z historią chorób psychicznych z czasów życia w cywilu. Z tego powodu MASS w umyśle Stripe'a przemoc łączy z nagrodą w postaci przyjemności seksualnej – wypełniając jego noce erotycznymi i miłosnymi snami. Im więcej zabijesz, tym intensywniejsza okaże się nocna przyjemność. Wojna w ten sposób staje się zabawą, w której seria zabójstw pozwala ci odebrać bonusy o coraz większej wartości, jak w trójwymiarowej strzelance na konsolę.

W swoim czasie hipoteza generała Marshalla wywołała gorącą dyskusję. Niektórzy przyznali mu rację, dokładając swoje spostrzeżenia – zasada ta sprawdzała się już za czasów wojen napoleońskich, amerykańskiej wojny secesyjnej i innych konfliktów. Pozostali, jak badaczka Joanna Bourke, doszli do przeciwnych wniosków, opierając się na analizie korespondencji żołnierzy walczących podczas najważniejszych konfliktów XX wieku.

„Któregoś dnia – pisze oficer z dywizjonu moździerzy podczas Wielkiej Wojny – trafiłem prosto w obóz wroga, zobaczyłem ciała i fragmenty ciał wylatujące w powietrze, usłyszałem rozpaczliwe krzyki rannych i ratujących się ucieczką. Muszę wyznać sam przed sobą, że była to jedna z najszcześniejszych chwil mojego życia”.

Gdyby tak było, cały ekwipunek zaangażowany przez Brookera, by odczłowieczyć serialowego wroga, byłby zupełnie zbędny. Nie trzeba by było uciekać się do oszustwa – wystarczyłby głód krwi lub wręcz zwykłe pragnienie rozrywki.

Noszą ślady szaleństwa nagrania takie jak to, które opublikowano na WikiLeaks w 2010 roku, pokazujące operacje wojskowe amerykańskich żołnierzy w Afganistanie. Mimo to pomogą objaśnić naszą koncepcję. Cele, czyli niewinne i bezbronne ludzkie istoty, zmieniają się w przeszkody do pokonania, w potwory i czarne charaktery z gry wideo, które należy usunąć w jak najbardziej spektakularny sposób, tak by wywołać uśmiech i wzbudzić podziw towarzyszy z oddziału.

Jeden dobry ruch joystickiem, kilka przycisków i oto dron tysiące kilometrów stąd wykonuje nasze polecenie. Jedynym zadaniem żołnierza jest podglądanie wyniku na ekranie i przerzucanie się żarcikami z kompanami broni przez mikrofon, niczym grupka znajomych grających w *Call of Duty*.

Wszystkie manipulacje, oszustwa i nadużycia możliwe dzięki technologii uginają się w obliczu realnego ludzkiego cynizmu.

VI

AWATAR WALKI, AWATAR WŁADZY

„Dziś, drodzy obywatele, jest szczególny dzień. Jak zawsze po zakończonym głosowaniu zbieramy się w tym miejscu, by uczcić regulaminowe i pokojowe przekazanie władzy nowemu prezydentowi oraz nowemu rządowi.

Tym razem będzie jednak inaczej. Dziś, dzięki wam, władza nie zostanie powierzona nowym zarządcom – dziś powróci w wasze ręce, tam, gdzie od zawsze było jej miejsce. Dziś świętujemy pierwszy dzień nowej epoki w polityce, w której władza trafia do was, do *ludzi*.

Zbyt długo ograniczone elity, wybrane kasty bogaciły się kosztem zwykłych obywateli. Zbyt długo politycy wiedli beztroskie życie, podczas gdy zamykały się kolejne firmy, a młodzi ludzie nie mogli znaleźć pracy. Establishment chronił wyłącznie sam siebie, a nie mieszkańców tego wspaniałego kraju.

Po dziś dzień ich zwycięstwa nie były waszymi zwycięstwami.

Zabawa jednak się skończyła. Teraz los się odwróci. To wasza chwila. Ten czas należy do was, nie do starej polityki, rządów twardej ręki czy międzynarodowej finansjery, która gniotła was bezlitośnie, choć nikt przecież nigdy jej nie wybrał. Dzisiaj rodzi się zmiana, a wraz z nią nadszedł czas na wasz rozrachunek. Nareszcie stery tego kraju wracają do swoich prawowitych właścicieli – obywateli. Nareszcie świat przypomni sobie o tych, o których wszyscy zapomnieli, niemym zostanie przywrócony głos. Kraj bowiem znów jest do waszych usług, do usług zwykłego, prostego człowieka.

Chcę powtórzyć to głośno i wyraźnie, tak, by usłyszeli to również ludzie za górami i za oceanem, w każdym zakątku waszych domów i całego globu – od dzisiaj zmieniamy perspektywę. Od dzisiaj to *wy jesteście na pierwszym miejscu*. Podatki, imigracja, praca, szkoła, rodzina: wy zawsze będziecie na pierwszym miejscu.

Chcemy uczcić wasz rozsądek, wasze konkretne potrzeby, waszą chęć uczestnictwa. To właśnie dzięki temu wygramy ponownie, wygramy tak, jak nigdy

wcześniej. Wzniesiemy mury, by bronić naszej tożsamości, i nie ugniemy się przed niczym, by chronić naszych bliskich. Nie będziemy dłużej oglądać się na czarnowidzów i starą gwardię, na populistów i radykałów, na wrogów ludu, którzy zniszczyli gospodarkę, podkopali nasze morale i którzy wciąż tylko krytykują i pałają nienawiścią do naszego kraju.

Zadbamy o to, by żadna odpowiedzialność nie trafiła już w ich ręce. A tym bardziej żadna demokracja. Biurokraci i lobbyści nie będą już dyktować praw – od teraz to wy będziecie stanowić prawo.

Wy i wasze propozycje wyrażone w sieci. Za pomocą internetowych referendów, poprzez które zawsze będziecie mogli wypowiedzieć swoje zdanie, na bieżąco. Dzięki szczeremu i bezpośredniemu dialogowi z wykorzystaniem sieci społecznościowych, gdzie ja będę zawsze obecny, gotowy, by was słuchać i odpowiedzieć na każde wasze pytanie, *przyjaciele*.

Ludzie tak inteligentni jak wy znają swoje miejsce: nie potrzebujecie już dłużej kłamliwych *pismaków* knujących przeciwko dobru tego kraju, przeciwko zmianie. Nie potrzebujecie już partii, które zdradzały was przez setki lat, okradały z ciężko zarobionych pieniędzy, odbierały emerytury, marzenia i przyszłość waszych dzieci. Nie potrzebujecie już tych instytucji, przebrzmiałych i przestarzałych, niedopasowanych do wymogów współczesności. Zmienimy je wspólnymi siłami. Zmienicie je.

Bo to wy jesteście krajem, w który wierzycie. To wy, odkrywając, jak ważna jest lojalność wobec naszej wielkiej nacji, zrozumiecie, że należy być lojalnym wobec siebie nawzajem.

A kiedy serce patriotyzmu się otworzy, nie będzie w nim już miejsca na uprzedzenia. Nie będzie w nim miejsca na strach. Osłoni nas przed nim poczucie ochrony i bezpieczeństwa. Suwerenności.

Bo właśnie dziś, po latach wyczekiwania, suwerenność trafia z powrotem do ludzi. Do każdego z was.

Niech Bóg ma was w swojej opiece i niech pobłogosławi nasz wielki kraj”.

Nie trzeba daleko szukać – każdy „populista” podpisałby się obiema rękami pod powyższym wystąpieniem, stworzonym z cytatów i parafraz przemówienia Donalda Trumpa z dnia zaprzysiężenia w Białym Domu oraz innych wystąpień

politycznych liderów dotkniętych chorobą demagogii, utrzymanych w podobnym tonie. To coraz częstszy sposób przedstawienia rzeczywistości – domagający się własnych praw, coraz bardziej powszechny i zdeterminowany.

W myśl tej logiki wieczorem 25 lutego 2013 roku, na długo przed wyborem Trumpa na prezydenta, dwa pozornie niezwiązane ze sobą wydarzenia obierają wspólny tor.

Pierwsze z nich ma miejsce w Wielkiej Brytanii. Channel 4, nadawca i producent pierwszych dwóch sezonów *Czarnego lustra*, puszcza w wieczornej ramówce *The Waldo Moment*. W tym odcinku Brooker wsadza antysystemowe hasła w usta cyfrowego awatara o wyglądzie błękitnego niedźwiadka, ożywionego myślą i głosem komika zajmującego się tworzeniem satyry politycznej dla wieczornego talk-show.

Jak się okazuje, od satyry do polityki jest niedaleko, a maskotka niespodziewanie staje w szranki z innymi kandydatami do lokalnych wyborów w anonimowym miasteczku Stentonford. Startuje z programem politycznym, który można streścić w jednym słowie: *spierdalaj*, skierowanym do wszystkich konkurentów i tego, co sobą reprezentują, w utopijnej wizji bezpośredniej demokracji możliwej dzięki internetowemu głosowaniu.

– Nie potrzebujemy polityków – mówi jeden z animatorów sterujących serialowym Waldo. – Wszyscy mamy iPhone’y i komputery, nie? W takim razie dlaczego nie możemy sami podejmować decyzji i zatwierdzać postanowień? Zrobimy wszystko przez Internet. To ludzie będą decydować o polityce. Kciuk w górę, kciuk w dół. Wygrywa większość. Tak wygląda demokracja – tak wygląda prawdziwa demokracja.

Któż miałby nad tym panować? Wirtualny niedźwiadek sterowany przez komika?

Czemu nie, odpowiada Brooker, który na pomysł odcinka wpadł już w 2005 roku, podczas pracy nad swoim kąśliwym sitcomem, *Nathan Barley*.

Skoro polityka utraciła całkowicie kontakt z rzeczywistością, również wirtualna marionetka jest w stanie pokonać nawet najlepiej przygotowanego kandydata.

Do drugiego wydarzenia dochodzi we Włoszech – kiedy Waldo debiutuje na ekranie, tu w tym samym czasie zamykają się lokale wyborcze. Te wybory miały wyciągnąć kraj z ciemnej ery technokracji i zaprowadzić w stronę politycznego

rządu. Jak dowiemy się już niebawem, zatriumfuje ta sama, antysystemowa logika, której uosobieniem okaże się Ruch Pięciu Gwiazd, siła polityczna, której początków możemy dopatrywać się w sieci, ugrupowanie postulujące wybieranie klasy rządzącej właśnie za pomocą internetowej demokracji bezpośredniej. Powstała w środowisku blogosfery komika Beppe Grilla partia w tej rundzie wyborczej otrzymuje ponad 25% głosów.

Pośród fundamentalnych zasad, na których opiera się ugrupowanie, według koncepcji ideologa i współzałożyciela Gianroberta Casaleggia, znajdziemy i taką, w myśl której suwerenność należy do sieci. To właśnie miejsce, gdzie wreszcie „każdy jest wart tyle samo”, decydują wszyscy i nie ma liderów – być może z wyjątkiem Grilla, drwiącego na swoim blogu i podczas wieców wyborczych z systemu, który, jego zdaniem, należałoby obalić.

Skoro partie polityczne nie są już realne, lepszy od partii będzie awatar.

Obydwa te procesy toczą się równolegle i choć ich genezy nie odnajdziemy we Włoszech, to z włoskiej perspektywy będzie nam łatwiej im się przyjrzeć.

Pomyślcie tylko. Fikcja *Czarnego lustra* i polityczna rzeczywistość jednej z największych potęg światowych równolegle i zasadniczo synchronicznie wysuwają teorię triumfu technologicznego populizmu. Realizują sen o rewolucji przeciwko elitom, możliwej dzięki wirtualnej, bezpośredniej demokracji. Przede wszystkim zaś: konkretyzują próbę zniszczenia istniejącego systemu władzy i zastąpienia go czymś diametralnie innym.

To bitwa o sens i kształt polityki.

A jednak w epoce iluzji i braku zaufania to w pierwszej kolejności bitwa o rzeczywistość – pozwalająca nam zrozumieć, czym są niezbywalne elementy prawdy, na których musimy się opierać, by móc podjąć jakąkolwiek dyskusję.

Wyobraźmy sobie, że każdy z nas otrzymuje informacje potwierdzające indywidualną wizję świata, ignorujące lub wyszydzające komunikaty, które otrzymał nasz sąsiad. Wyobraźmy sobie, że każdy obywatel staje się obiektem treści propagandy politycznej, wymyślonych ad hoc, by zadowolić jego i wyłącznie jego preferencje, choćby nawet trzymał je w tajemnicy przed światem – a jednocześnie ukrywa się przed nim preferencje innych. Gdyby każdy padł ofiarą strategii obmyślonych w celu szerzenia nieprawdziwych informacji i manipulowania zachowaniami wyborczymi, trudno byłoby nam skonfrontować

swoje opinie na temat *tego samego* świata; porozmawiać na ten sam temat, choćby z różnych punktów widzenia.

Wielu uważa, że mielibyśmy do czynienia z nową wieżą Babel, za którą odpowiedzialne byłyby w dużej mierze sieci społecznościowe; zwłaszcza że to właśnie ich algorytmy wybierają i personalizują treści służące promocji ruchów antydemokratycznych.

„Wersja świata, która wydaje ci się znana i w której masz doświadczenie, jest niewidzialna dla osób, które nie nadają na twoich falach. I na odwrót” – pisze pionier i twórca pojęcia „rzeczywistość wirtualna”^[27], Jaron Lanier, w swojej najnowszej książce *Dziesięć powodów, żeby natychmiast skasować swoje konta społecznościowe*. „Choćby dlatego, że jesteśmy świadkami kryzysu demokracji”. „Media społecznościowe mogą zniszczyć demokrację”, grzmią za Lanierem dziesiątki artykułów i książek.

„W jaki sposób republika demokratyczna może odnieść sukces, skoro tak wielu obywateli nie potrafi zgodzić się na wspólną wersję wydarzeń?”^[28] – zastanawia się Siva Vaidhyanathan w *Antisocial media. Jak Facebook oddala nas od siebie i zagraża demokracji*, być może najsurowszej i najbardziej radykalnej krytyce, jaką Facebook otrzymał w całej historii swojego istnienia.

Odpowiedź jest prosta: nie może. Tym samym więc władza staje się nie tyle kwestią rozróżnienia prawdy od fałszu, ile „uznaniem samego poszukiwania prawdy za daremne i nieistotne”.

Problem pojawił się w takim kształcie nocą 8 listopada 2016 roku, kiedy Donald Trump zadziwił świat, zwyciężając szalony wyścig do fotela prezydenckiego w Białym Domu. Od tamtej chwili nie przestajemy mówić o wirtualnej ingerencji innych krajów, o wykradzonych poufnych danych, o gangach prowokatorów w sieciach społecznościowych, opłacanych przez złowieszczych i mocarnych rywali, o milionach fałszywych kont, wypisujących automatycznie wiadomości propagandowe i kłamstwa, o całym przemyśle fake newsów.

I tak – tego rodzaju problemami zdecydowanie należy się zająć.

Leżące jednak u podstaw pytanie nie jest natury technologicznej. Polityczna polaryzacja sięga czasów sprzed epoki mediów społecznościowych. Zjawisko bańki informacyjnej („echo chambers”), polegające na słuchaniu wyłącznie opinii pasujących do naszego światopoglądu, nie dotyczy jedynie Facebooka, ale

i osiedlowej siłowni lub naszej grupy z zajęć jogi. Upadek obyczajów i barbaryzacja języka politycznego mają za sobą długą historię, w której rolę głównego bohatera wciąż odgrywa telewizja oraz nieprzyzwoite, aroganckie i niepotrzebne „debaty”, slogany czy zbyt często wymierzane sobie wzajemnie policzki.

Jeśli chodzi o dyktatury, XX wiek poradził sobie celująco – i to w dodatku bez użycia smartfonów!

Konkluzja, do której dochodzimy, ma wymiar czysto polityczny. To właśnie polityka w epoce braku zaufania i dezintermediacji – skracania dystansu – nie jest zdolna uchwycić rzeczywistości tak dobrze, jak to, co sama definiuje jako „antypolitykę”.

Jest mniej realna.

Wyłapuje coraz mniej rzeczywistych potrzeb. Proponuje coraz mniej *zdroworozsądkowych* środków (to termin wyjątkowo bliski liderom partii populistycznych). Coraz rzadziej wypowiada się w języku *ludzi* i w ogólnym odczuciu sprawia wrażenie dalekiej, pozbawionej empatii, wyzutej z człowieczeństwa.

Ujmując rzecz z bardziej banalnej perspektywy – w wielu przypadkach: „w terenie”, w domach, w społecznościach, w miejscach pracy – polityka w tradycyjnym tego słowa znaczeniu jest nieobecna.

W tym właśnie tkwią przewaga i innowacyjność niedźwiadka Waldo: jest on w stanie wykazać, że w takich warunkach awatar kandydata politycznego może wydać nam się wręcz bardziej wiarygodny niż jego rywal z krwi i kości.

Że polityczny awatar jest w stanie zdobyć więcej poparcia niż polityka w znanej nam dotychczas formie.

We Włoszech polityka podchodziła pod kategorię sektora rozrywkowego oraz medialnej fikcji na długo przed 2013 rokiem – wystarczy wziąć pod uwagę, że przez dwadzieścia lat na scenie stał pionier prywatnej telewizji oraz jej zwodniczych trików, Silvio Berlusconi. Waldo brzmi przy nim dziwnie znajomo.

W pozostałych zakątkach świata do czasu wyboru Trumpa na prezydenta nie tak łatwo było zrozumieć niezwykłą aktualność koncepcji z *The Waldo Moment*. Kiedy odcinek został wyemitowany, publiczność i recenzenci nie kryli mieszanych uczuć: „niewiele wnoszący odcinek” – pisał „Den of Geek”, „nic nie wskazuje na to,

żebyśmy mieli uwierzyć, że *moment* Walda potrwa dłużej niż 15 minut” – dorzucił „A.V. Club”, parafrazując słowa Andy’ego Warhola.

Jak to możliwe, zastanawiali się odbiorcy, że maskotka uzbrojona wyłącznie w wulgarne słowa, obelgi, tanią demagogię i pozbawiona jakiegokolwiek pomysłu mogłaby wzbudzić aprobatę tłumów?

Owszem, taki konstrukt mógłby zadziałać przez kilka dni, na chwilę zagrozić polityczno-medialnym planom, później jednak, w rzeczywistości, skazany byłby na naturalną śmierć. Waldo może i stałby się gwiazdą chwili, jego blask przygasłby jednak bardzo szybko – z całą zaś pewnością nie byłby w stanie przyćmić ognia demokracji, jak sugerowałaby wizja Brookera, w której bez zbędnych wyjaśnień wirtualnemu niedźwiadkowi w szalenie krótkim czasie udaje się doprowadzić do powstania reżimu o cechach totalitarnych, opierającego się na kulcie jego awatara i surowym systemie represji wobec tych, którzy odważą się go skrytykować.

Mimo to producenci stojący za popularnością Walda, tak jak i ci odpowiedzialni za sukces Trumpa, wiedzą doskonale, że medialny brzuch nigdy nie jest pełny i zawsze ma apetyt na coś nowego. Kiedy więc maskotka zaczyna uczestniczyć w telewizyjnych debatach, to właśnie ona może dyktować warunki. „Wiesz przecież, że dzięki mnie skoczy ci oglądalność” – rzuca do przypadkowego dziennikarza.

Polityczny lider zredukowany do postaci trolla w oczach systemu medialnego i opinii publicznej sprawdza się lepiej niż polityczny lider, który próbuje tylko wykonywać swój zawód. Jeśli ta koncepcja was nie przekonuje, spróbujcie policzyć artykuły i opracowania na temat tweetów prezydenta Trumpa. O ile dacie radę.

Nie wiemy, czy wynik eksperymentów wirtualnej demokracji okazałby się rzeczywiście tak bardzo zgubny. Wiele osób jest o tym przekonanych, wychodząc z założenia, że w samym sercu bezpośredniej demokracji znajdziemy cechy zaczerpnięte wprost z idei totalitarnych, a wirtualny świat tylko dał autokratom dodatkowy oręż do ręki.

Inni z kolei przerzucają się konkretnymi dowodami sukcesów takiej formy władzy na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci, a zwłaszcza ostatnich kilku lat: islandzka konstytucja napisana online; prawa i ustawy sformułowane wspólnie z obywatelami w Brazylii, w Finlandii, na Tajwanie; wygrane bitwy o ochronę podstawowych wartości Internetu, toczące się od Indii po Stany Zjednoczone,

i wreszcie w samych Włoszech. Budżet miejski Madrytu i Barcelony, ustalony przez obywateli poprzez platformę partycypacyjną online. Przykładów jest mnóstwo i pokazują one, jak w niektórych okolicznościach, pod pewnymi względami, wirtualna debata i procesy legislacyjne działają znakomicie – są skuteczniejsze, bardziej kreatywne, dynamiczne, otwarte na polemikę i uczestnictwo.

Paradoksalnie, stają się bardziej rzeczywiste – wywołują realnie odczuwalne skutki, zdają się odpowiadać na pilne i namacalne potrzeby wyborców. A przede wszystkim w samym swoim zamyśle jawią się jako autentycznie *demokratyczny* wentyl bezpieczeństwa, kiedy sprawy nie toczą się w zamierzonym kierunku.

Podobnie zresztą jak Waldo. Lub jak Trump, będący zdaniem Amerykanów prawdziwym uosobieniem najgorszych koszmarów Brookera, które pierwotnie powstały w odpowiedzi na poczynania byłego burmistrza Londynu i ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Borisa Johnsona. Wystarczy przejrzeć YouTube'a: znajdziemy nagranie, na którym kukielka wypowiada słowa obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych – a dubbing jest tak udany, że nie odczuwamy nawet dysonansu poznawczego. Osobiste wycieczki, seksistowskie docinki, wulgarność; nawet podżeganie do przemocy przywodzi na myśl protestujących na wiecach Trumpa, pobitych przez jego zwolenników i obrzuconych groźbami przez samego prezydenta.

Wszystko zaczyna mieć sens.

Listopad 2016 roku okazał się datą graniczną. Od tego czasu nastawienie krytyków wobec *The Waldo Moment* uległo diametralnej zmianie: nikt nie znalazł już odwagi, by wytykać scenariuszowi przesadne oderwanie od rzeczywistości graniczące z dążeniem do karykatury. Wielu odczytało historię niebieskiego misia na nowo – jako zapowiedź nadchodzących realiów. Zapowiedź, którą Brooker wyraził poza nawiasem metafory, okazując się jednym z niewielu, którzy, choćby nie z własnej woli, przewidzieli zwycięstwo magnata.

Brak realnej formy, tak jak w przypadku Walda, przy jednoczesnym poczuciu „większej realności niż u całej reszty”, jak słyszymy w odcinku, to już sam w sobie faktyczny projekt polityczny skazany na sukces, to forma władzy nad światem, mająca zastosowanie wszędzie, bez wyjątku.

Dzisiaj dopatrzymy się w nim „ostatniego antypolitycznego bastionu”, jutro wcieli się w popularyzatora „wszelkiej idei we wszelkiej postaci”. Wystarczy

odpowiednia dawka sprośnych żarcików i wirtualnego nadęcia, kilka dowcipów na temat wyglądu i życia osobistego naszych konkurentów w zanadrzu. Wystarczy mówić językiem ludu i wystarczy mieć w sobie jego gniew.

„To nie kolejny odcinek naszego serialu. To nie chwyt marketingowy. To rzeczywistość” – tweetowało konto *Czarnego lustra* tej samej nocy, gdy Trump został *intronizowany*.

W ten sposób wszelka możliwość racjonalnej refleksji o naszym świecie znika bezpowrotnie.

O ile sznurkami sterującymi posłusznym ciałem maskotki będzie pociągał nie człowiek, lecz sztuczna inteligencja.

Wchodzimy tu na grząski grunt fantazji, chcemy jednak zrozumieć, co czeka nas w nadchodzącym świecie – a co, jeśli Waldo przestałby być marionetką komika, stając się samodzielnie decydującą o sobie istotą?

Gdyby nie potrzebował rozpisanego scenariusza, listy gagów, by nas do siebie przekonać? Gdyby zbędny okazał się aktor podkładający głos zza kulis i sterujący mimiką, tonem oraz ruchami kukielki, wystarczająco wyszukany i złożony, by wzbudzić śmiech i emocje publiczności?

Jamie, rzeczony komik, szybko daje wyjść na jaw swoim słabościom, niewysłowionym frustracjom, nierozstrzygniętym uczuciom. Każdy człowiek takie posiada.

Człowiek, nie maszyna. Maszyna może nami manipulować i cynicznie nas zwodzić, nie wie, czym jest szacunek, lecz potrafi skorzystać z Big Data, by wszystkiego się o nas dowiedzieć i uderzyć dokładnie tam, gdzie znajduje się nasza największa słabość, w sam środek uprzedzeń lub w żywą tkankę naszych najgłębszych przekonań.

Lub też, w skrajnym przypadku, polityczny awatar mógłby stać się do tego stopnia *smart*, że zasłużyłby sobie na rządy w publicznych sprawach.

To zasadniczy argument. Co, jeśli sztuczna inteligencja zdołałaby się nauczyć, jak rządzić lepiej od ludzi?

Gdybyśmy nauczyli ją podejmować systematyczne decyzje korzystne dla interesu publicznego – czy wówczas nie zagłosowalibyśmy na nią, dając jej pierwszeństwo przed jakimkolwiek człowiekiem?

Dzisiaj łatwo zareagować drwiną wobec ewidentnych defektów systemów sztucznej inteligencji: w zakresie katalogowania produktów, rozpoznawania przedmiotów, odpowiedzi na elementarne pytania czy nawet rozumienia podstawowych aspektów języka.

A jednak, jak pisze filozof i dziennikarz Jamie Bartlett w książce *Ludzie przeciw technologii. Jak Internet zabija demokrację (i jak możemy ją ocalić)*, maszyny w najbliższej przyszłości mogą zbliżyć się do koncepcji, którą utylitarysta Jeremy Bentham nazywał ponad dwa wieki temu *felicific calculus* – rachunkiem szczęśliwości, to znaczy *wystarczająco* dobrą oceną moralności każdego pojedynczego stwierdzenia i każdego czynu.

Wystarczy jeden algorytm będący w stanie obliczyć wartość moralną każdego gestu i połączyć kombinację wielu różnych gestów w taki sposób, by osiągnąć jak największą korzyść społeczną.

To stara hipoteza rządu maszyn, wyjątkowo bliska fantastyce naukowej, funkcjonująca choćby pod nazwą „racjonalny porządek świata” w teoriach Philipa K. Dicka w *Vulcan's Hammer*, powieści, w której wszystkimi kwestiami o znaczeniu politycznym zarządza komputer, będący w stanie nawet „przewidzieć konflikty społeczne” potencjalnie wywołane przez swoje własne rządy.

Istnieje prawdopodobieństwo, że nie zrozumielibyśmy zasadności właściwych wyborów. W hipotetycznych założeniach Bartletta, by taki scenariusz się sprawdził, konieczne jest zaistnienie „Moralnej Osobliwości”, chwili, w której praktyczny rozsądek robotów przewyższy ludzkie możliwości.

Nie sposób jednak nie zauważyć płynących z tego korzyści.

W tym przypadku czynnik ludzki mógłby praktycznie nie istnieć. „Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że maszyny wypluwają z siebie kiepskie rozwiązania. Przeciwnie. W miarę swojego rozwoju będą regularnie dostarczać rozwiązań rewelacyjnych i oszczędnych (przynajmniej w porównaniu z ludzkimi), a to jeszcze silniej utrwali ich miejsce w naszym życiu, nawet jeśli skrycie sięją nierówności”^[29] – pisze Bartlett.

Nie istniałaby już dłużej potrzeba sięgania po kukłę „populizmu” czy tworzenia cyfrowych orędowników zapomnianych przez ludzi, „antypaństwowych” spraw. Nasze maszyny obdarzone byłyby inteligencją – sprawiedliwe *smart ruling things*, rozdzielające prawa i przywileje według swojej ultraracjonalnej wizji politycznej.

A my bylibyśmy posłuszni, przekonani, że oto mamy przed sobą neutralne, obiektywne i najlepsze z możliwych decyzje, podjęte w oparciu o dane, wyłonione na skutek skrupulatnych rachunków i spersonalizowane w taki sposób, by mieściły się w obszarze strefy ideologicznego komfortu każdego z nas.

W epoce nieufności nareszcie zdołalibyśmy odnaleźć stabilny punkt zaczepienia, coś godnego zaufania: algorytmy władzy. I tak, wielu małych Waldów, z których każdy miałby w zanadrzu właściwe dla nas słowa, potrafiłoby dobrać odpowiednie obietnice, by nas uwieść i sprawić, że zrobimy dokładnie to, o co nas poproszą.

To czysta fikcja, nikt przecież nie zdołałby w takiej sytuacji zweryfikować ani zrozumieć, czy tego rodzaju rachunki są w ostateczności sprawiedliwe, równe, demokratyczne.

„I oto przedmioty ożyły, a żywe istoty zostały zredukowane do poziomu rzeczy” – podsumowuje Dick. Już nie władcy, a zwykli poddani technologii.

Wciąż jednak należy pamiętać o jeszcze jednym „a jeśli”.

A jeśli właśnie tak miałby wyglądać efekt demokracji? Gdyby najszlachetniejszym demokratycznym aktem było poddanie się wyższej formie rządów, zbudowanej przez inteligencję wyzutą z ludzkich ograniczeń – jej sztuczną i lepszą wersję?

„Jakim moralnym argumentem można by uzasadnić prawo ludzi do podejmowania ważnych decyzji, gdyby istniał inny, lepszy system? I czym wówczas byłaby demokracja, jeśli nie mało skuteczną metodą seryjnego dokonywania złych wyborów?”^[30] – zastanawia się Bartlett.

Ten kierunek rozumowania jest dziś źródłem wielu nadziei.

Gdyby tylko maszyny jako zbiorowość wykazały się większą mądrością niż „mądrość” ludzkich tłumów, demokracji nie pozostałoby nic innego, jak zdecydować pomiędzy ich całkowitym zniszczeniem a poddaniem się ich panowaniu.

Któż zresztą byłby gotów zaryzykować utratę wygód i przywilejów, by wszcząć rewolucję przeciwko prawdziwie oświeconemu dyktatorowi?

Być może spryciarze, skuszeni wizją współpracy, zgodziliby się na służbę na dworze algorytmicznego monarchy, by wkupić się w jego łaski i lepiej zrozumieć rządzącą nim logikę. I wreszcie – by na tym skorzystać.

Nasze domniemania przypominają z grubsza sytuację opisaną w *Demokratii*, mandze Motorō Mase przesuwającej horyzonty zainteresowania japońskiego komiksu w stronę ludzkich i społecznych konsekwencji nieustannie wzrastającej aktywności w świecie cyfrowym.

Sam pomysł jest godny pochwały ze względu na swoją innowacyjność – to doskonały przykład opowieści ilustrującej wiele prawdziwych problemów wstrząsających fundamentami bezpośredniej demokracji. W efekcie mangaka^[3*] zmusza nas, byśmy zastanowili się nad coraz bardziej niedostrzegalną granicą pomiędzy tym, co rzeczywiste, a tym, co nierealne. To ciągle stanowi nasz główny problem – właśnie dlatego tak łatwe i kuszące może nam się wydać zrzeczenie się naszego człowieczeństwa.

Historia zaczyna się w chwili, gdy Maezawa, student trzeciego roku inżynierii telekomunikacji na Uniwersytecie w Kanto, spotyka się ze specjalistą z dziedziny robotyki – Igumą. Ten pierwszy stworzył system „służący usprawnieniu głosowania większościowego w sieci”, drugi natomiast jest twórcą przypominającego wyglądem człowieka androida, któremu wciąż brak ludzkiej inteligencji.

– Dlaczego nie skorzystać z kolektywnego procesu decyzyjnego w czasie rzeczywistym, by przyczynić się do rozwoju robotyki? – zastanawia się Iguma. – Jeśli dzięki twojemu oprogramowaniu o zachowaniu androida będą decydować wszyscy użytkownicy w sieci poprzez głosowanie, mamy szansę doświadczyć czegoś bezprecedensowego – mówi studentowi podczas spotkania. – Zastanów się nad tym. Mielibyśmy do dyspozycji ogromną grupę osób, które za pomocą sieci mogłyby przekazać androidowi nieskończone pokłady wiedzy, doświadczenia, moralności... Moglibyśmy dzięki temu stworzyć idealny wzorzec zachowania dla robota. Powstałby on na podstawie wyboru większości pokaźnej próby osób.

Naukowiec tryska entuzjazmem, wyjaśnia, że w ten sposób android, którego nazywa Mei, stopniowo stałby się „ostateczną wersją istoty ludzkiej” – uniwersalnym modelem, zwłaszcza że każda jego decyzja byłaby wynikiem nie indywidualnego wyboru, a mądrości tłumów – formą inteligencji, z definicji przewyższającą jednostkową mądrość, w myśl zasad bezpośredniej demokracji.

Maezawa jest wyraźnie zmieszany, musi się poważnie zastanowić. W pierwszej chwili ma na końcu języka, żeby gwałtownie zaprotestować, i słusznie: w ten sposób nie powstałby przecież rząd ludzkiej mądrości, a co najwyżej tyrania opinii

publicznej. Dyktatura w czasie rzeczywistym, rządy chwili. O natychmiastowości w *Czarnym lustrze* zostało powiedziane już wiele: poznaliśmy historię premiera – zakładnika przeczących samym sobie sondaży zmieniających się z godziny na godzinę; tajemniczego kata, którego ofiary zostają wybrane przez gangi żądnych krwi użytkowników Twittera za pomocą hashtagu; chłopaka, który w drodze na spotkanie pozwala sobą sterować grupie widzów online, sugerujących mu, krok po kroku, jak się zachować.

Nasz student daje się jednak przekonać. Być może jego system do głosowania online zasługuje na większą uwagę – może powinien mieć większe, rewolucyjne ambicje. Sprzedał go już, poprzez uniwersytecki inkubator przedsiębiorczości, jednemu z wydawnictw, które zrobiło z niego grę edukacyjną na potrzeby wewnętrznych sieci japońskich podstawówek. W zamyśle pedagogów dzieci, posługując się uproszczoną wersją oprogramowania Maezawy, będą mogły współpracować ze sobą w grupie, decydując o zachowaniu danej postaci. Żeby poruszać nią „we właściwy sposób”, każda drużyna będzie musiała wybrać głosowaniem większościowym konkretne ruchy, które postać miałaby wykonać.

– I tak, żeby posuwać się naprzód, każda grupa będzie musiała dyskutować i głosować nad każdym kolejnym krokiem. W ten sposób, poprzez zabawę, dzieci nauczą się współpracy oraz cierpliwości – mówi Maezawa. – Poza tym będą miały okazję poćwiczyć i zrozumieć moralność wynikającą z wyboru dokonanego przez większość.

W gruncie rzeczy tak samo miałyby to wyglądać w przypadku Mei. Grupa decyzyjna, licząca trzy tysiące osób według eksperymentu zaprojektowanego w komiksie, nauczyłaby się wspólnie decydować, konfrontować swoje opinie, rozwijać „zbiorowy umysł”, który, nieprzypadkowo, stanowi jedną z odwiecznych obietnic internetowej utopii.

Nie tylko. Dążąc do samodoskonalenia, uczestnicy eksperymentu przyczyniliby się również do ulepszenia sztucznej inteligencji Mei. Mamy tu do czynienia z ewidentnym odniesieniem do rzeczywiście istniejących scenariuszy, choćby „mikropracy” tysięcy jednostek ludzkich wykonujących proste i powtarzalne czynności. Ich usługi oferuje na przykład należąca do Amazona platforma Mechanical Turk – pracująca nad udoskonaleniem sztucznych inteligencji zarządzających naszym internetowym życiem. Ludzie zostali tam zredukowani do poziomu robotów, ponieważ kosztują mniej niż roboty – za kilka centów można

wykupić sobie kilka prawdziwych neuronów, a nie ich cyfrowe repliki, nakazać im rozwiązywać proste zadania matematyczne i klikać w CAPTCHA: klasyfikować obrazki i przepisywać kody. W ten właśnie sposób przebiega proces nauki naszych asystentów głosowych w telefonach – od Siri po Cortanę, czy w domach – od Alexy po Google Home.

W mandze trzy tysiące użytkowników wykonuje naraz tę samą czynność. Muszą nieustannie podejmować te same mikrodecyzje, rozwiązywać mikroproblemy: wstać z łóżka lub nie wstawać, jak szybko to zrobić, jak bardzo napięte powinny być mięśnie, jaki wyraz miałyby przybrać twarz, w którą stronę zwrócić wzrok i na co spojrzeć.

Żaden z użytkowników *demokratii* nie może sam sterować androidem – decyzje, spośród których może wybrać, to za każdym razem trzy najbardziej popularne opcje spośród tysięcy propozycji aktywnych użytkowników, wyłonione według klucza większościowego.

System posiada jednak pewien interesujący wyjątek: przy każdym głosowaniu pokazuje dwie dodatkowe opcje, które zostały zaproponowane przez użytkowników w pierwszej kolejności. Choć nie zdobyły takiej popularności jak trzy pozostałe odpowiedzi, jest to sposób, tłumaczy Maezawa, by wziąć pod uwagę również „niespodziewane pomysły, przebłyski geniuszu, myśli, które nie płyną ze zdrowego rozsądku i które wyróżniają się oryginalnością”. Takie, których dyktatura większości (a w niej student upatruje pewnego zagrożenia) nie zdołałaby docenić.

Nasza dwójka postanawia wprowadzić swój eksperyment w życie, jednak wraz z rozwojem wydarzeń utopijna idea szybko zaczyna przybierać formę koszmaru. Jakość życia uczestników badania stale się pogarsza w związku z ciężarem konieczności ciągłego podejmowania decyzji, nieustannego oceniania, klikania i dyskusowania. Próba respondentów złożona jest z jednostek, które z jakiegoś powodu mogą sobie pozwolić na zrezygnowanie z własnej egzystencji i poświęcić swoje istnienie budowaniu demokracji bezpośredniej oraz przyczynianiu się do rozwoju androida – to dyktatura nierobów. Pomiędzy jednym a drugim atakiem kolektywnego szaleństwa to emocje przejmują całkowitą kontrolę nad rozsądkiem. W historii tej obecne są wszystkie możliwe krytyczne aspekty naszej wspólnoty rozumianej jako członkowie politycznej społeczności pragnącej suwerenności dzięki sieci.

Komiks opowiada o eksperymencie jako o „symulatorze istot ludzkich w dobie *social*”, w rzeczywistości jednak obiekt badań w osobie Mei to nic innego jak projekt polityczny. Iguma wypowiada się jasno na ten temat: na ulicach, w barach, pośród ludzkiego tłumu android spotkałby wiele osób, które rzeczywiście przyczyniłyby się do jego „uczłowieczenia” – w całej swej „nieskończonej mądrości”. Z upływem czasu można byłoby wreszcie „zacząć szukać aprobaty wśród ludzi, otrzymywać ich wsparcie i szacunek. Idąc dalej tym tropem, pewnego dnia android stałby się wzorem dla wszystkich, aż w końcu mógłby stać się przewodnikiem, liderem” – puszcza wodze fantazji Mase, ilustrując swoje słowa rysunkiem potężnych pleców niepokojącej postaci, widzianej z dołu, górującej triumfalnie ponad publicznością.

Publiczność została ponownie oszukana – nie ma pojęcia, że oto przed nią znajduje się nieczłowiek, nierzeczywista istota. A zresztą, tłumaczy nam manga, „choć może i nie jest prawdziwym człowiekiem, android mógłby się stać modelowym wzorcem człowieka, człowiekiem idealnym, co oznacza, że byłby bardziej ludzki od jakiegokolwiek ludzkiej istoty”.

Tak jak Waldo – nieprawdziwy, lecz prawdziwszy od prawdy.

Powrót do rzeczywistości jest tym samym odtrutką na polityczny jad w dobie obrazu i chwilowości. To, jak złożone są nasze realia, o ile opowiadamy o nich stanowczo i z pokorą, mając w zanadru właściwe argumenty i dane, stanowi nieprzekraczalną granicę dla propagandy, wysoki próg, na którym zatrzymuje się każda forma manipulacji.

Tak zwane „populizmy”, kwestie „antypolityczne” lub „antysystemowe” święcą dziś triumfy na całym świecie, ponieważ zarówno stanowczość, jak i pokora, a często także dane i argumenty, w ustach tych, którzy opowiadają o rzeczywistości, są ostatnio jedynie pobożnym życzeniem. W ten sposób dobre intencje zmieniają się w obietnice nie do zrealizowania, półprawdy stają się prawdą z okładem, aż wreszcie władzę przejmuje absolutny relatywizm, który każdy fakt przekuwa na opinię, a w każdej opinii dostrzega potrzebę osobistego, czarno-białego ustosunkowania się: albo wszystko, albo nic. Racjonalna dyskusja nie jest już do niczego potrzebna.

Lecz jeśli wygrają, to jest ku temu powód, zasadniczo łączący się z tym, co zostało powiedziane w poprzednim rozdziale: kształt rzeczywistości rozmywa się

już u samych podstaw – w związku z jej postrzeganiem, zarówno zmysłowym, jak i intelektualnym. Awatar niebieskiego niedźwiadka zdaje się nam znajomy, przypomina *animoji* – czyli apple’owskie animowane emotikony, naśladujące naszą mimikę. Wirtualna rzeczywistość się rozszerza, a retusz fotograficzny czy możliwość modyfikowania nagrań audio oraz wideo w czasie rzeczywistym stwarzają okazję do kreowania nowych, wiarygodnych rzeczywistości, jednocześnie podburzając wiarygodność wszystkiego tego, co mamy przed oczami. Nie można od tego nigdzie uciec, zwłaszcza w obecnym klimacie kulturowym.

Waldo i Trump nie mogliby bowiem zaistnieć, gdyby nie powstali na podwalinach niezwykle złożonego systemu rozpowszechniania wiedzy. Czy też raczej mogliby istnieć, ale nikt nie traktowałby ich poważnie, nie starałby się urzeczywistnić idei nowej władzy, która dziś budzi w nas przerażenie i która doprowadziła do powrotu nacjonalistów wznoszących mury, zamykających granice; władzy, która usiłuje omamić nas irracjonalnymi lękami – od wizji inwazji muzułmanów lub uchodźców po globalne spiski syjonistycznej finansjery.

Mamy do czynienia z prawdziwą kulturową hegemonią natychmiastowego i nieprzemyślanego nad przemyślanym, zracjonalizowanym; nad refleksją góruje pośpiech, nad inteligencją – populistyczna „ugoda”. Taki paradygmat doskonale pasuje do nacierającej z każdej strony idei transformacji polityki w pseudonaukę opartą na liczbach i danych, będącą wyłącznie dodatkiem do utilitaryzmu opartego w całości na wydajności cyfrowego świata oraz obietnicach powszechnie dostępnego dobrobytu i zapewnionej przez sztuczną inteligencję wygody.

Jeśli postanowimy zignorować tę teorię, jako jedną z najbardziej realnych alternatyw tradycyjnej polityki, musimy zdawać sobie sprawę, że nasza postawa nie pomoże rozwiązać problemów demokracji.

Tak samo, jak bezskuteczne może okazać się obwinianie o wszystko mediów społecznościowych – w ten sposób nie wypracujemy alternatywnej koncepcji polityki, wystarczająco konkretnej wizji świata.

Wciąż jednak nie należy zapominać o pewnym problemie, który wiąże się z mediami społecznościowymi. Sposób, w jaki je postrzegamy, i to, jak je wykorzystujemy, urzeczywistnia koszarne wizje Brookera w większym stopniu niż pojawienie się w politycznym uniwersum nowych Peryklesów i współczesnych Aten, których agora będzie tak wielka, jak cały świat.

Koniec końców, rozczarowany komik Jamie, mężczyzna sterujący awatarem Walda, przypomina w odcinku tym, którzy są przekonani, że demokracja działa tak jak YouTube – wedle liczby odsłon i kciuków do góry – że „najpopularniejszy film w sieci to ten, w którym pies pierdzi w rytm melodii piosenki z *Happy Days*”.

Kiedy polityka chowa się w cień, pozostaje tylko tyle.

VII

BEZ OBAW

Przyszło nam żyć w dziwnych czasach. Wszystkiego powinniśmy się obawiać i niczego nie powinniśmy się bać. Wydaje się, że odsetek przestępczości rośnie, a przecież maleje. Że zalewa nas fala nielegalnych imigrantów, choć w rzeczywistości statystyki udowadniają, że przypląwa ich coraz mniej. Jest gorzej i gorzej, niezależnie od tego, co mówią dane dotyczące poziomu naszego życia i jego przeciętnej długości.

Okazuje się, że w nic już nie wierzymy – tak nam mówią ci, którzy wyliczają statystyki i przeprowadzają sondaże. Nie wierzymy politykom, dziennikom, związkom zawodowym, instytucjom, naszym bliskim, nie wierzymy również w Boga – nasza wiara bezpowrotnie odchodzi w przeszłość. Jak niemy eksponat z muzeum, niezdolna jest opowiedzieć o czymkolwiek, co pozostało nam z jej dziedzictwa. My zaś drżymy, stąpając po cienkiej linii pomiędzy teraźniejszością, której nie chcemy, a przyszłością, o której nie wiemy nic. Sparaliżowani strachem, a jednocześnie gotowi do ucieczki z każdym, kto nas do czegoś przekona – albo jeszcze lepiej: z każdym, kto powie nam to, co chcielibyśmy usłyszeć.

Dlatego też nasze czasy to doba strachu, niepewności i lęku, równoległe oferująca technologie, które podtrzymują nas na duchu, sprawiają, że czujemy się bezpieczniej. To właśnie one dają nam ostatnią, dziwaczną nadzieję. Właśnie one mają nam udowodnić, że mimo wszystko postęp cywilizacyjny wcale się nie zatrzymał.

I nagle nie potrafimy się bez nich obyć. Nastolatki od wieków zmieniają się w młodych mężczyzn i młode kobiety, ale oto niespodziewanie rodzicom zaczyna się wydawać, że to niemożliwe, więc postanawiają śledzić każdy ich krok, każdy odebrany telefon, wiadomość, każde wyszukiwanie w sieci. Pary kochają się i zdradzają od zarania ludzkich dziejów, ale właśnie dziś wraz z tysiącami, milionami nam podobnych odczuwany palącą potrzebę kontrolowania smartfona swojej drugiej połówki, by pozbyć się podejrzeń, że on czy ona ma coś do ukrycia.

W miejscu pracy wystarczy prosta aplikacja, by zrealizować sposoby monitorowania pracowników, przy których błędną teorię „naukowego managementu” opracowane na początku ubiegłego stulecia przez Fredericka Winslawa Taylora – zdolne rejestrować każdy ruch, każdą przerwę, rytm pracy każdego pracownika. Pamiętajmy, produktywności nigdy dość – przecież widmo kryzysu czai się zawsze tuż za rogiem.

To łańcuch sprzeczności, który pokazuje jak na dłoni jedną z najbardziej newralgicznych stron współczesnego świata: strach jest świetną pożywką dla nadzoru, a nadzór sam żywi się strachem. Wierzmy, że wolnością można płacić za bezpieczeństwo, i mamy nadzieję, że w ten sposób ukoimy nasze lęki, jednak z trudem ukrywamy, że nerwy mamy wciąż napięte jak postronki.

W zamian za to zakres naszej wolności rozpaczliwie się kurczy, a demokracja przeżywa kryzys atrakcyjności. Rezultaty takiego stanu rzeczy odczuwalne są na poziomie światowym od wielu lat. Prawa – te wirtualne i te realne – stają się coraz bardziej ograniczone, a państwa, które powinny innym służyć przykładem, chronią własną skórę i prą naprzód. Zauważamy coraz powszechniejszą barbaryzację debaty publicznej, w której pojawiają się słowa widniejące niegdyś na liście słów zakazanych. Najgorsza spuścizna dwudziestego stulecia wraca na liczne, zbyt liczne usta publicznych mówców, bezwstydnie dopuszczających się rasizmu, nawołujących do nienawiści na tle religijnym, do nacjonalizmu, niezdolnych do odczuwania empatii czy człowieczeństwa. Wielu z nich to uosobienie sromotnej porażki cywilizacji i postępu. Historia, która miała definitywnie się skończyć, powróciła jak zły sen, niosąc za sobą nowe pokłady wściekłości, którymi zdołała nas zastraszyć, przyprzeć do muru i kazać nam szukać pocieszenia w ramionach cyfrowych szarlatanów, wymachujących odpowiednimi gadżetami tuż przed naszym nosem.

Strach bowiem to nie tylko jedna z podstawowych ludzkich emocji, lecz także cały przemysł żerujący na woli przetrwania, która instynktownie nakazuje nam się oddalić od niebezpieczeństwa. Wpędzanie w poczucie zagrożenia może być sposobem na nakłonienie nas do dobrowolnego przyjęcia autorytarnego projektu politycznego.

Nic tak nie maskuje kłamstw, jak właśnie strach, nic tak jak strach nie zwiększa tempa rozpowszechniania skandalizujących informacji, artykułów i populistycznych programów politycznych, stworzonych specjalnie po to, by

oburzać, dzielić, terroryzować – środek jest dowolny, liczy się wyłącznie cel: byle tylko kliknęli, byle tylko zagłosowali.

Ponadto należy pamiętać o dynamice rządzącej światem start-upów i aplikacji zaprojektowanych zarówno po to, by dokarmiać nasze lęki, jak i po to, by z nimi walczyć. Inteligentne systemy monitoringu służą jednocześnie temu, aby potwierdzić, że nasza obawa stania się ofiarą kradzieży jest uzasadniona i rzeczywista, oraz temu, by obiecać, że nigdy do tego nie dojdzie – w końcu sztuczna inteligencja potrafi przewidzieć i udaremnić każde przestępstwo. A w najgorszym przypadku znacznie ułatwić odnalezienie i identyfikację sprawcy.

To właśnie aplikacje uczą nas, jak się zdrowo odżywiać, monitorują stan naszego zdrowia w czasie rzeczywistym, rejestrują, ile czasu spędziliśmy przyklejeni do monitora, i podpowiadają, kiedy i na jak długo się od niego odkleić. Wszystko to służy utwierdzeniu nas w obawie, że żyjemy w całkowitej nieświadomości wobec kluczowych danych dotyczących naszej egzystencji, a jednocześnie uzależnia nas od kolejnych przyrządów, które zbierają te dane zawsze i wszędzie.

Każdy sposób jest dobry, żeby oswoić powszechne uzależnienie od nadzoru i kontroli.

To samo dotyczy internetowych gigantów odpowiedzialnych za kształt naszego wirtualnego istnienia, od Google'a po Facebooka. Coraz większym i coraz bardziej powszechnym poparciem cieszy się stawiany im wymóg, by to właśnie oni chronili nas przed nienawiścią, groźbami, nadużyciami, ekstremizmami wszelkiego rodzaju i kłamstwami krążącymi po ich platformach. Mimo to, niezależnie ile osób zatrudnią, ile algorytmicznych rozwiązań zaangażują w usuwanie zła z cyfrowego świata, zło uparcie się trzyma, a wraz z nim – wszystkie nasze obawy.

Jesteśmy wiecznymi dziećmi w rękach nadopiekuńczych rodziców na granicy obłądu. I zdaje się, że tak jest wygodnie.

Wygodnie jest właścicielom kodów tych aplikacji i platform internetowych – wiedzą o nas wszystko i dzięki temu mogą zarzucić nas swoimi obietnicami zbawienia, istnienia w społeczności, samorealizacji osobistej i zawodowej. A w międzyczasie zarobić na tym bająnskie sumy.

Wygodnie jest rządowi, które w ten sposób mają do dyspozycji uaktualnianą w czasie rzeczywistym przekrojową wiedzę o świecie i obywatelach. Mogą ją wykorzystać, by zbudować sobie poparcie i wypromować własne dążenia

geopolityczne, szpiegując wszelkich możliwych wrogów, i uprzedzić każdy przejaw ewentualnego niezadowolenia.

Wygodnie jest wreszcie i samym obywatelom, zredukowanym do statusu użytkowników i pozbawionym często podstawowych praw, niezbywalnych w realnym świecie. Mimo to wydają się zadowoleni. Koniec końców, usługi, których są beneficjentami, są dzięki temu darmowe lub dostępne w niewygórowanych cenach. Usługi zdolne omamić do tego stopnia, że z własnej woli postanowimy częściowo lub całkowicie się dla nich odsłonić, byle tylko osiągnąć obiecany przez nie cel.

We współczesnym świecie totalnego nadzoru niepotrzebny okazuje się totalitarny, orwellowski przymus – wystarczają nieustanne rekompensaty na poziomie naszego libido, emocji, poczucie spełnienia wywołane kolejnym lajkiem lub notyfikacją potwierdzającą, że oto tamtego wieczoru nasza partnerka rzeczywiście znajdowała się w pracy.

I właśnie dlatego symbolem naszej epoki nie jest proza Georga Orwella, a *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya. By rządzić tłumem, wystarczy mieć w zanadrzu dla każdego specjalną spersonalizowaną marchewkę, wystarczy nie tłuc wszystkich tym samym kijem. Neil Postman zrozumiał to już w 1985 roku, kiedy opisywał stan upojenia wywołany nieustannymi bodźcami telewizyjnymi rozpraszającymi naszą uwagę – o tym, jak „bawi nas na śmierć” (*Zabawić się na śmierć* to tytuł jego mistrzowskiego eseju).

To samo dotyczy mediów społecznościowych, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że to rozrywka skrojona na miarę preferencji każdego użytkownika. To tu wreszcie czujemy się wolni, by wyrazić nas samych – nasze radości i smutki, naszą złość i nasze pasje. Tutaj trudno nam zaakceptować usunięcie przez algorytm lub jednego z cenzorów Facebooka naszego wpisu czy komentarza, podczas gdy w realnym świecie, w codziennym życiu często gryziemy się w język, żeby nie powiedzieć czegoś, co świadczyłoby, że jesteśmy przesadnie wyzwoleni.

Poza tym z tyłu głowy, niczym natrętna mantra, wracają do nas słowa – kuszące, przekonujące i apodyktyczne: *skoro nie masz nic do ukrycia, to nie masz się czego obawiać*.

Czy radykalna przejrzystość, wszystkiego i wszystkich, to panaceum na wszystkie błędy i niedoskonałości obywatelskiego i demokratycznego współżycia?

Miliardy otwartych dniem i nocą oczu, rejestrujących każdą rzecz – łatwo zapomnieć, że pełnowymiarowym skutkiem nieustannego patrzenia jest zbiorowa ślepotą.

*

Dzień, jakich wiele – w świetle bladego zimowego słońca Marie zabiera córkę Sarę na plac zabaw. Dziewczynka to radosna i beztroska trzylatka o blond włosach i niebieskich oczach. Matka jest sama, spogląda na dziecko oczarowana, a mała szaleje na zjeżdżalniach, pojawia się i znika pośród plastikowych tuneli. Jak to dzieci.

Nagle coś, czego nikt by się nie spodziewał. Na końcu jednej z kryjówek Sara widzi kota i zaczyna go głaskać. Jest poza polem widzenia matki, która w tej samej chwili spotyka koleżankę z niemowlęciem w wózku. Kobieta pokazuje jej noworodka, a Marie na chwilę skupia się na rozmowie, gratulacjach i rozkosznym maluchu.

Kotek w międzyczasie czmycha, a Sara, w związku z tym, że matka nie zwraca na nią uwagi, postanawia za nim pójść.

Wystarcza moment – kiedy wzrok Marie z powrotem pada na zjeżdżalnię, Sary już tam nie ma. Nie ma jej też przy innych atrakcjach. Nie ma jej nigdzie na placu zabaw.

Marie, ogarnięta paniką, wykrzykuje raz po raz imię córki. Wpada w rozpacz, angażuje przechodniów, którzy również zaczynają krzyczeć: „Sara! Sara!”.

Zdaje się, że dziewczynka rozplynęła się w powietrzu. Kiedy znika resztką nadziei, jakiś mężczyzna krzyczy:

– Mam ją!

Marie chwyta dziewczynkę w ramiona, przeprasza, szlocha.

Trauma jednak nie mija.

W bezpiecznym zaciszu własnego domu Marie postanawia zasięgnąć technologicznej pomocy. Urządzenie o nazwie Arkangel to nowy wynalazek, wciąż w fazie testów. Jest darmowe i zdaje się, że działa. To implant neuronowy, zupełnie bezbolesny, instalujący w mózgu dziewczynki oprogramowanie pozwalające na jej nieustanny nadzór. Dla Marie to sposób na pozbycie się lęku przed kolejną utratą Sary, tym razem bezpowrotną. Dzięki zwykłemu tabletkowi uzyska całkowitą

wiedzę o swojej córce – będzie mogła sprawdzić, gdzie Sara się znajduje, jak się czuje, a nawet zobaczyć to, co widzą jej oczy przekształcone w dwie kamerki. Matczyna troska ponad wszystko.

Igła wbija się w skroń dziewczynki, nie zadając jej najmniejszego bólu, nie pojawia się ani jedna kropla krwi. Jedna chwila i po krzyku – czip jest zainstalowany. Teraz, w przypadku niebezpieczeństwa, wystarczy nacisnąć przycisk i na miejscu w mig zjawią się odpowiednie służby. Jedno kliknięcie i możesz sprawdzić, czy poziom żelaza w krwi twojego dziecka jest wystarczający – gdyby tak nie było, wiesz, że należy wprowadzić suplementację.

Przede wszystkim jednak oprogramowanie umożliwia nałożenie filtra na rzeczywistość, chroniącego dziewczynkę przed wszelkimi agresywnymi bądź niebezpiecznymi bodźcami: widokiem ujadającego psa, treściami pornograficznymi lub krwawą strzelaniną. Tylko kliknij, a Arkangel sprawi, że wszystko to zniknie, nieodpowiednie sceny rozpikselują się przed oczami twojego dziecka, głosy zostaną zniekształcone, niedopuszczalne słowa staną się nierozpoznawalne.

Jest oczywiście kilka małych „ale”.

Dziewczynka już nigdy nie będzie mogła niczego ukryć – tylko dlatego, żeby jej matka mogła spać spokojnie.

Matka nigdy nie zdoła pogodzić się z tym, że któregoś dnia córka stanie się niezależna i samodzielna. Z pełnym prawem do popełniania błędów, po to, by się po prostu mylić lub stawać lepszą wersją samej siebie.

Od tego dnia obie będą żyły w lęku. Świadome, że obserwuje je para niewidzialnych oczu, zamontowanych tuż za ich własnymi oczyma, niestrudzonych i wszechwiedzących, rejestrujących wszystko to, co widzą.

Marie zdecydowała się na instalację oprogramowania z zupełnie odwrotnego powodu. Chciała pokonać lęk, poczuć się pewnie.

Sara nawet o to nie prosiła. A tym bardziej nigdy nie wyraziła swojej zgody, by przekształcić ją w nieustannie podłączony i możliwy do namierzenia obiekt, detektor wszelkich własnych doznań.

Coraz częstsze kłótnie, nadużycia, wreszcie przemoc. I oddalenie. Wraz z rozwojem fabuły tego odcinka *Czarnego lustra*, wyreżyserowanego przez przyzwyczajoną do świateł reflektorów Jodie Foster, coraz dotkliwiej rozumiemy

jego przesłanie: relacja dwóch osób, w której jedna może szpiegować życie drugiej, nie stanowi więzi międzyludzkiej, a związek dwóch niewolników tej samej technologii szpiegowskiej.

Cena, którą przysłoby nam zapłacić za iluzoryczną, bądź co bądź, obietnicę bezpieczeństwa, jest zbyt wysoka.

Szkoda, że nie można cofnąć czasu.

W tamtej chwili decyzja wydawała się przecież jak najbardziej słuszna.

Tamtego dnia Marie tak bardzo się bała, Sara naraziła się na tak wielkie ryzyko.

A o Arkangelo krążyły tak dobre opinie. Zanim go zakazano.

Ile matek, tak jak Marie, zdecydowałyby się na odpowiednie oprogramowanie, gdyby miały taką możliwość? Wiele, możemy się domyślać na podstawie tego, jak liczna grupa decyduje się na wykorzystanie aplikacji i oprogramowania do wirtualnego nadzoru własnych pociech.

Według sondażu^[31], przeprowadzonego w 2016 roku przez Pew Research Center na próbie dorosłych z dziećmi w wieku od 13 do 17 lat, 61% rodziców sprawdza, jakie strony internetowe odwiedzają nastolatki, 48% przegląda listę połączeń i wiadomości na telefonach, a 16% monitoruje każdy krok swojego dziecka, wykorzystując do tego jego własny smartfon.

„Wielkimi krokami zbliżamy się w stronę wersji świata, w której kontrola rodzicielska staje się raczej opcją *opt out* niż *opt in*”^[32] – wyjaśnia Mary Madden, analityczka w Data & Society.

Staje się normą, nie wyjątkiem. Technologie są na wyciągnięcie ręki, dzieli nas od nich jedno kliknięcie – kuszą nas obietnicą wszechwiedzy na temat naszych dzieci. Nie wystarczy już rzucić na odchodne: „Pa, mamó, wychodzę, nie wrócę późno”. Teraz mama, uzbrojona w tablet, za pomocą kilku kliknięć może upewnić się, czy *wszystko jest okej*.

W ten sposób wysiłki, jak utrzymuje analityczka, nie będą koncentrować się wyłącznie na kontrolowaniu, lecz również na próbach wyrwania się spod nieustającej kontroli, rozłożonej równomiernie we wszystkich sferach życia publicznego oraz prywatnego życia naszych dzieci. Tak samo w szkole, jak i w domu, pośród przyjaciół i w samotności.

Pod stałym nadzorem, poddawani nieustannej analizie i ocenie.

To kuszący model, zwłaszcza w ogarniętym paniką społeczeństwie poszukującym stabilności i pewności. Nie dziwi więc, że szturmem podbija sektor szkolnictwa. W myśl tej logiki możemy chronić uczniów przed wszelkimi przykrymi niespodziankami, które świat ma dla nich w zanadrzu. Nie pozwolimy, by rozpraszali się komórkami, oglądali nieprzyzwoite treści, eksperymentowali z doświadczeniami zarezerwowanymi dla dorosłych, bawili się własną tożsamością i narażali na związane z tym niebezpieczeństwa.

To smartfon jest naszym Arkangielem, aniołem stróżem, przedłużeniem naszych oczu. Wie o nas wszystko – sprawia, że coraz łatwiej nas znaleźć i skatalogować, przewidzieć nasz kolejny ruch i go zmodyfikować.

W naszym świecie, w odróżnieniu od rzeczywistości *Czarnego lustra*, fazę testów mamy już za sobą. W Wielkiej Brytanii, jak donosi magazyn „Wired”, ponad tysiąc instytucji zdecydowało się sięgnąć po wsparcie oprogramowania monitorującego aktywność online swoich uczniów. Ta technologia, na którą wydano ponad 2,5 miliona funtów, obecna jest w 72% angielskich liceów i „udostępnia nauczycielom podgląd na ekrany komputerów w całej klasie, pozwala monitorować w czasie rzeczywistym aktywność w sieci, umożliwia dostęp do historii przeglądania, rejestruje ruchy na klawiaturze komputera i zawiadamia kadrę nauczycielską oraz innych pracowników w przypadku próby dostępu do nieodpowiednich treści, również ekstremistycznych”^[33].

W czterdziestu australijskich szkołach powszechnie używa się oprogramowania, które nie tylko daje podgląd na telefony komórkowe uczniów, lecz również może zdalnie wyłączyć ich kamerki.

W Nowym Jorku kamery monitoringu znajdujące się na terenie uniwersyteckich kampusów, już teraz popularne, niedługo staną się standardowym wyposażeniem każdej uczelni, a: „zdalne systemy nadzoru poprzez inteligentne kamery są dopiero w początkowej fazie rozwoju” – ryzykuje twierdzenie producent Peace of Mind Technology.

W Chinach, jak już wspomnieliśmy, znajdują się na rzeczy – to właśnie tam jedyna słusznie rządząca partia zdecydowała się od razu na instalację w szkołach systemów rozpoznawania twarzy. Kamery odczytują stan ducha i emocje uczniów, co pozwala kadrze pedagogicznej odpowiednio zareagować w przypadku braku należytej uwagi. Dekoncentracja to luksus, na który wychowankowie nie mogą

sobie pozwolić, od kiedy jak twierdzi jeden z nich, czują, że nieustannie patrzy na nich „para tajemniczych oczu”.

W społeczeństwie ciągłego nadzoru nie ma miejsca na brak wydajności. Na błędy.

A jednak perspektywa instytucji szkolnych przekształconych we współczesny panoptikon kryje o wiele więcej. Ich podopieczni nie mają innego wyjścia poza autoindoktrynacją i autocenzurą ze strachu, że ktoś może ich szpiegować, choćby nawet fizycznie nie było nikogo, kto mógłby to zrobić.

Na uwagę zasługuje również stosunek rodziców do dzieci, żywcem wyjęty z realiów *Czarnego lustra*. To obszar, w którym żargon i obietnice producentów najpopularniejszych aplikacji niebezpiecznie przypominają przekaz firmy odpowiedzialnej za wynalezienie Arkangela.

Proponują identyczne hasła reklamowe. „By widzieć wszystko. Zawsze” – głosi motto Qustodio, apki obiecującej „kontrolę nad aktywnością dziecka w czasie rzeczywistym”. „Byś zawsze wiedział, co się dzieje” – reklamuje się Spyzie i chwilę później dorzuca jedno z najczęściej stosowanych wyrażen w marketingu systemów nadzoru, Świętego Graala zdalnej kontroli rodzicielskiej, to, co Anglicy określają jako *peace of mind*, czyli nasz „święty spokój”. „Miej święty spokój i pełny obraz sytuacji” – ogłasza się firma w chwytliwym hasle promującym swój produkt, które mogłoby stanowić pierwsze przykazanie współczesności.

Nie musisz się dłużej bać, oto przed tobą gadżet, który pozwoli ci przestać myśleć.

To urządzenia i programy, które można zainstalować po kryjomu, o których śledzony nie będzie miał bladego pojęcia. Usługi w rodzaju SpyBubble, od dnia debiutu na rynku, reklamują się jako „100% UNDETECTABLE” – stuprocentowo niewykrywalne.

Uwaga, mowa tu o skrajnie inwazyjnych produktach. Pośród najczęściej spotykanych na rynku narzędzi kontroli odnajdziemy te służące do śledzenia położenia w czasie rzeczywistym za pomocą GPS-u lub wi-fi, sprawdzania listy połączeń, wysłanych i odebranych wiadomości, a nawet tych usuniętych, historii przeglądarki i wyszukiwań w sieci, wiadomości głosowych, zdjęć i nagrań zapisanych w pamięci telefonu, rozmów na WhatsAppie, Messengerze i każdym innym komunikatorze, oferujące możliwość wysłania powiadomienia w przypadku

ewentualnej zmiany karty SIM, czy też nawet pozwalające na zdalną ingerencję w ustawienia smartfona: od dostępu do Internetu, poprzez uruchomienie blokady nałożonej na nieodpowiednie i niepożądane strony, aż po wyłączenie kamerki w telefonie czy ograniczenie jego użytkowania do konkretnego przedziału czasowego. TraxFamily pozwala nawet na ustawienie limitu prędkości w samochodzie syna pędzącego zuchwale po swoją dziewczynę – w momencie jego przekroczenia rodzice otrzymują powiadomienie.

Mamy tu do czynienia z niczym innym, jak z całkowitą kontrolą życia dzieci.

Wystarczy nacisnąć przycisk, jak ten widniejący u dołu strony mSpy: „ZACZNIJ KONTROLOWAĆ TERAZ”.

Dla milionów rodziców, tak jak i dla Marie, kliknięcie jest lepszym rozwiązaniem od straszliwego widma wielkiej niewiadomej.

To proces, który warunkuje również inne dziedziny życia naszego społeczeństwa. Z postępującego przyzwyczajenia uznajemy stałą kontrolę wszystkich nad wszystkimi za normalność. Jesteśmy nawet gotowi pozwolić, by małymi kroczkami, niepozornie, stała się częścią więzi pomiędzy rodzicami a dziećmi, relacji w związku, a nawet w miejscu pracy.

SpyBubble, tak jak niezliczone inne firmy, nie przebiera w słowach. Na ich stronach znajdziemy slogany krzyczące: „nowa generacja oprogramowania szpiegowskiego na telefon”, która „pomoże ci kontrolować małżonka, dziecko, pracownika itd.”. A w związku z tym, że *nowa generacja* to niezmiennie wyrażenie z wysokiej półki marketingu, nie ma najmniejszych wątpliwości, że obsesja kontroli to nasze tu i teraz. Własnej wyobraźni możemy pozostawić granicę, na której zatrzymuje się to lakoniczne i niepokojące *itd.*

Jak pisze magazyn „Motherboard”: „Nadzór zaczyna się już w domu”^[34]. Rozciąga się na łóżko, miejsce pracy, każde mieszkanie i każdy zakup w supermarkecie.

Ze wszystkimi właściwymi sobie nadużyciami. Pewnie dlatego, że trudno odmówić słuszności stwierdzeniu zaczerpniętemu z materiału reklamowego Easy Loggera: „Masz prawo wiedzieć, czy ktoś właśnie cię zdradza. Masz prawo chronić swoje zdrowie psychiczne i seksualne. Często pary wspólnie decydują o zainstalowaniu Easy Loggera w swoich telefonach, by chronić swój związek przed wszelkimi *podejrzeniami*”. Po to, by „w każdej chwili wiedzieć, gdzie

znajduje się twój małżonek, i cieszyć się wygodą. Dzięki zainstalowaniu Easy Loggera na waszych telefonach żadna kłótnia nie będzie już potrzebna”.

Przyjmując nawet, że to możliwy scenariusz, i tak znajdzie się ogromna grupa osób, które postanowią śledzić swoich partnerów z ukrycia, łamiąc podstawowe zasady prywatności i zdradzając ich zaufanie.

Albo, co gorsza – zdradzając samą koncepcję zaufania do bliskiej nam osoby. To zaś najbardziej dotkliwa i zarazem realna szkoda, jaką może wyrządzić ten, kto bezgranicznie ufa tego rodzaju technologii. „Przekaz jest prosty. Nie należy ufać niczemu ani nikomu” – podsumowywało już w 2013 roku badanie przeprowadzone przez dwutygodnik „The New Republic”^[35].

Co oznacza, że nikt i nic nie wzbudza zaufania.

Bo, w przeciwnym razie, po co potrzebny byłby nadzór?

Konsekwencje są nad wyraz poważne, zwłaszcza w przypadku nastolatków i rozwoju ich osobowości, poczucia odpowiedzialności za samych siebie i za swoje czyny.

Pozbawiając nasze dzieci możliwości popełnienia błędu, ograniczamy je w każdym aspekcie życia.

„Kiedy dziecko uzyskuje zaufanie drugiej osoby – pisze „The Conversation” – nabiera tym samym wiary we własne siły. Dzieciom, którym dana została możliwość otrzymania pogłębiającego się zaufania, łatwiej przychodzi znalezienie własnego sposobu rozwiązywania problemów, choćby oznaczało to, że od czasu do czasu skazane są na popełnianie błędów”^[36].

Nadzorowane dzieci epoki cyfrowej nie mogą się mylić. Nigdy. Muszą być idealne, by ani razu nie oblać sprawdzianu, któremu nieustannie poddaje je nieznający spoczynku aparat kontroli. Tak samo wygląda to w przypadku partnerów. Nieprzypadkowo w Stanach Zjednoczonych w ponad 80% przypadków rozwodów strony powołują się na sieci społecznościowe wymagające korzystania z telefonu lub komputera – dokładnie te same, do których odnoszą się nadzorujące apki.

A zresztą, jeśli śledzony miałby się nigdy nie dowiedzieć, że go podglądamy, dlaczego nie spróbować?

Twórcy Easy Logger w tej kwestii wypowiadają się dość cynicznie: „związek jest już praktycznie skazany na porażkę w chwili, gdy małżonek po kryjomu usiłuje

zaglądać do telefonu swojej drugiej połówki”^[37].

Gdyby okazało się, że wasze obawy są całkowicie nieuzasadnione, zawsze można przecież udawać, że nic takiego nie miało miejsca.

Najważniejsze, by nieustannie weryfikować swoje podejrzenia. Brać poważnie pod uwagę każde z nich.

W końcu – na szczęście – jest aplikacja, która pozwoli nam je rozwiązać.

Prawdą jest, że nadzór towarzyszy nam jak cień. To nienamagalna obecność definiująca nasz byt, bez której nie potrafimy już żyć. Od jakiegoś czasu podglądają nas miasta, domy, ulice, przedmioty... Wytwory *miast w technologii smart* i „Internetu rzeczy” – gdyby koncepcja postępu autorstwa naukowców z Doliny Krzemowej miała ostatecznie wejść w życie, nie będzie przed nimi już żadnej drogi ucieczki.

Każdy nasz ruch zostanie odpowiednio zarejestrowany: o spacerze pomyśli nasz smartfon, przejażdżkę samochodem uwiecznią czujniki w pamięci samojezdnego auta. W domu *smart* lodówka skrupulatnie zanotuje nasze nawyki żywieniowe, system inteligentnej automatyki domowej odnotuje zużycie energetyczne, a centralny komputer zapamięta, ile czasu spędzamy w łazience, ile w sypialni, kiedy lubimy słuchać muzyki, a kiedy gotować. Oraz co.

Inteligentna telewizja będzie nas słuchać, asystenci głosowi będą reagować na nasze polecenia i życzenia, a następnie wykorzystywać zebrane informacje, by wetknąć odpowiednio spersonalizowane reklamy pomiędzy programy kulinarne i wieczorne wiadomości. Drony zapewnią nam monitoring z góry, inteligentne chodniki z dołu. A systemy CCTV ulepszone o technologię rozpoznawania twarzy zmienią nasze życie w film, w którym na miejscu reżysera zasiądą algorytmy zdolne przewidzieć prawdopodobieństwo, z jakim nasze zachowanie może skończyć się popełnieniem przestępstwa, oraz zdecydować, czy zawiadomić odpowiednie służby porządkowe, aby skutecznie temu zapobiec.

To przerażająca perspektywa, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że w wielu miejscach na świecie nasze przypuszczenia powoli stają się rzeczywistością.

Jasne, przemyślane umieszczanie sztucznej inteligencji wewnątrz czego-się-da mogłoby w efekcie zwiększyć wydajność zarządzania społecznego, usprawnić zbieranie i segregację odpadów, zoptymalizować zużycie energii i zmniejszyć ruch

uliczny, a tym samym zanieczyszczenie – w ten sposób lepiej poznalibyśmy prawdziwe problemy, z jakimi borykają się mieszkańcy poszczególnych dzielnic, i moglibyśmy odpowiednio wcześniej podejmować właściwe działania.

Musimy jednak uświadomić sobie, że słono za to zapłacimy. Tak zwane *smart cities*, jak twierdzi Matt Mitchell, aktywista walczący o prawo do prywatności, to w rzeczywistości miasta nadzoru, które lwią część pytań pozostawiają bez odpowiedzi. „Ile są warte te dane? Na co przeznaczane są zyski płynące z ich sprzedaży i kto na tym korzysta? W jaki sposób tymi danymi posługują się służby porządkowe? Dopóki nie uzyskamy odpowiedzi na te pytania, inteligentne miasta nie będą niczym więcej, jak tylko inteligentnym sposobem na wykorzystywanie swoich obywateli” – powiedział podczas Personal Democracy Forum 2018.

Dzieje się tak dzięki możliwości, którą otworzyły przed nami współczesne technologie – one właśnie potrafią przekształcić wszystko w dokument, dowód, świadectwo. Geoff Manaugh na łamach „The Atlantic” porównał zjawisko, które stało się możliwe dzięki *smart cities*, do *Ulissesa Joyce’a*, który poprzez narrację uwzględniającą każdy najdrobniejszy detal z codzienności głównego bohatera, Leopolda Blooma, usiłował stworzyć coś w rodzaju literackiego hologramu Dublina. „Chciałbym pokazać tak kompletny portret miasta, że gdyby miało ono zniknąć z powierzchni Ziemi, można byłoby odtworzyć je na podstawie mojej książki”^[38] – przyznawał pisarz.

„Model totalny metropolii, a zarazem nieskończone archiwum wszystkiego tego, co dzieje się w jej wnętrzu”^[39] – podsumowuje Manaugh. Archiwum, do którego w każdej chwili można zajrzeć, wykorzystać znajdujące się w nim dane, by dzięki nim osądzać, dyscyplinować, karać, niekoniecznie tylko po to, by optymalizować miejskie współżycie. Jeszcze dziś bądź w dowolnym momencie w przyszłości, z dowolnego powodu.

Porzekadło, według którego: *jeśli nie masz nic do ukrycia, to nie masz czego się bać*, staje się więc koniecznością, naturalnym aksjomatem – nie będziemy już mogli mieć niczego do ukrycia. Każdy aspekt naszego życia będzie musiał rozgrywać się tak, jakby ktoś z zewnątrz oceniał nasze poczynania, przeliczał je i wykorzystywał w celu wyciągnięcia na nasz temat wniosków, które pewnego dnia mogłyby nam przeszkodzić w otrzymaniu pracy marzeń lub pożyczki. Niekończący się nadzór równa się niekończącej się i niewidzialnej dyskryminacji, a niekwestionowane imperium algorytmów kalkuluje wszystko to, czego miliardy

otaczających nas teraz i w przyszłości czujników zdołały się o nas dowiedzieć, by ustalić, jakimi przyjdzie nam się cieszyć prawami i obowiązkami.

To widmo, które towarzyszy każdej historii opowiedzianej w *Czarnym lustrze* – wstępne założenie, na którym opierają się rozmaite dystopijne scenariusze. Jednocześnie zaś jest to widmo krążące nad naszym społeczeństwem już dziś. Jeśli dodamy do siebie funkcje śledzenia naszego położenia poprzez takich gigantów jak Google czy Facebook, dorzucimy do tego przenośne urządzenia typu Apple Watch, FitBit, smartfony, przedmioty żądające dostępu do Internetu oraz inteligentne miasta i jeśli dopuścimy do siebie myśl, że wszystkimi tymi danymi mogą dowolnie dysponować rządy o represyjnych intencjach oraz agencje wywiadu, to zrozumiemy, że autorytarne trendy, tak interesujące obecnie dla Zachodu i nie tylko, zasługują na coś więcej niż nasze wzruszenie ramion – mieszanek cynizmu i fatalizmu, który stał się dla nas codziennością. Jakbyśmy mieli do czynienia z nieuniknionym efektem ubocznym postępu technologicznego i naturalnym etapem dziejów ludzkości, a nie skutkiem dokładnie przemyślanych wyborów i przeoczeń oraz modeli biznesowych nowych monopolistów na rynku danych, zrećnie omijających normy, do których powinni się dostosowywać.

Edward Snowden, były podwykonawca amerykańskiej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, który w 2013 roku na łamach prasy wyjawiał, jak rozległe i inwazyjne były programy masowego cyfrowego nadzoru sterowane przez służby wywiadu, precyzyjnie streścił, dokąd zaprowadzi nas świat, w którym kontrolujący ani przez chwilę nie spuszczają nas z oka, a kontrolowani nawet szczególnie się tym nie przejmują: „Twierdzenie, że ochrona prywatności nieszczególnie cię interesuje, bo nie masz nic do ukrycia, jest równoznaczne z mówieniem, że nie interesuje cię wolność wypowiedzi, bo nie masz nic do powiedzenia” – zadeklarował kilkakrotnie.

Nie jest to kwestia dotycząca osobistych przekonań – ma ona wymiar społeczny i polityczny. Dobrowolnie rezygnując, w imię bezpieczeństwa, z podstawowych praw, takich jak poufność kanałów komunikacji czy wolność słowa, wystawiamy rachunek, który będzie musiała zapłacić demokracja. Czyli my wszyscy.

Choć wielu ignoruje jej sygnały alarmowe, zdołały one przynajmniej sprowokować nas do dyskusji – złożonej i wieloaspektowej – nie tylko nad tym, jak ująć w prawne karby cyfrowy nadzór, tak by jak najlepiej chronić prawa obywateli, lecz także, przede wszystkim, w jaki sposób kształtują się indywidualne,

społeczne i kulturowe konsekwencje obojętnej akceptacji form kontroli, o której totalitarne państwa z ubiegłego stulecia mogły tylko pomarzyć.

Czy mamy do czynienia z podsycaniem obaw matki ogarniętej obsesją na punkcie bezpieczeństwa swojego dziecka, czy z tworzeniem propagandowych komunikatów zaspokajających każdą, choćby najbardziej błahą potrzebę obywatela, czy też ze skanowaniem wszystkich maili i wiadomości, którymi wymieniamy się w sieci, by udaremnić kolejny zamach terrorystyczny lub zmodyfikować dane na temat zdrowia obywatelskiego w ustawach dotyczących opieki zdrowotnej – zagrożenie pozostaje wciąż takie samo: u sterów znajdują się zarządcy danych, działający zgodnie z logiką prywatnych zysków, a nie instytucje, postępujące według logiki dobra ogółu.

Dane, tym samym, niegdyś potężni sprzymierzeńcy publicznych decydentów, nie zamierzają już dłużej dzielić się władzą. Ich tyrania wzbudza dreszcz strachu. W próżnym oczekiwaniu na to, że iluzja bezpieczeństwa oferowana przez nieustanny nadzór nad wszystkim i wszystkimi zmieni się w prawdziwe bezpieczeństwo, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wznieść mury i barykady, zamknąć usta, mówić i robić to, co należy, naśladować zachowanie posłusznych tłumów.

W nadziei na to, że pewnego dnia, jakimś cudem, to cyfrowe więzienie nas wyzwoli.

VIII

PODŁĄCZENI I OCALENI

Technologia marzy tylko o jednym – o tym, by zniknąć. Nie po to, by zostawić nas samych sobie, lecz po to, by przejąć nad nami ostateczną kontrolę. Nie po to, by odłączyć nas od sieci, lecz by stać się niewidzialną w naszych oczach, pozbawić nas świadomości, że ani przez chwilę nie przestajemy być w trybie *on*, że nieustannie jesteśmy w niej dostępni.

Żeby tego dokonać, musi być wszędzie, a zarazem nigdzie. Pomagać nam przy każdej okazji w taki sposób, by ograniczyć do minimum nasz wysiłek i czas oczekiwania. Prosta, natychmiastowa, intuicyjna – dyskretnie nas ochroni, nie dając o sobie znać. Niczym anioł stróż, jej tajemnicza i nienamagalna obecność stanie się ostateczną instancją naszego dobrobytu.

W nie tak znowu odległych czasach komputer zajmował całe pomieszczenie, jeszcze niedawno, żeby go zmieścić, potrzebowaliśmy biurka. Dzisiaj wystarczy szkło kontaktowe. Kiedyś, żeby posłuchać muzyki na spacerze lub w podróży, konieczne były nieporęczne odtwarzacze nośników – przerabialiśmy kasety i płyty CD; teraz możemy mieć przy sobie tysiące utworów, zapisanych cyfrowo na naszym smartfonie.

Nie tak dawno połączenie się z Internetem stanowiło przedsięwzięcie wymagające sporego nakładu pracy i ogromu cierpliwości, nieporównywalne z kliknięciem w ikonę wi-fi. Towarzyszyło mu brzęczenie linii telefonicznej kontaktującej się z dostawcą usługi – niczym w rytuale inicjacji, otwierały się przed nami wrota do tajemniczego i w dużej mierze ezoterycznego świata, dostępnego nielicznym wybranym, dzikiego i nieszczególnie gościnnego. Dzisiaj wystarczy jedno kliknięcie i łączymy się w ciszy – nie ma potrzeby majstrowania przy kablach sieciowych ani czytania niezrozumiałych instrukcji pełnych równie niezrozumiałych kodów i cyfr, które należałoby wpisać w odpowiednim miejscu. Istnieje wyłącznie niematerialny ogrom *cloudu*, bezkresny zbiór naszych danych zgromadzonych przez bóg wie kogo, w bóg wie jakim miejscu i celu. Jego oficjalne oblicze jest nam doskonale znane, bliskie i cenne – to nasz news feed na

Facebooku, strona startowa z paskiem wyszukiwarki Google lub Amazon, miejsca, w których czujemy się co najmniej jak w domu, o ile nie swobodniej.

Sieć stała się oficjalną siedzibą zbiorowego światopoglądu, miejscem, w którym ludzkość łączy się w grupy i dzieli, czymś naturalnym, czymś, co istnieje i co możemy brać za pewnik. Pozwalamy, by przenikała nas na wskroś i stanowiła część nas w każdej możliwej chwili. Dlatego też musi być dyskretna: ciągle obcowanie z narzucającym się, przesadnie gadatliwym partnerem, domagającym się bez przerwy naszej uwagi i nieustannie zgłaszającym rozmaite problemy, utrudniłoby lub praktycznie uniemożliwiło naszą koegzystencję.

Tak właśnie prezentuje się rzeczywistość internetowych technologii, kiedy przejrzymy na oczy, kiedy przestaniemy żyć mrzonką. Zapomnijmy o niewidzialności: sieć, media społecznościowe i wszystkie konsekwencje, które za sobą pociągają, są aż nazbyt widoczne w naszym codziennym życiu.

Potrzeba dowodów? Osiem na dziesięć osób sprawdza swój smartfon w pierwszej kolejności po przebudzeniu. Jedna na dwie przyznaje, że zdarza się jej na niego zerkać również w nocy, jeśli wybudzi się ze snu. Przez ostatnich dziesięć minut trzydzieści pięć osób na sto weszło na Facebooka.

Według Dscout^[40] dotykamy swojego smartfona średnio 2617 razy dziennie, a 10% najbardziej maniakałnych użytkowników podwaja ten wynik. Jedna czwarta Amerykanów przyznaje otwarcie, że „prawie zawsze” jest online, a liczba ta wzrasta do 45% wśród nastolatków, trafnie określanych jako *screenagers* – dzieci ekranów. Jeszcze trzy lata temu było ich o połowę mniej.

I nie, nie zawsze epatują szczęściem.

Zamiast odwälcać swoją brudną robotę w ciszy, technologie są aż nazbyt wygadane. Wielu z nas zaczyna tracić chęci, by ciągle nasłuchiwać, co mają do powiedzenia. W Wielkiej Brytanii sześciu na dziesięciu użytkowników twierdzi, że „nienawidzi” tego, ile czasu spędza na telefonie. Łącznie 15,5 miliona osób, według badań Deloitte’a^[41], wyznaje, że poświęca smartfonowi zbyt dużo czasu – jednak odsetek skruszonych użytkowników wzrasta z 38 do 56%, jeśli weźmiemy pod uwagę nie całą populację, a młodych w wieku 16-24 lat.

Długo można byłoby wymieniać następstwa zanurzenia w cyfrowym świecie, widoczne w relacjach pomiędzy rodzicami a dziećmi, partnerami w związku czy między znajomymi. Niejedna osoba próbowała się ograniczać, niewielu zdołało

tego dokonać. Badanie Deloitte'a podaje, że dotyczy to trzech Brytyjczyków na dziesięciu.

Jesteśmy coraz bardziej zmęczeni ciągłym dostępem i ciągłą dostępnością, ale nie potrafimy się bez tego obyć. Niczym narkomani, do których zaczyna docierać, że kolejna działka nie powoduje już bezwarunkowej przyjemności pierwszych razów ani mglistej satysfakcji tych ostatnich – czujemy potrzebę i pragnienie zaprzestania lub przynajmniej znaczącego zmniejszenia dawki.

To jednak wcale nie takie proste. Choć bycie online przychodzi nam bez wysiłku, jest natychmiastowe i, przede wszystkim, naturalne, odłączenie się w istocie zdaje się tytanicznym przedsięwzięciem, wymagającym czasu, trudu i rozmaitych forteli.

Nikt nas nie ostrzegał, kiedy tworzyliśmy swój pierwszy profil na Facebooku czy Twitterze, dzisiaj jednak ludzkość dzieli się na dwie grupy osób: tych podłączonych i tych ocalonych. Tych, którzy dają ponieść się bezustannie płynącej fali informacji w sieci, i tych, którzy w jakiś sposób zdołali się jej oprzeć.

Oczywiście, to wcale nie tak miało wyglądać. Internet niósł w sobie wręcz odwrotną obietnicę – nasza egzystencja online miała być synonimem ocalenia, nie jego przeciwieństwem. Utopia Doliny Krzemowej i jej kolosalnych tworców, od Facebooka po Google'a i Amazona, zakładała ulepszony model człowieka, przewidywała wygodniejsze i wydajniejsze życie, udoskonalone relacje międzyludzkie, efektywniejszą demokrację oraz gospodarkę zaprojektowaną według egalitarystycznych parametrów, w której każdy, uzbrojony wyłącznie we własne poglądy, mógłby na równi konkurować z każdą inną osobą na całym świecie.

Byliśmy o jedno kliknięcie od raj, dopóki w końcu nie przekroczyliśmy progu i nie zorientowaliśmy się, że tuż za nim czeka na nas zgiełk głosów, wrzasków, klaksonów, wzajemnych kuksańców, morze ludzi utrudniające obranie właściwej ścieżki i sprawiające, że błogostan to cel znajdujący się na wyciągnięcie ręki i równocześnie zupełnie nieosiągalny.

To oni, władcy naszej cyfrowej egzystencji, doskonale pojęli ten paradoks. Do tego stopnia, że postanowili uczynić go nie tylko nieodłączną strategią marketingową, ale i esencją misji przedsiębiorstw. Z jednej strony usiłują sprzedać nam swoją koncepcję cyfrowej teodycei, zgodnie z którą najlepszy z możliwych światów to

ten, w którym wszystko jest nieustannie dostępne w sieci, a każda jednostka stanowi jej niezbywalne oczko – dzięki temu może zwiększyć swoją inteligencję, stopień uczestnictwa, wydajność i dobrobyt; z drugiej natomiast proszą nas o zachowanie cierpliwości i oczekiwanie na moment, w którym ich technologie osiągną odpowiedni etap zaawansowania, tak by nie nękać nas dłużej swoją inwazyjnością, natłokiem wyskakujących notyfikacji. To zrozumiałe w czasach, gdy jesteśmy coraz bardziej online.

Z jednej strony rozwijają oprogramowanie wymyślane po to, by wykorzystywać nasze psychologiczne słabostki, pobudzać ośrodki przyjemności odpowiedzialne również za uzależnienia, uruchamiać przypływ dopaminy za każdym razem, gdy przychodzi nowe powiadomienie (zaznaczone na czerwono, oczywiście, żebyśmy natychmiast je dostrzegli); z drugiej zaś – obiecują rychły analogiczny odwyk, by przywrócić równowagę naszemu postawionemu na głowie istnieniu, któremu życie offline zdaje się jedynie załącznikiem do rzeczywistości online.

Jasne, zdaje się, że to nic więcej, jak tylko wytarty frazes: już dziś wasze zdolności poznawcze, wasza uwaga, pamięć, umiejętność koncentracji zdają się tonąć pośród fal Big Data nieustannie rozbijających się u brzegu każdego użytkownika. Zanim się obejrzyjecie, będziecie na otwartym morzu i nawet się nie zorientujecie, jak głęboko w nim tkwicie, bo cyfrowe wody będą doskonale transparentne. My zaś pewnie do tego czasu zdołamy wykształcić skrzela, by bez trudu w nich oddychać.

Poza nawiasem metafory: jeśli media społecznościowe dziś wydają wam się uciążliwe i męczące, to tylko dlatego, że nie są dość dobrze rozwinięte. Kiedy już będą, wówczas technologie komunikacji staną się niewidzialne, niedostrzegalne. Znikną z waszego życia, choć będą nim kierować bez chwili spoczynku. Oczywiście wyłącznie dla waszego dobra.

Przyzwyczajmy się do ciągłej obecności wirtualnego asystenta, do którego będzie można zwrócić się z każdym pytaniem i każdą prośbą – w języku, w którym porozumiewacie się z przyjaciółmi i kolegami z pracy, nie w języku komputerowym. Będzie wykonywał nasze polecenia kompetentnie i coraz sprawniej. Aż wreszcie, dzięki umiejętności uczenia się i coraz większej poufałości, nie minie zbyt wiele czasu, a stanie się tak inteligentny, że zdoła zaspokoić nasze pragnienia, zanim jeszcze zdążymy je wyrazić.

Samopiszące się maile? Przydatne informacje pomagające szybciej przebyć zatłoczoną trasę do domu, pojawiające się w polu widzenia tylko wtedy, kiedy jest to konieczne? To oprogramowanie ustali, które z naszych zobowiązań jest absolutnie nieprzekładalne, a które może poczekać, i przypomni nam wyłącznie o tych pierwszych.

Dlaczego to ty miałbyś to robić? „Pozwól Google’owi się tym zająć” – podsumowuje slogan reklamowy, który niedawno wymyślił kolos z Mountain View, nieświadomie nawiązując do pytania Homera Simpsona ze słynnego odcinka, gdy bohater niespodziewanie zostaje rządowym pełnomocnikiem do spraw higieny: „Czy ktoś inny nie mógłby się tym zająć?”.

W gruncie rzeczy tak właśnie wygląda „zasadnicza zmiana koncepcji”, obwieszczona na łamach „Guardiana” w 2017 roku^[42] i zapowiedziana przez CEO Google’a, Sundara Pichaia: z firmy stawiającej na pierwszym miejscu urządzenia mobilne (*mobile first*) kolos miałby się przekształcić w przedsiębiorstwo *AI first* – proponujące rozwiązania możliwe dzięki sztucznej inteligencji. Jeśli ta ostatnia rzeczywiście jest inteligentna, a coraz więcej o tym świadczy, „interakcje staną się ciągłe i naturalne”. Będziemy mogli mówić do komputerów, nie zwracając sobie głowy klawiaturami i wystukiwaniem kolejnych liter. Maszyny będą miały nasze oczy, będą oglądać świat razem z nami, zawsze i wszędzie. A ponieważ coraz bardziej będą przypominać konstrukcję ludzkich umysłów, wyręczą nas w jego rozumieniu.

To one staną się „kimś innym”.

Wewnątrz mózgu czy w spojrzeniu, na ciele czy na ścianie, w kokpicie naszego samochodu czy na mostku kapitańskim – nie ma to znaczenia. Liczy się tylko, by to, co pozwala nam być podłączonym do najnowszej technologii, zniknęło, rozmyło się w nieokreślonej przestrzeni, stało się niewidzialne.

Wszędzie, bo przecież nigdzie.

Co robić, dopóki utopia jest w fazie tworzenia? Jak przetrwać zmasowany atak czasu rzeczywistego, zapierający nam dech w piersiach i mącący nam w oczach?

Tu znów z odsieczą przybywają naukowcy z Doliny Krzemowej, zapewniający: musicie nam zaufać. Korzystajcie z naszych wynalazków tak, żeby *jak najmniej* ich używać.

To najprawdziwszy przekaz z 2018 roku – według niektórych o porównywalnym znaczeniu, jak publiczna debata na temat fake newsów, dezinformacji w Internecie po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta. Nagle i niespodziewanie giganci branży internetowej zapragnęli, żebyśmy byli (troszeczkę) mniej podłączeni i bardziej odpowiedzialnie korzystali z ich produktów i usług. Nagle, po dziesięcioleciach propagandy i wspierania wszechobecności, wydają się szczerze zainteresowani zapewnieniem nam dostępu do narzędzi ułatwiających wirtualny niebyt.

Robią, co w ich mocy, rzecz jasna: biorą się za branding, próbę zachowania spójności marki, choćby opinia publiczna i polityczna nabierały coraz większego przekonania, że zbyt długo udawali, że w swoim przepisie na utopię zapomnieli o ocenie przeciwwskazań.

Z drugiej strony nie powinien dziwić wciąż unoszący się nad Doliną Krzemową duch filantropii, którym była przesiąknięta od samych swoich początków naznaczonych spotkaniem pomiędzy hippisowską kontrkulturą a filozofią libertariańską. W myśl zasad obu ideologii zysk pozostaje drugorzędny w stosunku do szerokiej odpowiedzialności społecznej przedsiębiorstw wobec zbiorowości. Ludzkość to przecież nic więcej niż pojedyncze ogniwa jednej wielkiej sieci – naturalna jest troska o tych najsłabszych. Od nich wszak zależy dobro ogółu. Dlatego Google powstały w imię moralnego nakazu, którym obiecują się kierować: *do no evil* – nie czynić zła. Dlatego też Zuckerberg wraz z żoną, Priscillą Chan, przekazują miliardy dolarów na badania medyczne, by „wyleczyć, zapobiegać, zarządzać” wszystkimi chorobami w ciągu jednego pokolenia, zaś Bill Gates, założyciel Microsoftu, jest prawdziwą instytucją w świecie globalnej filantropii. Cyfrowy świat widzi w nas jedno, wspólne ciało – które musi być zdrowe.

Tę myśl zapoczątkował Mark Zuckerberg, kiedy w styczniu (2018 roku – przyp. red.) ujawnił, że jeden z głównych celów jego sieci społecznościowej na bieżący rok to: „upewnić się, że czas spędzony na Facebooku jest *dobrze spędzonym czasem*”^[43]. Retoryka brzmi ładząco podobnie do tej, którą przyswoiły sobie następnie Google i Apple. Już nie wystarczy przekonać każdego obywatela świata, że nie korzystając z ich usług, wypadnie poza nawias społeczny. Teraz należy zająć się jego „dobrym samopoczuciem online”, „zdrowiem” internetowego ekosystemu i jego mieszkańców. Interakcje, mówi Zuckerberg, nie mogą być zwyczajnie

„zabawne”, ale „pełne znaczenia”, pozytywnie nastrajające i motywujące do osiągnięcia celów oraz stanu równowagi ducha.

„Wielka technologia powinna ulepszyć nasze życie, a nie odwracać od niego naszą uwagę” – wyznaje Google, obwieszczając w maju 2017 roku całą serię opcji i narzędzi umożliwiających każdemu użytkownikowi wgląd w to, ile czasu spędza na poszczególnych aplikacjach, oraz, w konsekwencji, pozwalających na ustawienie limitów czasu korzystania z nich, ograniczenie liczby powiadomień w konkretnych porach dnia i przypomnienia o konieczności zrobienia sobie przerwy.

Choćby w świecie *always on* niełatwo było się rozłączyć, to nawet sam Google przypomina nam, jak bardzo jest to dla nas ważne. Przynajmniej od czasu do czasu. Pichai mówi: „Istnieje rosnąca presja społeczna, by na wszelkie wiadomości odpowiadać natychmiastowo. Ludziom zdarza się odczuwać niepokój na myśl, że w trybie offline mogą nie dotrzeć do nich aktualności z zewnątrz. Cierpią na *FOMO: Fear Of Missing Out*”^[44]. To obawa, że coś nas ominie, strach szepczący nam do ucha, że kluczem do sukcesu i szczęścia jest właśnie ten jeden, jedyny *scroll*, którego właśnie nie możemy zrobić. To uczucie, które Google pragnie odwrócić i w tym celu tworzy nowy termin: *JOMO*, czyli *Joy Of Missing Out* – radość wyłączenia się, szczęście płynące z poczucia, że coś nas ominęło, że choć raz mogliśmy nie być niezastąpieni, odłączeni od zmiennych humorów świata.

Apple idzie tą samą drogą – w wersji systemu operacyjnego iOS 12 i nowszych udostępnia w swoich telefonach analogiczną funkcję Screen Time, pozwalającą użytkownikom w prosty sposób sprawdzić czas spędzony przed ekranem urządzenia. Technologia jest zbyt kusząca, to syreni śpiew, któremu nie potrafimy się oprzeć. O ile nie powstałaby nowa technologia, zdolna skutecznie zatkać nam uszy.

„Apki pozwalają nam robić tak wiele niesamowitych rzeczy, że czasem nie zdajemy sobie sprawy, ile spędzamy na nich czasu” – czytamy na stronie firmy o wartości kapitału w wysokości trylionów dolarów. Proszę – przed nami Siri sugerująca, tym razem na głos, w jaki sposób z jak najmniejszym wysiłkiem uporać się z natłokiem powiadomień i alertów. A kiedy już uda jej się zrozumieć, na jakich zasadach funkcjonujemy na co dzień, podpowie nam, jak zaoszczędzić czas: „Prosty przykład – najczęściej robisz sobie przerwę, żeby zamówić coś do jedzenia

do pracy. Siri to odnotowuje, a kiedy nadejdzie właściwa chwila, przypomni ci o tym na ekranie”^[45].

To świat strachu przed wieczną terażniejszością i wiecznej potrzeby ucieczki przed nieprzewidywalnym w abstrakcję i tajemnicę; świat niepohamowanego gwaru, zgiełku i tempa; twitterowych kłótni liderów politycznych i finansjery ubijającej interesy i finalizującej transakcję z algorytmiczną prędkością, przy jednoczesnej potrzebie powolności i powrotu do natury. To świat, w którym nawet medytacja i samodoskonalenie wymagają sięgnięcia po kolejne aplikacje. Od Calm, aplikacji roku 2017 według rankingu Apple’a, po Headspace, 10% Happier, Simple Habit i Breath – mowa jest o rynku, który na przestrzeni dwunastu miesięcy wzrósł o 170% i wykazuje obroty rzędu 27 milionów dolarów.

Im bardziej jesteśmy podłączeni, tym większego znaczenia nabierają rozmaite formy przejścia w tryb offline. Mnożą się koncepcje *Days of Unplugging* – całych dni, w których odcinamy się od wszelkich macek wirtualnego świata. Jak grzyby po deszczu pojawiają się ośrodki gotowe ugościć chętnych na cyfrowy detoks pozwalający odpocząć nam od sieci, gier komputerowych i mediów społecznościowych. W Chinach, państwie wciąż istniejących obozów karnych, w których stosuje się kary cielesne i elektrowstrząsy, to właśnie rozrywki oferowane przez wirtualną rzeczywistość określa się „elektroniczną heroiną”. Nie tylko: w społeczeństwie szerzy się coraz powszechniejsze poczucie tęsknoty za nieistniejącą, mitologiczną przeszłością, pozbawioną technologii; przeszłością, w której każdy gest miał w sobie autentyczność nieskażoną medialną sztucznością, każda informacja zasługiwała na miano potencjalnie wiarygodnej, a każdy przebłysk geniuszu wydawał się oryginalny i był czymś więcej niż tylko kolejną repliką linii kodu.

Jest gorzej niż za czasów brytyjskiego luddyzmu, który przynajmniej miał jasno określony cel: chronić ludzką pracę i przysługujące jej prawa przed próbą zastąpienia jej nieznaną zmęczenia, niezawodną maszyną, z natury pozbawioną zdolności do organizowania się w związki zawodowe. Obecnie, choć mamy do czynienia z falą ogólnego i obłudnego niesmaku, nie pociąga on za sobą niczego – żadnego realnego wyrazu sprzeciwu.

Przecież sam Zuckerberg publicznie zapowiedział wprowadzenie modyfikacji do algorytmu Facebooka, które miałyby celowo zmniejszać zasięg najbardziej

viralowych treści, w imię tych, które mogłyby okazać się naprawdę istotne dla użytkowników – dając pierwszeństwo postom rodziny i znajomych.

To w pewnym sensie powrót do korzeni, narzucony przez twórcę Facebooka i podyktowany wymogami, które stawia sobie platforma – pragnąca sprawiać wrażenie odpowiedzialnie i odpowiednio zarządzanej, zwłaszcza w obliczu coraz donośniejszych głosów sprzeciwu publicznego. Choćby za cenę ustawienia się w opozycji do głównego interesu firmy.

„Spodziewałem się, że czas spędzony na Facebooku i inne wyznaczniki *engagementu* się zmniejszą” – napisał Zuckerberg 12 stycznia 2018 roku. Rzeczywistość wkrótce przyznała mu rację: weźmy pod uwagę, że zaledwie dwa tygodnie później, również w wyniku wprowadzonych zmian, po raz pierwszy w historii odnotowano spadek codziennej aktywności wśród użytkowników Facebooka. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie – 700 tysięcy użytkowników mniej. Sześć miesięcy później, 25 lipca, wyniki są poniżej wartości zakładanych na drugi kwartał, a co za tym idzie – firma w jeden dzień traci 120 miliardów dolarów wartości rynkowej na Wall Street.

Dla Zuckerberga ta tendencja w końcu się odwróci. „Spodziewam się również – dodaje w tym samym poście z początku roku – że czas spędzony na Facebooku nabierze większego znaczenia. Mam nadzieję, że dążymy we właściwym kierunku, a jeśli to się uda, wierzę, że zrobimy wiele dobrego dla naszej społeczności i, w dalszej perspektywie, naszego biznesu”.

Trudno powiedzieć, czy mnożące się skandale, zasady, sankcje i ogólne poczucie wypalenia użytkowników wystarczą, by oznajmić nadchodzący początek końca Facebooka. Nawet jeśli tak by się stało, to tak abstrakcyjne wydarzenie wcale nie musiałoby się przełożyć na kres naszego pragnienia ciągłego bycia online.

Z Facebookiem czy bez, zawsze przecież możemy się rozłączyć. Jakaś część nas o niczym innym nie marzy. Teraz w naszym zasięgu byłyby również narzędzia, które zdecydowanie mogłyby nam to ułatwić.

Mimo to nie próbujemy nawet kiwnąć palcem.

Wyimaginowany świat *Czarnego lustra* posuwa się o krok dalej. W tej alternatywnej rzeczywistości technologie naprawdę zniknęły, choć są wszechobecne – na zewnątrz lub wewnątrz nas. Niepotrzebne okazują się sztuczki,

które pozwoliłyby nam uciec przed widmem technologicznej dyktatury, bo nie ma przed czym uciekać. A poza tym przecież i tak nie byłoby dokąd uciekać.

W dystopii Brookera tym, którzy ani na chwilę nie przerywają połączenia, nie przychodzi do głowy, żeby się rozłączyć. Zwyczajnie nie mają innego wyjścia. Nie mogą zmienić samych siebie, bo technologie cyfrowe przedarły się już przez barierę ciała i wniknęły w zmysły, w sposób postrzegania.

Z tego punktu widzenia świat *Czarnego lustra* zamieszkują cyborgi, a nie zwykłe ludzkie istoty. Cyborgi, które wciąż nie zostały pozbawione wszelkich ludzkich słabości, począwszy choćby od łatwości, z jaką dają się oszukiwać, kiedy technologia objawia się im jako proste, natychmiastowe, neutralne i idealne rozwiązanie wszystkich ich problemów. Wydaje im się wręcz piękna – jaśniejąca abstrakcyjnym, lecz wyrazistym pięknem, jak to, które wskrzesiło produkty Apple'a po kryzysie firmy w latach dziewięćdziesiątych.

Zwróćcie na to uwagę. Odcinek po odcinku zauważycie tylko jedną stałą tendencję. O ile kolejne technologiczne nowinki składają graniczące z cudem obietnice, to sam sprzęt zaprojektowany w celu ich realizacji wydaje się niewinny, działa błyskawicznie i jest praktycznie niedostrzegalny. Wystarczy, że sfrustrowany start-uper z *USS Callister*, architekt świata fantazji, w którym będzie mógł sprawować okrutne rządy nad swoimi kolegami z pracy, umieści komputer wielkości guzika na ich skroniach, by powołać ich do życia. Tyle samo trzeba, żeby dostać się w wirtualne zaświaty z *San Junipero*.

Sara, dziewczynka stale kontrolowana przez matkę w *Arkangelu*, niewzruszona ogląda kreskówkę, podczas gdy urządzenie nadzorujące za pomocą jednego kliknięcia zostaje wszczepione przez jej prawą skroń. Podobna procedura wystarczy, by zapewnić dostęp imponującemu systemowi rozszerzonej rzeczywistości, który przekształca koszmary bohatera *Playtest* w rzeczywistość: jedno dotknięcie i sprzęt zostaje umieszczony u nasady szyi – perfekcyjnie, bez ani jednej kropli krwi.

Również smartfony osiągnęły wreszcie swoje idealne wymiary, jakby wyjęte wprost z platońskiego świata idei; zmieniły się w przezroczysty kawałek plastiku posłuszny każdemu ruchowi naszych palców, niestrudzenie wysłuchujący i wykonujący nasze polecenia, każdy nasz szept.

Nawet sprzęty będące uosobieniem całego zła czającego się w serialu, jak Cookie z *Białych Świąt*, na pozór wyglądają zupełnie niewinnie, nieskazitelnie –

tak by absolutnie nie kojarzyć się nam z narzędziem tortur. I w tym tkwi sedno: młoda kobieta, która godzi się, by zamknąć w jednym z nich replikę swojej świadomości i stworzyć z niej wirtualną asystentkę obdarzoną rzeczywistą inteligencją, robi tak, bo ma przed sobą gładką powierzchnię białego plastikowego jajka, jaśniejącego ze środka delikatnym błękitnym światłem. W obietnicy nie poświęcono uwagi konsekwencjom istnienia wirtualnej asystentki, uwięzionej pośród układów scalonych wewnątrz sympatycznego gadżetu, skazanej na wieczną niewolę w służbie swojej fizycznej odpowiedniczce. Łatwiej zgodzić się na torturę, która nie przypomina średniowiecznego koła do łamania kości.

Tutaj przekaz jest bardziej subtelny, choć równie mocny. Gdyby tylko okazał się prawdziwy, utopia niewidzialności Doliny Krzemowej szybko zmieniałaby się w dystopię. Jeśli technologia miałaby kiedykolwiek stać się niewidzialna, jakby za pomocą jednego, sterylne go cięcia, o którym dzisiaj cyfrowe kolosy mogą wyłącznie pomarzyć, szkodliwe efekty ciągłego bycia online z pewnością nie zniknęłyby razem z nią.

Wręcz przeciwnie – stałyby się nieodłączną częścią naszego życia i człowieczeństwa, integralnym składnikiem doświadczenia świata. Ofiary i oprawcy, źli i dobrzy bohaterowie *Czarnego lustra* są bezpowrotnie podłączeni, schwytni w sieć, cyfrowy detoks jest dla nich czymś zupełnie nie do pomyślenia – tak samo jak zachowanie równowagi pomiędzy życiem *online* a *offline*. Pozbawieni możliwości rozłączenia się, nie mają wyboru: ich wspomnienia będą zapisywane na nośnikach danych, a w ich myśli będzie zaglądał ten, kto ma do tego uprawnienia. Nie mogą opuścić wirtualnego świata rodem z koszmarów; nie mogą nie zgodzić się na zdalny nadzór matki czy własnego kraju. Urządzenie zostało zainstalowane, klamka zapadła – należy przyjąć to jako normalny stan rzeczy, właściwości człowieka, równie naturalne jak oddychanie i umiejętność tworzenia poezji.

O ile bowiem wprowadzenie urządzenia będzie dziecinnie proste, to jego usunięcie może okazać się bardziej skomplikowane. Technologia będzie składała namnażające się obietnice, zapominając o sposobie na ich egzekwowanie, kiedy nie zostaną spełnione lub, co gorsza, kiedy pociągną za sobą odczłowieczające efekty uboczne.

Idealne, niezmiennie, nieprzeniknione wytwory technologii. Im prostszy jest sposób ich użytkowania, tym trudniej zrozumieć, jakie algorytmy i jakie obwody scalone umożliwiają ich funkcjonowanie. Niepotrzebne jest *Czarne lustro*, by się

o tym przekonać – wystarczy pomyśleć, ile wiedzy informatycznej trzeba było, żeby odpalić grę na komputerze dwadzieścia pięć lat temu, a ile potrzeba dzisiaj: zero. To, co kiedyś przedstawiano z dumą jako *plug & play*, miało w sobie coś z rewolucji, na przestrzeni lat pokazało jednak swoją najciemniejszą stronę. Może się przecież okazać, że wystarczy raz dotknąć ekranu, żeby włączyć aplikację czy podłączyć dane urządzenie, ale jeśli nasz dotyk miałby z jakiegoś powodu nie wystarczyć lub, co gorsza, spowodować nieoczekiwany i niepokojący efekt, nie będziemy mieć pojęcia, co zrobić, by temu zaradzić.

Jesteśmy uzależnieni od urządzeń, o których nie mamy pojęcia; od coraz mniej widocznych i coraz bardziej inwazyjnych maszyn – zagląających nam do wnętrza i pilnie strzegących własnych tajemnic.

Brakuje nie tylko dołączonej ulotki z listą przeciwwskazań. Brakuje przede wszystkim umiejętności jej napisania.

Dopóki łącze jest sprawne, iluzja dobrze się trzyma. Co by się jednak stało, gdyby któregoś dnia Internet zwyczajnie przestał działać? Brian K. Vaughan przedstawia swoją wizję takiego scenariusza w powieści graficznej zatytułowanej *The Private Eye*. Wydany w 2013 roku – tym samym, w którym wypłynął skandal ze Snowdenem w roli głównej – komiks opowiada o życiu w Los Angeles w 2076 roku, „dziesiątki lat” po tak zwanej Wielkiej Ulewie, wydarzeniu, w którym to pewnego dnia, niespodziewanie, wszystkie dane osobowe zebrane w chmurze ujrzały światło dzienne.

Zapowiadając swój pomysł w 2011 roku, Vaughan opisał go w następujący sposób: „Nikt nie wie, czy był to wypadek, wypowiedzenie wojny, działanie siły wyższej, lecz przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy z chmury polał się deszcz informacji, padając na cały naród”^[46].

Ulewa nie oszczędziła nikogo: „To jak WikiLeaks dotyczące całej ludzkości – pisze autor komiksu. – Wyciekają wszystkie historie chorób, numery kart kredytowych, konta mailowe, hasła, szkolne oceny, darowizny na cele polityczne, wiadomości z telefonów komórkowych, pozycje GPS, zdjęcia z Facebooka, anonimowe recenzje na Amazonie, historia przeglądanych stron, żenujące playlisty, zeznania podatkowe, niedokończone powieści, porzucone zdjęcia na warsztacie Photoshopa, skrzynka odbiorcza na Twitterze, profile na portalach randkowych, filmiki porno, bluzgi na forach, ogłoszenia na Craigslist, żalosalne SMS-y wysłane po

pijaku do naszych byłych – teraz nagle dostępne dla wszystkich... pracowników, sąsiadów, bliskich czy choćby ciekawskich obcych”^[47].

Spółeczeństwo w odpowiedzi postanawia odciąć się od sieci i zostawić za sobą traumę, która zmusza wszystkich do ukrywania swojej tożsamości pod przebraniem.

Historia skupia się przede wszystkim na skutkach powszechnego nadzoru i końca prywatności, nad którymi zastanawialiśmy się już wcześniej. Zainteresowanie wzbudza jednak zwłaszcza jedna z postaci – dziadek głównego bohatera. W powieści występuje zwyczajnie jako „Starzec”. Dziewięćdziesięcioletni Irlandczyk to jednocześnie „stary hipster z zardzewiałymi kolczykami i wyblakłymi tatuażami” i groteskowy, choć skuteczny obraz tego, co pozostałoby z wiecznie podłączonego pokolenia młodych, gdyby niespodziewanie i na dobre zostało pozbawione sieciowego łącza.

Ni stąd, ni zowąd, koniec z Internetem i mediami społecznościowymi. Nigdy więcej.

Koniec, raz na zawsze.

Być może, tak jak i w jego przypadku, pierwszą, naturalną reakcją byłoby obsesyjne poszukiwanie zasięgu, bezustanne i nieprzerwane, choć sygnału nie ma od sześćdziesięciu lat. Być może próbowalibyśmy nawiązać kontakt z naszymi znajomymi na Facebooku, choćby Facebook nie istniał od pół wieku. Może szukalibyśmy nazwisk na stronie elektronicznej książki telefonicznej, mimo że nie byłoby przecież już stron internetowych.

Współczesny nam młody człowiek, tak jak i starzec z wyimaginowanego Los Angeles przyszłości, zachowywałby się wciąż, jakby Internet i media społecznościowe nadal istniały, lecz były wyłącznie tymczasowo niedostępne z powodu awarii lub nieoczekiwanego wydarzenia.

Być może, stając w obliczu konsekwencji wynikających z końca prywatności, wobec nieskończonej ilości skandali towarzyszących każdej tego rodzaju „ulewie”, zareagowałby żywym sprzeciwem, ze złością wszystkiemu by zaprzeczył. Tak jak i Starzec: „Nie mieliśmy niczego do ukrycia”. Wierzyliby w to z taką siłą, że nawet w społeczeństwie ukrywającym swoje twarze sam odmówiłby włożenia maski.

Spora część przeszłości, *czasów Internetu*, zostałaby usunięta siłą. Pośród swoich notatek Vaughan opisuje Starca jako człowieka „osłabionego przez

długoterminowe skutki przyjmowania leków na zaburzenia uwagi”, który „chwytą za swój telefon BlackBerry, w którym od lat nie ma zasięgu”.

To parodia doświadczeń osób, które z własnego wyboru lub pod presją innych, na krótszy lub dłuższy czas postanawiają odciąć się od sieci. „Mijał drugi tydzień – zauważyła na przykład dziennikarz „New York Timesa” w lipcu 2018 roku^[48] – a Sophie zaczęły przydarzać się dziwne rzeczy, kiedy próbowała oddalić się od telefonu”.

Sophie to szesnastoletnia córka autora, towarzysza jego eksperymentu. Przez trzy tygodnie wspólnie próbują sprostać samodzielnie narzuconemu ograniczeniu w korzystaniu z Internetu i mediów społecznościowych. W ten sposób chcą sprawdzić, czy rzeczywiście zdołają zmniejszyć swoje uzależnienie od ekranu.

We wtorek, po wykorzystaniu limitu czasu spędzonego na ukochanym Snapchacie, *screenagerka* wyznaje matce, że czuje się jednocześnie „poirytowana i wściekła”. W tamtej chwili dziennikarz nie potrafi zrozumieć powodu jej złości. „Dopiero później – notuje – powiedziała mi, że dotarło do niej, jak często odblokowywała telefon tylko po to, żeby tępo wpatrywać się w ikonki aplikacji”. Mieć poczucie uczestniczenia w wirtualnym życiu i nie wykorzystywać limitu czasu użytkowania.

„Dla mnie to był tylko nawyk – opowiada Sophie. – Włączałam telefon i nie miałam tam nic do roboty. Gapiłam się w ekran i tyle”.

Być może jest to „tylko nawyk”, ale nie należy lekceważyć potrzeby automatycznego powtarzania rytuału, który dotąd wykonywaliśmy około stu pięćdziesięciu razy dziennie. Całkiem prawdopodobna wydaje się teoria, że Sophie, tak jak Starzec z *The Private Eye*, przez jakiś czas zwyczajnie nie mogła pogodzić się z tym, że jej ulubiona zabawka, Internet, jest zepsuta. Tym samym łatwiej było jej podporządkować się jakiejś części siebie, która wciąż próbowała temu zaprzeczyć, i machinalnie oddawać się pozbawionemu sensu rytuałowi.

Sophie mówi: „i tyle”. A jednak smartfon to dzisiaj nasza fantomowa kończyzna, przedłużenie nie tylko naszego ciała, lecz także umysłu, i dlatego wydaje nam się, że zawsze jest podłączony, nieustannie aktywny i w gotowości, by służyć nam swoją pomocą.

Biorąc pod uwagę to, jak intymna jest nasza relacja, fizjologiczną reakcją jest poczucie niekompletności. Czujemy się pozbawieni podstawowej umiejętności:

uzyskania każdej możliwej informacji, odległej o kilka kliknięć, pewnego wymiaru zarządzania życiem towarzyskim, choćbyśmy nawet byli sami, dostępu do wszelkiej formy nielimitowanej rozrywki. Za darmo i natychmiast.

Dlaczego miałyby to przestać być częścią nas samych? Dlaczego mielibyśmy z tego zrezygnować?

Wystarczy przecież tylko zachować odpowiednią równowagę, czyż nie?

Sophie, pełna wątpliwości, odblokowuje po raz kolejny telefon i wpatruje się zamyślona w ikonę apki, której nie może odpalić.

IX

GDZIE KONIEC, TAM NOWY POCZĄTEK

Wyobrażanie sobie świata to pierwszy krok ku temu, by go zmienić. Właśnie w tym celu pewnego czerwcowego popołudnia znajduję się w auli wydziału prawa, w Nowym Jorku, pośród członków międzynarodowego zgromadzenia ekspertów do spraw demokracji i Internetu. Zebraliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o fantastyce naukowej.

W popołudniowym panelu dyskusyjnym bierze udział około trzydziestu osób z różnych zakątków świata: ja przyjechałem tu z Włoch, Darko, obok mnie, z Sarajewa, inni z Kamerunu, Mołdawii, Chile i Kanady. To drugi i ostatni dzień tegorocznej edycji Personal Democracy Forum. Jest piątek, właśnie zjedliśmy obiad i wszyscy jesteśmy zmęczeni. Ale wyteżamy całą swoją uwagę. Jestem jednym z sześciu pisarzy stojących na środku sali i właśnie poproszono nas o to, byśmy pomyśleli o odległej przyszłości, tak odległej, że wręcz nierealnej.

Nigdy nie myślałem, że w swojej pracy spotkam się z obowiązkiem wyobrażania sobie epoki, w której problem integralności procesów demokratycznych został rozwiązany, polityka poradziła sobie ze zmianami klimatycznymi, gospodarka zdołała zniwelować nierówności społeczne, a medycyna odnalazła lekarstwo na wszelkie choroby. To przyszłość, w której będziemy mogli żyć wiecznie lub nieoczekiwanie padniemy ofiarą tyranii nowej Żelaznej Stopy, jak tej z powieści Jacka Londona, która postanowi przyprzeć nas do ziemi i dociskać ile wlezie.

Mam wolną rękę – to wystarczy, by w mojej wizji pojawiło się niewyobrażalne.

Dostajemy godzinę, podzielono nas na kilkusobowe grupy. Mamy stworzyć wizję jutra, a jednocześnie wytyczyć ścieżkę, którą współczesna ludzkość musiałaby podążać, by do niej dotrzeć. Na tablicy rysujemy oś czasu, na której będziemy zaznaczać daty i zmyślane wydarzenia historyczne: odkrycie eliksiru wiecznej młodości, pierwszy kontakt z cywilizacją obcych o nieporównywalnie wyższym poziomie rozwoju, wynalezienie nowego rodzaju napędu pozwalającego na zgłębienie dalekiej przestrzeni kosmicznej, pojawienie się pierwszej w pełni sprawnej sztucznej świadomości. Oraz inne dokonania technologiczne – mniej

dostrzegalne i bardziej chytne, jak te z *Czarnego lustra* – małe kroki postępu, pozornie nieznaczące i niewidoczne, które mimo to rzutują w katastrofalny sposób na porządek społeczny oraz równowagę psychiczną każdej ludzkiej jednostki.

Na samą myśl o wyeliminowaniu wszelkiej możliwej nielegalnej ingerencji w demokratycznej grze czuję mieszaną fascynacji i przerażenia. Wraz ze znajomym Bośniakiem i dwoma innymi uczestnikami projektu postanawiamy puścić wodze fantazji i przygotowujemy scenariusz, w którym wyobrażamy sobie koniec demokracji i polityki, związany z pojawieniem się pozaziemskiej formy życia, udowadniającej raz po raz, że naprawdę wie, jak rozwiązać wszystkie problemy ludzkości, zapewniając jak największą korzyść jak największej liczbie Ziemi.

Myślę: tylko umysł przybysza z zewnątrz może postrzegać politykę jako grę pozbawioną błędów, kompromisów, szarych stref, tajemnic i kręactwa. Jedynym sposobem na wyeliminowanie niepewności w społeczeństwie otwartym jest zamknięcie go z nadzieją, że likwidator szkód działa w dobrej wierze. Kilkakrotnie próbuję przekonać członków grupy i moderatora do tego wstępnego założenia, bez którego nasza narracja chwieje się w posadach, ale nie jest to łatwe i nie wszyscy chcą się ze mną zgodzić. Pomijając fakt, że musimy jeszcze uzupełnić nasz niewiarygodny scenariusz o wszystkie geopolityczne, społeczne i medialne konsekwencje pojawienia się czynnika nie-ludzkiego.

I właśnie w tym momencie przypominam sobie słowa, które usłyszałem tego samego dnia rano, w sali piętro niżej. Jako pierwsza z długiej listy prelegentów podczas konferencji głos miała zabrać Malka Older, aktywistka organizacji humanitarnej i badaczka oraz autorka science fiction, nałogowo przelewająca na strony swoich powieści teorie dotyczące wpływu cyfrowego świata na demokrację. Jej publiczność, specjaliści od branży globalnej *civic tech*, zebrali się tu po to, by zastanowić się, w jaki sposób technologia może wreszcie służyć dobru ogółu. Older ma dla nich niezwykle ważną wiadomość: tworzenie wymyślonych światów może okazać się skutecznym narzędziem w służbie politycznego i obywatelskiego aktywizmu.

W swoim wystąpieniu objaśnia, dlaczego wyobrażanie sobie innej rzeczywistości może zmienić świat. Mówi, że kiedy brakuje nam kolejnego pomysłu, jak wpłynąć na zastaną sytuację, w obliczu martwych ideologii, stery przejmują algorytmy, my zaś nie jesteśmy w stanie zaproponować żadnej

alternatywy, to znak, że powinniśmy wrócić do świata fantazji. „Potrzebujemy abstrakcyjnych wizji przyszłości, bo przypominają nam one o tym, że świat, w którym obecnie żyjemy, nie jest jedynym możliwym rozwiązaniem”.

Polityczne zastosowanie wyobraźni autorka nazywa „spekulatywnym ruchem oporu” i proponuje swoją koncepcję jako odpowiedź na ostrzeżenia wysuwane przez teoretyka kultury Marka Fishera w skrócie określane mianem „kapitalistycznego realizmu”, czyli niezdolnością współczesnego człowieka do wyobrażenia sobie końca kapitalizmu i tym samym ewolucji systemu socjoekonomicznego, który mógłby go zastąpić. Argument Older przeciwstawiającej się tej głęboko zakorzenionej wśród radykalnych postępowców obawie przedstawia się następująco: „były czasy, w których koniec feudalizmu, tak jak dzisiaj koniec kapitalizmu, zdawał się niemożliwy”.

Mimo to po ciemnych wiekach nastąpiła światłość, magia rozumu. Być może – podążając tą samą linią argumentacyjną – wciąż realna jest koncepcja końca nowych populizmów, nowych ambicji dyktatorskich. A może nawet istniałaby idea postępu alternatywna dla pomysłów podsuwanych przez gigantów z Doliny Krzemowej jako jedyne i nieuniknione.

Żeby tak się stało, nasze fantazje muszą przybrać formę zrozumiałą dla tłumów. Jedynym sposobem na to jest przeobrażenie ich w historię, w narrację, w *storytelling*. Z tego punktu widzenia mamy dużo szczęścia, ponieważ historie, narracje i ich twórcy są dziś obecni praktycznie wszędzie. Otaczają nas, przekonują, uwodzą, sprawiają, że tracimy głowę i się oburzamy – są wszystkim tym, co pozostaje wewnątrz wydmuszki władzy. Podczas gdy partie, instytucje, media i tradycyjni posiadacze wiedzy tracą swój autorytet, a polityka sprowadza się do tweetów i medialnego show, nie pozostaje nic innego, jak tylko komunikacja – a żadna z nich nie ma za sobą dłuższej tradycji niż sztuka narracji.

To ona od wieków konstruuje wszechświaty wraz z ich najdrobniejszymi szczegółami. Opisuje scenariusze i konsekwencje, wyraża empatię wobec fikcyjnych postaci o cechach osobowości, które sprawiają, że postacie te wydają się wiarygodne, rzeczywiste, ludzkie. Tym samym, narracja pozwala lepiej zrozumieć złożoność naszych charakterów, bólczki, aspiracje, uczucia. Oraz porażki.

„Żeby zmienić istniejący wyobrażony porządek rzeczy, musimy najpierw uwierzyć w alternatywny wyobrażony porządek”^[49] – pisze Yuval Noah Harari w swoim bestsellerze *Od zwierząt do bogów. Krótka historia ludzkości*. Older

tworzy z jego słów manifest polityczny, cytując go w trakcie wystąpienia, które w rzeczywistości jest wezwaniem do oporu, do broni.

Właśnie dlatego kilka godzin później do głowy przychodzą mi postdemokratyczni obcy i odległa przyszłość. Obecnie często bowiem odnosimy wrażenie, że przyszło nam żyć w dystopii. Etymologicznie oznacza to *brzydkie miejsce*, miejsce, w którym nie chcemy przebywać. Jednak nie potrafimy sobie nawet wyobrazić drogi ucieczki.

A gdyby to właśnie science fiction mogło wskazać nam drogę?

Dokładnie pamiętam mieszankę zdziwienia i rozczarowania, kiedy ponad dziesięć lat temu przedstawiłem projekt pracy doktorskiej na temat dystopii. „To przeżytek, martwa materia” – powtarzali mi pracownicy naukowcy. Poświęcając jej lata studiów, wypadłbym z obiegu. Wybrałem zły moment.

Nie znalazłem w sobie uporu, żeby się sprzeciwić. Teraz już wiem, że się myliłem, bo to właśnie dystopia gwarantuje nam uprzywilejowany dostęp do naszych czasów. Kluczem do nich jest liczba, najlepsza narracja naszej rzeczywistości. Najbardziej przekonująca.

Wystarczy pomyśleć o klasykach gatunku, które co jakiś czas, pomimo upływu dziesiątek lat od ich wydania, regularnie wspinają się na szczyt list bestsellerów.

Rok 1984 Orwella, po pierwszych doniesieniach Snowdena w sprawie programów cyfrowego nadzoru stosowanych na skalę światową przez amerykański i brytyjski wywiad, w czerwcu 2013 roku odnotowuje niewiarygodny wzrost sprzedaży o 5771% i dzięki pokaźnemu gronu przerażonych czytelników ląduje pośród 100 najlepszych pozycji amerykańskiego Amazona oraz wspina się na pięćdziesiąte drugie miejsce w klasyfikacji brytyjskiej.

Niecałe cztery lata później sytuacja się powtarza, a tym razem liczby zaskakują jeszcze bardziej. Jest 22 stycznia 2017 roku, Donald Trump właśnie zasiadł w fotelu prezydenckim w Białym Domu. Jego rzecznik, Sean Spicer, potyka się już na starcie, wplatając w oświadczenie prasowe kłamstwa na temat liczby obecnych podczas ceremonii objęcia urzędu. Co gorsza, strateg kampanii wyborczej, Kellyanne Conway, w kilka godzin po niefortunnym zajściu broni go, używając zwrotu żywcem zaczerpniętego z retoryki Orwella: otóż Spicer nie skłamał, przedstawił tylko „alternatywne fakty”^[50].

Pomimo desperackiej próby ustalenia porządku przez przeprowadzającego wywiad dziennikarza („alternatywne fakty nie są faktami, tylko kłamstwem”) publiczność zyskuje pewność, że oto znajduje się w obliczu pewnego rodzaju „nowomowy”, realnej formy „dwójmyślenia”. I znów arcydzieło Orwella znajduje się na pierwszym miejscu najchętniej kupowanych książek na Amazonie i szóstym na stronie iBooks. „Zdecydowaliśmy się na dodruk siedemdziesięciu pięciu tysięcy kopii w tym tygodniu” – relacjonuje stacji telewizyjnej CNN zaledwie trzy dni później rzecznik wydawcy Penguin. „To znaczne odstępstwo od normy”. Mija kolejne 48 godzin, a pozycja odnotowuje wzrost sprzedaży o 9500%.

To dni triumfu również dla innych dystopijnych arcydzieł. *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya, zdaniem wielu powieść, która najlepiej ze wszystkich oddaje naturę współczesnej władzy, wraca do pierwszej dziesiątki bestsellerów, podczas gdy *451 stopni Fahrenheita*, antyutopia Raya Bradbury’ego, w której czytanie książek jest zakazane, wspina się na piętnaste miejsce.

Do łask wracają stare, zapomniane teksty, jak *It Can’t Happen Here* Sinclaira Lewisa, który w 1935 roku wyobrażał sobie dyktatora rządzącego Stanami Zjednoczonymi. Despota Lewisa, złowieszczo populistyczny i zdolny obudzić najgorsze nacjonalistyczne instynkty, wielu krytykom przypominał obecnego prezydenta.

Inne powieści stają się inspiracją do filmowych adaptacji. Nazistowska Ameryka z *Człowieka z Wysokiego Zamku* i inne *Elektryczne sny* z opowiadań Philipa K. Dicka zostają zekranizowane jako popularne seriale na Prime Video, zaś telewizyjna wizja teokratycznego reżimu przedstawia kobiety jako niewolnice lub maszyny do rodzenia w *Opowieści podręcznej* na podstawie klasyka Margaret Atwood z 1985 roku. Ta ostatnia cieszy się takim powodzeniem publiczności, że przywraca powieści pierwsze miejsce na liście bestsellerów.

To bieżące wydarzenia wpływają na gusta literackie czytelników. Beletrystyczna fantazja jest niezbędna do interpretacji rzeczywistości. Podczas gdy dzienniki z całego świata opisują ponure i budzące strach systemy nadzoru, niewidzialne maszyny zbierające i analizujące dane dotyczące całych narodów, czytelnicy czują potrzebę powrotu do narracji, w której główną rolę odgrywa totalna kontrola jednostki i społeczeństwa. Kiedy najpotężniejsza siła demokratyczna świata wybiera na swojego przywódcę demagogicznego multimiliardera przyzwyczajonego raczej do impulsywnego narzucania własnego zdania z pozycji

jurora w reality show niż do cierpliwych kompromisów polityki, wyborcy na nowo nabierają przekonania, że warto przyjrzeć się wymyślonym scenariuszom najbardziej nieokiełznanych populizmów.

Poczucie nadchodzącego końca jest wszędzie: czai się w widmie cyberataków, które niespodziewanie mogłyby spowodować rozległe awarie zasilania lub wyłączyć zdalnie elektrownie; kryje się w przekonaniu, że otaczają nas urządzenia podłączone do Internetu, i naszej bezbronności wobec wszelkiego rodzaju hakerskich trików; w całkowitym uzależnieniu od niepodważalnych decyzji panów i władców naszych danych; w wyborach zmanipulowanych przez komputerowe boty i niejasne intencje zagranicznych propagandystów; oraz w ogólnym wrażeniu, że w każdej chwili możemy kogoś wyśledzić – tak samo jak każdy może wyśledzić nas.

Dystopia jest już częścią naszej historii i przemawia do nas tym wyraźniej, że składają się na nią również bieżące wydarzenia – narracje codzienności, niczym wątki w powieści. Z jednym wspólnym mianownikiem dla wszystkich: nie przewiduje się happy endu.

Czy jesteśmy pewni, że dystopia i wymyślone światy mają ze sobą coś wspólnego? To kluczowe pytanie, zwłaszcza jeśli mamy na myśli coś wykraczającego poza gatunek literacki – pewną formę politycznego oporu, choćby nawet spekulacyjną. Jeśli fantazja całkowicie odrywa nas od rzeczywistości, na niewiele się przyda, kiedy będziemy chcieli zmienić tę ostatnią. Jasne, nawet najbardziej szalona i nieposkromiona wizja dalekiej przyszłości niesie za sobą pewne przesłanie. Ale to nie o taki rodzaj pomocy prosimy literaturę science fiction, wyobrażając sobie inny, lepszy świat. Chcemy, by fantazja i jej wytwory wtykały palce w najbardziej bolesne i otwarte rany współczesności. Chcemy wizji niepokojącej przyszłości o *współczesnym* wymiarze.

W przeciwnym razie mamy do czynienia ze zwykłym eskapizmem. Jakkolwiek pożyteczny i szlachetny by on był, nie przydaje się, kiedy próbujemy odzyskać wolność. Czyni z nas raczej więźniów uciekających przed teraźniejszością, którą odbieramy jako wroga i jako klatkę.

Tradycyjne definicje *dystopii* z tej perspektywy okazują się bezużyteczne. „Wymyślone państwo lub społeczeństwo, zazwyczaj totalitarne lub postapokaliptyczne, w którym istnieją poważny ucisk lub niesprawiedliwość”

(Oxford Dictionary); „wymyślone miejsce, w którym wszystko jest tak złe, jak tylko może być” (Collin Dictionary); „wymyślone państwo lub miejsce, w którym warunki życia są skrajnie złe ze względu na narzucone ograniczenia, ucisk bądź terror” (Free Dictionary); „wymyślone miejsce, w którym osoby prowadzą odczłowieczone i często pełne strachu życie” (Merriam-Webster).

Szczegóły się zmieniają, jednak we wszystkich tych definicjach powraca jedno słowo: „wymyślone”. Dystopia z definicji to narracja o nieistniejącym miejscu, będącym wytworem fantazji.

A jednak jest przecież odwrotnie. Dystopia to satyryczna wersja teraźniejszości, opowieść o rzeczywistości wykreowanej za pomocą narzędzi wyobraźni. Odnosi sukcesy – na małym i wielkim ekranie, w sieci i w księgarni – tylko jeśli bohaterami jej opowieści nie są Montag i Winston, a właśnie my wszyscy.

Gdy miejsca opisane przez literaturę potraktujemy dosłownie, zorientujemy się oczywiście, że nie istnieją. W historii Wielkiej Brytanii nigdy nie istniał Angsoc ani Zielony Mur, który w powieści *My Jewgienija Zamiatina* oddziela cywilizacje w świecie po katastrofie nuklearnej. Mimo to dystopie istnieją i przyciągają tłumy z innego, głębszego powodu. Ich celem nie jest katalogowanie każdego możliwego nieszczęścia na świecie – to narracyjne fortele służące stworzeniu nowej wizji teraźniejszości.

Dystopia, powiedziałyby Older, to „spekulatywny ruch oporu”.

To polityka, ideologia. Warsztat alternatywnych i hipotetycznych scenariuszy zaczynających się od „jeśli” i „ale”, których wciąż nie musieliśmy wymawiać z należytą powagą, lecz które mamy na końcu języka. Charlie Brooker nieprzypadkowo powtarzał to zawsze w kontekście *Czarnego lustra*: jego serial w całości opiera się na „co, jeśli”, na retorycznej sztuce wyobrażania sobie alternatywnej rzeczywistości, wybierania nowej drogi na diagramie drzewka decyzyjnego, przepisywania historii ludzkich wynalazków i przewidywania na tej podstawie przyszłości. I tak do skutku.

Tak jak *Rok 1984* i *Nowy wspaniały świat*, również *Czarne lustro* to narzędzie pomagające nam lepiej zrozumieć nas samych.

Wymyślony świat Brookera funkcjonuje sprawnie, dlatego że opowiada o naszej rzeczywistości, a los jego trójwymiarowych bohaterów tak bardzo leży nam na

sercu, ponieważ widzimy w nich swoje odbicie – z tymi samymi wadami, obawami i obsesjami.

Rozglądając się dookoła i znów kierując wzrok na ekran, na którym wyświetlamy kolejny odcinek *Czarnego lustra*, chcielibyśmy móc powiedzieć, że obydwie miejsca to dwie zupełnie różne i sprzeczne ze sobą płaszczyzny rzeczywistości. Chcielibyśmy oddać się rozrywce z westchnieniem ulgi: *to się jeszcze nie dzieje*.

Jest tak wyłącznie dlatego, że ja i Bing, Amy, Frank, Lacie i cała ludzkość Brookera pogrążona w kryzysie znajduje się dokładnie w *tej samej* przestrzeni czasowej – dlatego też się z nimi utożsamiamy.

Koniec końców moje *tu i teraz* to również ich rzeczywistość. Jesteśmy ofiarami tego samego zniewolenia. Zawładnął nami ten sam strach.

Jeśli zarówno my, jak i bohaterowie *Czarnego lustra* występujemy w jednej i tej samej historii, żyjemy wewnątrz tej samej narracji, nie oznacza to, że nazajutrz zostaniemy poddani wyszukanyom technologicznym torturom, tak jak oni. Nie, na chwilę obecną ryzyko zamknięcia nas w Alexie, w oprogramowaniu Google Home czy innym wirtualnym asystencie, żebyśmy własną inteligencją zastąpili niedoskonałe oprogramowanie urządzenia, jest raczej niewielkie. W porządku, choć pies robot z Boston Dynamics do złudzenia przypomina maszyny z *Twardogłowego* polujące bezlitośnie i niestrudzenie na ludzi, podczas spaceru po angielskiej wsi nie grozi nam kontakt pierwszego stopnia z rozwścieczonym BigDogiem, mordercą. Ponadto na ten moment nie istnieje żadna wirtualna rzeczywistość, która mogłaby zastąpić sprawiedliwość lub stać się odpowiednikiem rynku pracy.

Fikcja serialu od samego początku miała stanowić dla nas swojego rodzaju komunikat: oto jesteśmy w miejscu, z którego możemy przewidywać oblicza przyszłości rodem z koszmaru, możemy nauczyć się rozpoznawać w załączku te, które mogą mieć dla nas najgorsze konsekwencje. I wciąż jest szansa, że zorientujemy się wystarczająco wcześnie, by zdołać im zapobiec.

Może to przypominać nieco postaci Marty'ego i Doca z *Powrotu do przyszłości* – dzięki dystopii Brookera mamy do dyspozycji DeLoreana, którym możemy przenieść się do świata naszej starości, spojrzeć na samych siebie z boku, rozłożyć ręce nad swoją bezkrytyczną akceptacją życia w sieci oraz jego sztucznymi

konsekwencjami i wrócić, przejść, do terażniejszości. Wszystko po to, by wziąć się do roboty i nie pozwolić, żeby nasza lekkomyślność podsunęła kolejnemu Biffowi Tannenowi łatwy sposób na zrujnowanie życia nam i wszystkim dookoła.

Czarne lustro, tak jak zapowiada tytuł serialu, to odbicie naszej rzeczywistości. Nie ocenia jej, nie moralizuje, nie podaje rozwiązań. Nie wygraża palcem. Przystawia krzywe zwierciadło, owszem, ale zawsze pozwala nam rozpoznać się w postaci bohatera. Jak w każdej satyrze, pozwala sobie przedrzeźniać, wyolbrzymia wady i braki – a mimo to nasza twarz wciąż jest wyraźnie widoczna.

Wiemy, że stoimy w obliczu poważnego problemu dotyczącego zarządzania danymi osobowymi, jesteśmy świadomi, że powierzamy całe nasze życie czarnym skrzynkom zrobionym z kodów i znaków, których nie rozumiemy, że mylimy CEO internetowych gigantów z głowami państw, a ich kulturowy i technologiczny kolonializm bierzemy za filantropię i wizjonerstwo. Potrafimy wyrazić się na tysiąc różnych sposobów, tak jak potrafimy lepiej zjednoczyć się w nienawiści i wymuszaniu, w głuchym konformizmie maskującym się za kilkoma linijkami postu lub tweeta kopiowanego niezliczoną ilość razy każdego dnia. Być może pocujemy na plecach dreszcz niepokoju, kiedy usłyszymy o kolejnej dyscyplinie sportowej lub profesji, w której maszyna pokonała człowieka. Tak naprawdę to jednak fantazja nadaje kształt wszystkim naszym obawom i całej świadomości. *Terminator*, *Łowca androidów*, *Robocop*. Dołączmy do tego jeszcze *Hokuto no Ken*, *Ghost in the Shell* czy *Akirę*. Czym byłby upadek ludzkości bez spojrzenia wszystkich tych artystów kontemplujących zmierzch naszej cywilizacji?

Dlatego też sukces, jaki odniosło *Czarne lustro*, był dla mnie zawsze zarówno niezwykły, jak i naturalny. Opinia publiczna od dłuższego czasu dojrzewała do wniosku, że za doborem wyszukanych słów propagandy z Doliny Krzemowej (chmura, Big Data, *blockchain*, media społecznościowe) ukrywa się o wiele groźniejsze słowo: władza. Wciąż jednak brakowało kogoś, kto mógłby przekształcić tę obawę w opowieść, ludzi w bohaterów, a technologie w katalizatory zdolne przyspieszyć, wraz z nastaniem postępu, napływ niedorzeczności, których doświadczymy jako jednostka i jako zbiorowość – tych samych, które już dziś powinniśmy dostrzec i sprawić, by rachunek zysków i strat został sporządzony nie tylko przez głównych bohaterów spektaklu, ale i przez ich publiczność.

Zignorowanie pewnych symptomów mogłoby być fatalne w skutkach – co, jeśli zanim się obejrzymy, zapadnie ciemna noc, a my pozostaniemy bez latarki i mapy? Równie błędne, a w dodatku niesprawiedliwe, byłoby oczekiwanie, że karykatura będzie wiernym odwzorowaniem rzeczywistości. Czy też, poza nawiasem metafory: nie możemy oczekiwać, że to *Czarne lustro* i jemu podobne twory wyznaczą zarysy alternatywnej rzeczywistości prowadzącej nas ku katastrofie. Nawet jeśli satyra jest odrobinę bardziej łaskawa niż to, z czego się naigrywa, to nie wystarczy, by się temu sprzeciwić: potrzebna jest polityka, wiele uprawnień i złożony całokształt procesów – formalnych i nieformalnych – nierozłącznie związanych z demokracją.

Po „spekulatywnym ruchu oporu” nastaje ruch oporu – i tyle. Również tym przypadku przydaje się ostrożność w wyobrażaniu sobie przyszłości. Nie jest przecież powiedziane, że wszystko to, co w naszych przewidywaniach zapowiada się ponuro i złowieszczo, musi koniecznie przybrać koślawą formę; wciąż jednak możemy swobodnie zakładać najbardziej fatalistyczną wersję, najgorsze, co może powstać z sumy wszystkich diabolicznych urządzeń, wszystkich ludzkich i technologicznych manipulacji, stuprocentowo pewnych i kuszących nadużyć prezentowanych w kolejnych odcinkach serialu, w każdej z tych karykatur przyszłości w miniaturze.

Dystopia nie musi niszczyć. Może za to być źródłem nadziei. Lekarz, który potrafi przewidzieć rozwój choroby, zamiast tylko ograniczać się do jej leczenia, z większym prawdopodobieństwem zdoła ocalić życie pacjentowi. Nie tylko: jeśli usłyszemy sygnał alarmowy z odpowiednim wyprzedzeniem, chorobę można zdusić w zarodku, a nasz organizm ma szansę wytworzyć przeciwciała.

Właśnie dlatego *Czarne lustro*, jak każda inna dystopijna narracja, która tak znakomicie zdołała uchwycić pewne aspekty rzeczywistości i przekuć je w satyrę, to forma „spekulatywnego ruchu oporu”. To most przerzucony pomiędzy starą utopią – która okazała się ogólnikowa i niedokładna i w której sieć miała być za wszelką cenę demokratyczną i demokratyzującą przestrzenią – a możliwością istnienia jej nowej, lepszej formy, przekształconej na podstawie tego, czego zdołaliśmy się nauczyć.

Jeśli pomocna miałyby okazać się nowa utopia, alternatywna wizja lub system, to jest szansa, niewielka i odległa, że znajdziemy ją hen za jałową przestrzenią dystopijnej pustyni.

A koniec okaże się nowym, prawdziwym początkiem.

Oby tylko warunkiem nie okazała się konieczność poświęcenia wszystkiego tego, co mamy i czym jesteśmy w naszej teraźniejszości. Nie należałoby na przykład porzucać wszelkich projektów dotyczących e-demokracji, byle tylko nie dopuścić do sytuacji, w której mały lub duży odpowiednik Walda mógłby sięgnąć po władzę nad światem, fałszując wyniki kilku internetowych referendów z rządu. Wystarczy podkreślić różnicę pomiędzy decyzją wyrażoną jednym kliknięciem a wyborem, który wymaga nieco dłuższego i bardziej złożonego procesu decyzyjnego i tym samym lepiej pasuje do demokratycznej idei.

Taki wybór jest oczywiście możliwy również za pomocą platformy cyfrowej – a często okazuje się łatwiejszy: sprawdzamy, jakie opcje wchodzi w grę, dokładamy swoje trzy grosze, by nieco je zmodyfikować, lub proponujemy własne rozwiązania, dyskutujemy z tymi, którzy mają odmienne zdanie, angażujemy się aktywnie i z rozważą, aż wreszcie oceniamy możliwe skutki naszej decyzji. Nie wszystko to, co cyfrowe, jest złe w demokracji, tak jak nie wszystko to, co złe w demokracji, jest cyfrowe.

Powtórzmy to jasno: nie wszystkie miasta *smart* to miasta bezwzględnego nadzoru. Niektóre z nich, jak Barcelona, mają zapisane w swoich statutach wspólne dobro i ochronę podstawowych praw obywateli – za ich sterami stoją kompetentne osoby, o kodeksie etycznym odpornym na scenariusze rodem z *Czarnego lustra*.

Jeśli chodzi o naszych znajomych transhumanistów: dążenie do osiągnięcia życia wiecznego było i będzie niepokojące, lecz dłuższe i lepsze życie nie wydaje się koncepcją budzącą obawy. Postęp i rozwój technologii oraz paranaukowych teorii, w zamyśle szukających sposobu na ostateczne rozprawienie się ze śmiercią, może przynieść wiele rzeczywistych korzyści, przyczynić się do badań i wspierać inwestycje w nowoczesne rozwiązania w medycynie: przekładając się na większą wyleczalność chorób, ulgę w cierpieniach i wydłużenie średniej długości życia. Skorzystają nie tylko transhumaniści – nie taki HYPE^[4*] straszny, jak go malują.

Matka, która nie potrafi zbudować z córką relacji opartej na zaufaniu, a pod jej nieobecność szpieguje ją nieustannie za pomocą tabletu, nie będzie w stanie jej zaufać, nawet kiedy zamknie ją w pokoju i postanowi trzymać tam do chwili, gdy – według siebie tylko znanych kryteriów – uzna, że może pozwolić dziewczynie na pewną niezależność.

A co z przyprawiającą o dreszcz niepokoju sztuczną świadomością? Jeśli kiedykolwiek miałyby się pojawić, nie jest przecież powiedziane, że musiałyby z miejsca stać się narzędziem nadużyć, jak ta przedstawiona przez Brookera. Replikacja umysłu i więzienie go w ciele pluszowej małpki, w naszyjniku lub w plastikowym opakowaniu wirtualnego asystenta, jak w *Czarnym lustrze*, to barbarzyństwo, którego żadna rozsądna istota ludzka nie określiłaby inaczej.

W obliczu tego rodzaju innowacji możemy mieć przynajmniej nadzieję, że z czasem wynalazcom zostaną narzucone pewne – obowiązkowe i egzekwowane prawnie – ograniczenia. Ostatecznie obecność elektrowni atomowych rozproszonych w różnych częściach świata nie doprowadziła do tygodniowej wojny nuklearnej, a fakt, że jesteśmy w stanie wyprodukować śmiertelny gaz w laboratorium, nie oznacza, że rozpyła się go w powietrzu, nie bacząc na konsekwencje. Być może zdołamy również pogodzić się z zagrożeniami związanymi z naszą współczesnością wymagającą ciągłej łączności – dzięki mieszance obywatelskiej odpowiedzialności, zasad i rzeczywistej ochrony praw jednostki, które nawet pomimo nowej scenerii technologicznej niezmiennie obowiązują.

Co więcej, technologiczne dystopie na stałe goszczące w naszej zbiorowej wyobraźni mają niewiele wspólnego z samą technologią i niezmiennie dotyczą człowieka i człowieczeństwa, jednostki i społeczeństwa oraz jego najbardziej zasadniczych aspektów. Biorą pod lupę miłość, więzi społeczne i rodzinne, pracę, możliwość podejmowania decyzji o sobie i sposobie spędzania czasu, a przede wszystkim przyglądają się temu, czego pragniemy oraz dlaczego – z własnej woli czy w wyniku zewnętrznej perswazji.

Narodziny słowa *dystopia* datuje się na 1868 rok, kiedy to zostało ono użyte w brytyjskim parlamencie jako przeciwieństwo słowa *utopia*: „To, co powszechnie zwie się Utopią, jest bowiem często czymś zbyt dobrym, aby być możliwym w praktyce”^[51] – głosił John Stuart Mill, krytykując politykę rządową w kwestii Irlandii, zwłaszcza „dystopistów” czy „kakotopistów”, którzy: „zdają się pragnąć tego, co jest zbyt złe, by znaleźć praktyczne zastosowanie”.

Dzisiaj zmieniło się nasze postrzeganie: dystopia znana nam z filmów, seriali telewizyjnych, komiksów i książek z całą pewnością jest zła, jednak nie można nazwać jej niewykonalną. Z tego założenia wychodzą wszystkie wytwory kultury, które podtykają nam ją pod nos. Zmuszają nas, byśmy raz po raz przeżywali

historie ich nieszczęsnych bohaterów, uwięzionych w technopolitycznych pułapkach, w które wpadają z braku innego wyboru, byśmy przyglądali się podstępnyemu sztuczkom fanatyzmu, tak wiarygodnym, że łatwo wziąć je za naszą własną rzeczywistość.

Dystopia realizuje się dziś na naszych oczach. To dobrze – za każdym razem, kiedy Wielki Brat spogląda na nas ze stron powieści, czytelnik z krwi i kości zamyka książkę i idzie w świat, wiedząc, co nieustająca inwigilacja Wielkiego Brata może dla niego oznaczać. Każdej osobie odurzonej technologicznym opium Nowego Świata odpowiada ktoś bardziej świadomy, do jakiego stopnia jesteśmy uzależnieni od metod alienacji i psychologicznej kompensacji i jak łatwo jest nami manipulować. Każda koszmarna wizja masowej niepłodności – od *Ludzkich dzieci* po *Opowieść podręcznej* – przypomina o statystykach odnotowujących spadek urodzeń w krajach rozwiniętych. Pojawia się przy tym przynajmniej jedno pytanie: czy to naprawdę postęp wpływa negatywnie na tak elementarną funkcję żywej istoty, jaką jest rozmnażanie, zapewnienie bezpieczeństwa i ciągłości genetycznej w podstawowej jednostce społecznej – rodzinie?

Tym samym trudno jest dopuścić do siebie myśl, że któregoś dnia to algorytm będzie wybierał nam przyszłego partnera lub partnerkę; z pewnością jednak żaden widz *Czarnego lustra* nie zaloguje się na portalu randkowym z taką samą naiwnością...

Mill instynktownie miał rację: pewna doza złych zamiarów wydaje się zbyt duża, by zastosować je w praktyce, nawet w naszym świecie. Ale i tak robią na nas ogromne wrażenie, a to, co możemy zrobić, by nie dopuścić do ich realizacji, to przekuć je w obraz, obsadzić aktorów w rolach i napisać scenariusz, który mógłby zrealizować się pośród łatwowiernych obywateli w technologicznej niewoli.

Jeśli uznamy *Czarne lustro* za formę „spekulatywnego ruchu oporu”, dojrzymy w nim potężnego sojusznika dla tych, którzy poszukują innej przyszłości niż ta zaprojektowana przez naukowców z Doliny Krzemowej i dogorywający system tradycyjnych form władzy.

Dla tych, którzy chcą przyszłości pozwalającej na aktywne współuczestnictwo, w której nie dopuszcza się manipulacji, w której żyje się dłużej i lepiej, czy to dzięki hybrydyzacji człowieka z maszyną, czy mieszance naszej rzeczywistości z rzeczywistością wirtualną i rozszerzoną. Przyszłości, w której łatwiej jest

przedyskutować różnice zdań, niż obrzucać się wyzwiskami. W której inteligencja służy prawdzie, a nie kłamstwu, a bogactwo nielicznych rozdaje się tłumom.

Przyszłości, w której postęp postrzega się nie jako mit wrogich zmian – którego dopatrywali się w nim Kraus i Musil – ale jako prawdziwą poprawę warunków ludzkiego życia, na poziomie jednostkowym i kolektywnym.

Czy to nierealny sen? Być może. Z całą pewnością jesteśmy to sobie w stanie wyobrazić, każdy na swój sposób. Kto wie, co by się stało, gdybyśmy poprosili każdego zasiadającego w szkolnej ławie ucznia, by opisał własną wizję przyszłości, autorską wersję jutra na miarę ludzkich potrzeb – w której wciąż zawiera się element fascynującej tajemnicy i obietnicy rewolucji, zapisanej w słowie *jutro*.

Kto wie, ile powstałoby różnych rodzajów niemożliwego, ile praw fizyki zostałyby obalonych, ile społecznych konwencji zostałyby złamanych i rozpisanych od nowa. Ile powstałoby historii, bohaterów, rytuałów.

Któregoś dnia, być może, zdołalibyśmy stworzyć z tego *Czarne lustro* na opak. Nie zaciemnione i nieprzeniknione, ale przezroczyście.

Zwierciadło, w którym można byłoby się przejrzeć i wreszcie z przekonaniem wypowiedzieć te słowa: *nie, to się nie dzieje*. To nie *Czarne lustro*, lecz to, co mamy przed sobą.

Gdzie koniec, tam nowy początek.

POSŁOWIE

CZARNE LUSTRO PRZED CZARNYM LUSTREM

– Witajcie w naszej elektrowni napędzanej siłą ludzkich mięśni.

Prezenterka, Liz Bonnin, jest wyraźnie podekscytowana. Właśnie skończyła mówić, z powagą, skupieniem i wzrokiem wlepionym w kamerę, że do tej pory, na całym świecie, nigdy wcześniej nie przeprowadzono tego rodzaju próby. Otóż autorzy programu telewizyjnego *Bang Goes the Theory* kazali wybudować tuż obok studia BBC1 nowy dom, zaprojektowany specjalnie na potrzeby rodziny Collinsów. Mąż, żona i dwójka dzieci spędzili już w nim pierwszą noc, nieświadomi tego, co ich czeka. Wiedzą, że biorą udział w telewizyjnym eksperymencie, ale nie zdradzono im jeszcze szczegółów.

Razem z widzami odkryją je w tej chwili, podczas transmisji na żywo. W studiu telewizyjnym – minimalistycznym szarym baraku – zainstalowano osiemdziesiąt rowerów stacjonarnych, na których posadzono osiemdziesięciu rowerzystów. Wszyscy ubrani są w jednakowe stroje: czarne spodenki i czerwone T-shirty. Pedalują w świetle reflektorów, spoglądając na ekran ustawiony przed ich stanowiskami, na którym w czasie rzeczywistym wyświetla się obraz z kamer zainstalowanych w każdym kącie domu państwa Collinsów.

Do widzów zaczyna docierać, że mają do czynienia z czymś na pierwszy rzut oka przypominającym reality show – a jednak zupełnie innym. Dlaczego, zastanawiają się, dziesiątki osób mają pedałowac, wpatrując się w ekran?

– Cóż, odpowiedź jest prosta – odzywa się głos zza kadru. – Żyjemy w epoce, w której tyle słyszemy o globalnym kryzysie energetycznym. Wszyscy domagamy się elektryczności, w takich ilościach, że nawet się nad tym nie zastanawiamy. W związku z tym, że jej nie widzimy, bierzemy ją za coś oczywistego. Dlatego też chcieliśmy w prosty sposób pokazać, ile wysiłku wymaga jej produkcja.

I tu z pomocą przychodzi magia telewizji: dom państwa Collinsów został odłączony od sieci elektrycznej i podłączony do generatora prądu wytworzonego przez obracające się koła osiemdziesięciu rowerów napędzanych przez „ludzi dynamo”. Czy można lepiej uświadomić nam problem ilości zużywanej przez nas

energii, niż obrazując, ile wysiłku kosztuje jej wytworzenie? Kiedy otwarte drzwi do lodówki oznaczają złane potem plecy i twarze wykrzywione w grymasie – trudno nie zrozumieć przekazu.

Przewidziany czas trwania eksperymentu to „dwanaście długich i wyczerpujących godzin”. Osiemdziesięciu rowerzystów powinno wystarczyć, wedle obliczeń ekspertów programu, do wytworzenia wystarczającej ilości energii, żeby zapewnić normalne wykonywanie codziennych czynności. Państwo Collinsowie, nieświadomi tego, że właśnie stali się królikami doświadczalnymi w dziwnym manifeście ekologów, wstają z łóżek, robią śniadanie, biorą prysznic – robią to, co wszystkie inne rodziny po przebudzeniu. Każdy ich ruch wymaga jednak nakładów energetycznych. Oho, włączyli toster, pedału mocniej! Czas na odkurzacz, musimy dospawać do peletonu!

Wytrzymałość naszych bohaterskich rowerzystów zaczyna się kruszyć w okolicach popołudnia z powodu ekwiwalentu (pod względem nakładów zużytej energii) górskich wyścigów kolarskich – otóż rodzina wpada na pomysł upieczenia kurczaka na obiad. W domu wywała korki, a jego mieszkańcy zastanawiają się, co u licha się dzieje. Są bezradni, aż w końcu jeden z prezenterów, jak to bywa w klasykach reality show, wpada nagle do ich domu, po czym prowadzi ich do studia, przed kamery.

Spójrzcie tylko, wyjaśnia z uśmiechem, te osiemdziesiąt osób produkowało energię, którą trwoniliście na prawo i lewo, zostawiając niezakreślony kran z lejącą się gorącą wodą, włączony telewizor, którego nikt nie oglądał, i tak dalej. Państwo Collinsowie za wiele z tego nie rozumieją – dociera do nich tylko tyle, że z bohaterów odcinka w mgnieniu oka zmienili się w czarne charaktery programu. Jest już jednak za późno. Telewizja-demaskatorka grozi im swoim moralizującym palcem, a ich dręczą wyrzuty sumienia. Widzowie przeżywają katharsis, spływa na nich oczyszczająca świadomość.

Dobrodusznej rodzinie z Cheltenham w hrabstwie Gloucestershire nie pozostaje nic innego, jak poddać się pokucie: czas na podwieczorek, sugeruje roześmiana prezenterka. Teraz nadeszła kolej Collinsów, którzy będą musieli pedałować, by pozwolić rowerzystom w spokoju cieszyć się popołudniową herbatką.

Na ostatnich stronach arcydzieła z 1985 roku, *Zabawić się na śmierć*, badacz mediów Neil Postman opisuje paradoksalną prawdę. W trafnej kulturoznawczej

krytyce ekosystemu medialnego w dobie telewizji wytyka mu niezliczone wypaczenia. Na pięć stron przed zakończeniem pisze: „Lepiej wyszlibyśmy na tym, gdyby telewizja stawała się coraz gorsza, a nie lepsza”^[52].

Czytelnik może poczuć się co najmniej zaskoczony jego słowami. Istnieje jednak ku temu wytłumaczenie.

Telewizja, dodaje Postman, w swojej najbardziej niewinnej formie oferuje nam „śmieciową rozrywkę”, staje się zaś groźna, kiedy „łączy poważne formy dyskursu – programy informacyjne, politykę naukę, edukację, handel, religię – i przekształca to wszystko w pakiety rozrywkowe”^[53]. Jeśli jak pisze genialny George Saunders, taki system medialny działa na zasadzie „megafonu miałkich mózgów”, coraz głośniejszej i coraz bardziej ingerującej w każdy możliwy tok rozumowania tuby, lepiej byłoby, gdyby jej donośne słowa pozbawione były znaczenia. W przeciwnym razie mogą wyrządzić prawdziwą szkodę.

Jak choćby przekształcić rzeczywistość w fikcję, w reality bądź talent show, telewizyjny format. Pomieszać to, co prawdziwe, prawdopodobne i zmyślane. Tworzyć oraz niszczyć aspiracje i pragnienia, pozostawiając poczucie nieutulonego żalu płynącego z tego, kim jesteś i kim mógłbyś być, gdybyś choć trochę przypominał pięknych celebrytów zamieszkujących wnętrza kineskopu.

To nie wszystko. Telewizja może zamknąć cię w świecie uprzedzeń, które zwyczajnie potwierdzają wszystko to, co wiesz. Może sprawić, że zaostrzą się twoje ekstremistyczne opinie, oduczyć cię umiejętności dyskusji, argumentowania i odróżniania faktów od opinii.

Czyż nie obiecywała, że raz na zawsze wyleczy nas z samotności?

To właśnie z jej świata złamanych obietnic wziął się Charlie Brooker. Tych samych, które dzisiaj przypisujemy rzeczywistości mediów społecznościowych, algorytmów, sił napędowych rewolucji przenoszących nasze życie do sieci i automatyzujących świat. Kochamy odnajdywać ich ślady w *Czarnym lustrze*, uwielbiamy zastanawiać się, czy nie spędzamy zbyt dużo czasu przed ekranem naszego telefonu, czy nie jesteśmy od niego uzależnieni, czy godzenie się na każdą możliwą teorię ewolucji Facebooka nie zaszczepi w nas nieuleczalnej agresji, nieudolności i stałego poczucia oburzenia.

Wystarczy spojrzeć na dorobek artystyczny twórcy *Czarnego lustra*, żeby zrozumieć, że złote lata Brookera przypadają na erę dominacji telewizji, jeszcze

sprzed czasów Internetu.

Mały ekran to w dalszym ciągu ekran. Choć nie ma już monopolu i spadł nieco z piedestału, to właśnie dlatego jest w stanie lepiej zakamuflować swoją władzę. Dziś telewizja wciąż jest głównym źródłem informacji, jedynym prawdziwym czynnikiem łączącym coraz bardziej wewnętrznie podzielone i rozbite społeczności, zamknięte w klastrach swoich zainteresowań i pasji. Nie zastanawiamy się już, co tworzy część kultury popularnej, a co nie, jakie tendencje wstrząsają całym organizmem społecznym, a jakie są nam narzucone przez władze.

Dziś jednak o negatywnym wpływie telewizji mówi się mniej niż o konsekwencjach korzystania z sieci społecznościowych. Brooker, ze swoim polemizującym nastawieniem i ciekawością obserwatora, dostrzegł głębokie wspólne korzenie obu tych zjawisk i zdołał wykorzystać naukę płynącą z lat pisania scenariuszy dla telewizji i recenzowania programów. Stworzył swoją własną wersję telewizji.

Z tego powodu wspomniany odcinek *Bang Goes the Theory* przypomina do złudzenia historię Binga Madsena i jego próżnego pedałowania w *15 milionach*. W gruncie rzeczy potępia tę samą przesłankę: *moralną zasadność* przekształcania ludzi w generatory prądu i przedstawiania tego jako niewinnej zabawy.

Jeśli w rzeczywistym świecie akceptujemy takie zasady reality show, nic dziwnego, że obywatele automatycznie wchodzą w rolę widzów lub statystów. Od teraz możemy ich upokarzać i deprecjonować ich człowieczeństwo w imię sukcesu programu lub zwyczajnie dlatego, że tak nakazuje scenariusz.

To wciąż pomniejszy cel. Głównym celem, podpowiada Brooker, nie jest to, co widzimy na ekranie, ale *sam ekran*. „Jeśli chcecie wiedzieć, jaka będzie przyszłość – pisał w sierpniu 2009 roku na łamach „The Guardian”, parafrazując słowa klasyka literatury dystopijnej – wyobraźcie sobie ekran sikający luminoforem na ludzką twarz, już zawsze”^[54]. Zanim jeszcze zaczniemy się rozwodzić nad wspaniałością medialnego systemu wydalania moczu, powinniśmy raczej zdać sobie sprawę, że – co by nie było – siki to siki.

Na dwa lata przed powstaniem *Czarnego lustra* Brooker sygnalizował poczucie *inwazji ekranów* – do tego stopnia, że w pewnym momencie skomentował prowokacyjnie: gdybyśmy niespodziewanie zobaczyli krowę przechodzącą przez ulicę, w pierwszym odruchu zrobilibyśmy jej zdjęcie telefonem – tak jakby dopiero

na ekranie mogła nabrać sensu, stać się zrozumiała. „Ach, zdaje się, że to jakieś zwierzę. Teraz, gdy mam je na ekranie, już rozumiem”.

Jak to się mówi? Jeśli nie ma tego na Facebooku, to się nie stało – i tyle.

Social, or didn't happen.

Brooker na samym początku swojej kariery recenzował gry komputerowe, lecz jako krytyk telewizyjny i komentator mediów zwrócił na siebie uwagę szerszej publiczności. W 1999 roku zakłada swoją stronę internetową, TvGoHome, na której zamieszcza tytuły i opisy nieistniejących programów telewizyjnych, przedrzeźniając brytyjskie środowisko medialne z końca ubiegłego tysiąclecia. W krótkim czasie przyciąga grono stu tysięcy czytelników miesięcznie – a skala sukcesu jest tak duża, że zlepki fragmentów z jego *fake shows* trafiają na antenę w programie telewizyjnym pod tym samym tytułem.

Daily Mail Island, jedna z propozycji Brookera, to reality show, w którym grupa całkowicie normalnych osób zostaje zesłana na bezludną wyspę. Ich jedyny kontakt ze światem zewnętrznym zachodzi poprzez lekturę brytyjskiego tabloidu konserwatywnej prawicy – „Daily Mail”.

Sytuacja jest oczywiście groteskowa i karykaturalna, ale świetnie odzwierciedla rzeczywiste i współczesne problemy. W miarę upływu czasu u wyspiarzy pobudzonych pełnymi wściekłości nagłówkami dziennika rozwijają się skrajne poglądy i różnego rodzaju uprzedzenia. W pierwszym odcinku gej, otoczony przez wojujących heteroseksualistów, zaczyna wstydzić się swojej orientacji i dochodzi do wniosku, że jest chory i powinien się leczyć. W drugim uczestnicy postanawiają zakazać używania korków do butelek z domniemanych względów bezpieczeństwa. W konsekwencji dochodzi do wybuchu rewolucji, do której nawołuje jeden z bohaterów, przekonany, że podporządkowanie się nakazowi oznaczałoby dla niego rezygnację ze swoich wartości i tradycji – oraz z własnej tożsamości.

Brooker, który powiedział kiedyś, że zagłosowałby na torysów „z bardzo ciężkim sercem” i tylko jeśli jedyną alternatywą byłiby naziści, pokazuje skutki bardzo aktualnych zjawisk. Polaryzacja opinii i zachowań wiąże się z przynależnością do mikroświata zbudowanego wedle przykazań jednej tylko ideologii – w związku z tym zamykamy się w „bańce filtrującej”, czyli pozwalamy, by docierały do nas fakty i opinie, które zwyczajnie potwierdzają to, w co

nauczyliśmy się wierzyć. Autor serialu posługuje się telewizyjną metaforą – nie buduje jej na podstawie social mediów, lecz sens pozostaje wciąż taki sam.

Fantazja Brookera nie zna granic – puszcza jej wodze w programie, który zapowiada jako „zakulisowe sekrety opery mydlanej rozgrywającej się za kulisami opery mydlanej”. W innym skończony nerd nieodnoszący nawet minimalnych sukcesów u płci przeciwnej w niewytłumaczalny sposób podrywa piękną młodą kobietę. Niestety, odkrywa, że w rzeczywistości jest ona aktorką zatrudnioną przez program telewizyjny: *Boom! Goes Lover Girl*, nadawany tylko po to, by wyśmiewać frajerów takich jak on. „Wszystko, co ci powiedziała, było kłamstwem” – wyjaśnia prezenter pomiędzy napisami końcowymi, a publiczność w studiu wyje w ekstazie. „Równie dobrze mogłeś zakochać się w lalce. Tak naprawdę ona cię nienawidzi” – dodaje, a dziewczyna ze złośliwym uśmiechem dokłada swoje trzy grosze, skandując razem z publicznością: „frajer, frajer!”. Program zamyka wywiad z matką nerda, która oznajmia, nie zdradzając żadnych emocji: „Moim zdaniem *Boom! Goes Lover Girl* go zabije”.

Umysł Brookera od lat stąpał po coraz cieńszej linii pomiędzy rzeczywistością a telewizyjną fikcją i zaznał spokoju dopiero w 2010 roku, kiedy dotarło do niego, że jego wymysły zaczynają się dezaktualizować – wtedy to odkrył program *Touch the Truck*, którego uczestnicy muszą dotykać ciężarówki, nie odrywając się od niej przez 24 godziny. Wygrywa ten, który odklei się od niej i opadnie bez sił jako ostatni. Czy na tym etapie można wyobrazić sobie coś więcej?

Brooker postanawia zająć się krytyką z prawdziwego zdarzenia, a w 2011 roku kręci sześcioodcinkowy dokument pod tytułem *How TV Ruined Your Life*, w którym telewizyjne nadużycia nie są prześmiewczym wymysłem, ale pochodzą z rzeczywiście nadawanych programów. Wciąż można się pośmiać, choćby miał to być gorzki śmiech, lecz każdy odcinek przekazuje precyzyjny komunikat obnażający katastrofalne skutki telewizyjnego ogłupienia. Jego ofiarą może paść każdy z nas – już przekaz samej czołówki jest ostrzeżeniem: mężczyzna, niczym niewolnik noszący kamienie do budowy piramidy, targa na plecach ogromny telewizor, przypięty do niego ciężkim łańcuchem, którego nie sposób zerwać. Zniszczone budynki, cmentarz porzuconych teleodbiorników i niebo zanieczyszczone chmurami pyłu – postapokaliptyczny krajobraz sugestywnie podpowiada, co się stanie, jeśli pozwolimy rządzić właśnie jej, telewizji.

To scenariusz, który może się sprawdzić, jeżeli to telewizja nadal będzie nam dyktować, czego należy się bać, i będzie nas przekonywać, że bać należy się zawsze, pokazując świat stale balansujący na krawędzi płomieni i chaosu – pomimo coraz liczniejszych badań udowadniających, że teraźniejszość, w ujęciu całościowym, to nieporównywalnie najszcześniejsza pod względem dobrobytu i perspektyw życiowych epoka, w której przyszło żyć ludzkości.

To scenariusz możliwy, kiedy telewizja nadal będzie kierować naszymi krokami na życiowych ścieżkach – już w noworodkach dopatrując się źródła dochodu, protekcyjnie lub nienawistnie traktując młodych, w dorosłych nieustannie doszukując się niedoskonałości, której można byłoby się pozbyć wyłącznie poprzez konsumpcję, a swoich najstarszych widzów zmieniając w pacjentów, których uwagę należy odwrócić, podczas gdy zasiadają w poczekalni do śmierci.

Kiedy nadal będzie nam dyktować, jak się kocha, pragnie i marzy, niczym „maszynka do napędzania zawiści” i narcyzmu – na długo zanim Instagram, Snapchat i Facebook zdołały ją zautomatyzować i spersonalizować.

Telewizja to megafon miałkich mózgów Saundersa, zdolny w gruncie rzeczy do rozsiewania nedorzecznej propagandy i ciągłego zapowiadania postępu, który nigdy nie nadejdzie.

– Telewizja obiecała nam, że postęp zmieni wszystko – mówi Brooker w jednym z nagrań. – Przepowiedziała świat, w którym będziemy się jedynie relaksować przed ekranem, podczas gdy nasi skomputeryzowani niewolnicy będą za nas pracować. Później nastąpiła przyszłość, a to ekrany relaksują się przed nami; my natomiast dzięki nim dyskutujemy, tracimy rozum, desperacko dwoimy się i troimy, byle tylko uzyskać ich aprobatę.

Efekt jest jasny: technologia to dla nas wciąż magiczny świat – równie niezrozumiały, co niezbędny – a nasza uwaga skupiona jest wyłącznie na obsesyjnym nasłuchiowaniu i oczekiwaniu na kolejne „piknięcie”.

W świecie, w którym „doznania prześcigają fakty”, a filmy dokumentalne mieszają rzeczywistość z fikcją, dziennikarstwo z literacką narracją, nie uprzedzając nawet swoich widzów, miejsca na rozum, naukę i postęp – ale prawdziwe – już nie ma. Szukamy ich dzisiaj w wyszukiwarce Google’a, na Twitterze i Facebooku, ale z trudem zdajemy sobie sprawę, że to zakorzenione w oświeceniu pragnienie wyparowało już dawno temu, na długo jeszcze zanim media społecznościowe dorzuciły nowe, sprytnie sposoby manipulacji opinią

publiczną i zmuszania każdej jednej istoty ludzkiej zamieszkującej naszą planetę do klikania raz po raz: *odśwież*.

„Idioci są na prowadzeniu” – twierdził Dan Ashcroft, jeden z bohaterów *Nathan Barley*, serialu, dzięki któremu Brooker przyczynił się w 2005 roku do zdefiniowania stereotypu hipstera i skomplikowanej estetycznej i (para)kulturowej formacji z londyńskiego East Endu, narosłej wokół szaleństwa nowych mediów na początku tysiąclecia.

„Idioci to niewolniczy konsumenci zainteresowani wyłącznie sami sobą i obdarzeni wyjątkową tendencją do zapominania o paradoksie swoich jednakowych indywidualizmów”. Wyobrażając sobie smartfona jeszcze przed jego powstaniem, a zanim YouTube ujrzał światło dzienne, opowiada o perypetiach mikroświata vlogów. Brooker zdaje się wyprzedzać o krok aktualną debatę nad przyczynami kulturowej hegemonii nieuków, barbarzyńców, bezceremonialnych prostaków, *wyjątkowych* – a w rzeczywistości jednakowych.

Z jakichś powodów Brooker szuka przyczyn tego zjawiska w naszym stosunku do mediów. Równolegle, wraz z pojawieniem się sieci społecznościowych, media mają zmienić się raz na zawsze – a jednocześnie nie zmienić się wcale.

Charlton Brooker urodził się w 1971 roku w Brightwell-cum-Sotwell, miejscowości liczącej niewiele ponad 1500 mieszkańców, znajdującej się na południe od Oksfordu. Należy do pokolenia, które było świadkiem końca zimnej wojny. Bardzo młody Brooker zapamiętałe wpatruje się w apokaliptyczne widowiska telewizyjne namiętnie przedstawiające koszmary nuklearnej zimy – ta trauma pozostanie w nim na długo. W wielu wywiadach wyznaje, że najprawdopodobniej to jedno z nich, *Threads*, zrodziło w nim nieustającą obawę przed końcem świata i przyszłością, w której zrealizują się scenariusze przedstawione w *Czarnym lustrze*.

Charlie dorasta na wsi, ale ekrany nie przestają go fascynować. Jak wszyscy swoi rówieśnicy, ma okazję świadomie przeżyć nie jedną, a dwie rewolucje technologiczne: tę dotyczącą sieci oraz tę związaną z grami komputerowymi. W końcu zaczyna pracować jako recenzent gier, pisze w dziś już nieistniejącym magazynie „PC ZONE”, dla którego rysuje również satyryczny komiks *CyberTwats* – już tam wyczuwa się pierwsze oznaki jego krytycznego nastawienia, które wkrótce ujawni się w pełni.

Brooker studiuje komunikację, porzuca jednak studia przed obroną. Na swoje usprawiedliwienie opowiada, że napisał pracę o bezdyskusyjnie sławnym Jeżu Sonicu z japońskiego studia Sega, ale nie zdołał nią przekonać komisji: „Opisałem Sonica w dwudziestu pięciu tysiącach słów – byłem sobą, nikogo nie udawałem” – oświadcza w wywiadzie dla „Financial Times”^[55]. Kolegium Uniwersytetu w Westminsterze nie doceniło jego wysiłku i poleciło mu przedstawić alternatywną pracę w ciągu siedmiu lat.

Małymi krokami Charlie pnie się po szczeblach kariery w telewizji. Tworzy *Nathana Barleya*, *TvGoHome* oraz *W domu zombie*, serial rozgrywający się za zamkniętymi drzwiami domu Wielkiego Brata – jego mieszkańcy żyją nieświadomi plagi, która dotknęła Wielką Brytanię. Tajemnicza zaraza sprawia, że Brytyjczycy zmieniają się wygłodniałe zombie, które powoli, lecz nieuchronnie zbliżają się do drzwi domu, aż wreszcie przechodzą przez próg, zarażają wszystkich obecnych, po czym wchodzi w posiadanie całego studia telewizyjnego, z którego nadawany był program. Finał serialu jest jak teatralny gest pożegnania światowych mediów, nadających transmisję *live* z domu dla publiczności złożonej wyłącznie z żywych trupów.

Tak jakby obnażające i wszechwidzące oko telewizji nie mogło się zamknąć nawet w obliczu braku widzów. Saunders by się roześmiał – trudno o lepszy megafon miałkich mózgów...

Brooker ani na chwilę nie zbacza z wybranej przez siebie ścieżki, jest jej wierny również na łamach „The Guardian”, gdzie otrzymuje swoją kolumnę. Do tego tworzy serię programów, w których analizuje zawartość serwisów informacyjnych. Fragment jednego z nich, *Newswipe*, w 2010 roku wspina się na wyżyny hitów YouTube’a, naliczając w kilka dni 75 tysięcy wyświetleń i zbierając ponad 7400 ocen.

We właściwym sobie prześmiewczym tonie definiuje się jako „skrzyżowanie białego Laurence’a Fishburne’a, morsa-pedofila i gderliwej golonki”. Polemizuje, kiedy tylko ma okazję, tworzy, co tylko przyjdzie mu do głowy. Na dwa lata przed premierą Google Glass, niczym wstęp do historii o „pasożytach” w *Ludziach przeciw ogniewi*, wymyśla okulary do rozszerzonej rzeczywistości, sprawiające, że otaczający nas bezdomni i biedni znikają z pola naszego widzenia, zastąpieni przez postacie z kreskówek. Niemoralne – oburzają się krytycy. Być może, ale „zignorowalibyśmy również krytyków – nasze oprogramowanie ich przefiltruje,

sprawiając, że znikną w tej samej chwili, kiedy postanowią otworzyć usta”. Ban w prawdziwym życiu, niczym w przerażającym odcinku świątecznym *Czarnego lustra*.

W innym felietonie wyobraża sobie dystopijną powieść, w której ktoś odkrywa, że sygnał wi-fi powoduje obumieranie mózgu, wyciągając z niego każdą emocję, aż w końcu stajemy się całkowicie obojętni, niczym żywe trupy z *W domu zombie* lub widzowie, którzy z telefonem w ręku filmują lub godzą się beznamiętnie na każdy rodzaj koszmaru rodem z *Czarnego lustra*.

Niektóre koncepcje Brookera odzwierciedlają naszą aktualną kondycję, dobę postprawdy: „To ta sama rozwarstwiająca się żywa tkanka, z której zbudowana jest nasza rzeczywistość. Nawet samemu językowi trudno jest dziś zaufać”. Zbudowany jest z niej populizm – politycy „robią to, na co mają ochotę”, „wyeliminowali nas z dyskusji”, „nie mówią nawet naszym językiem”. Ledwo do nich dociera, że w ogóle istniejemy, pisze, przepowiadając pojawienie się Walda i kwestię odrealnienia współczesnej polityki. „Jesteśmy mrówkami w ich ogrodzie, bakteriami w ich odchodach. Żywią do nas wyłącznie wstręt”. Tak, nieprzypadkowo można odnieść wrażenie, że wypowiada się ten sam błękitny awatar.

Z upływem lat zdarza mu się zajmować sprzeczne ze sobą stanowiska. Jako ofiara dyskretnego uroku dezintermediacji – bezpośredniości mediów i informacji – wychwala „wyrównującą” funkcję sieci; niedługo później dochodzi do wniosku, że jednak nie zasługuje ona na nasze zaufanie. Łasy na nowinki technologiczne powtarza, że: „płacze za czasami, kiedy wszystko było nudne”. Potępia imperium algorytmów, jego dominację nad człowiekiem i nadmiar treści online, nawołując, by ktoś lub coś, *jakiś algorytm*, wybrał te odpowiednie dla niego.

Brooker to autor z zacięciem komicznym, który nie znosi słowa *satyra*, twórca science fiction, który nie czyta fantastyki, cyniczny ekstremista, który w prawdziwym życiu, wyznaje, ma umiarkowane poglądy, jest uprzejmy i obrzydliwie słodki.

Czarne lustro przejawia tego samego rodzaju sprzeczności – to otwarcie „ostrzegawczy” i jednocześnie „dodający otuchy” serial, darujący sobie wygrażanie palcem, choć pełen moralnych dylematów; przepelniony wszędobylską technologią rodem z koszmaru, mimo że jego autor wcale nie uważa technologii za koszmar.

– Technologia raczej nie wzbudza we mnie strachu – mówi Brooker mimochodem. – Uważam, że to coś wspaniałego. Bardziej boję się wojny, nietolerancji i zmian klimatycznych. Za dużo czasu spędzamy przed ekranami naszych smartfonów? – dodaje. – A gdzie tam! To właśnie technologia pomoże nam rozwiązać prawdziwe problemy tego świata.

Paradoksalnym wypowiedziom Brookera towarzyszy jednak pewna stała, fundamentalna prawda na temat naszej współczesności, którą autor zdaje się na wskroś rozumieć. Jest nią tendencja medialna nakłaniająca do udziału w społecznej grze.

W swoim długim filmie dokumentalnym *How Videogames Changed the World* idzie o krok dalej i na szczycie listy najważniejszych gier w historii ludzkości umieszcza jedną z sieci społecznościowych – Twittera. Wychodząc z tego założenia, na nowo odczytuje zasady jej funkcjonowania: „Twitter do gra, którą należy prowadzić w trybie wieloosobowym, lub raczej masowym, w której możesz wybrać odpowiedni dla swojego zawodnika awatar i wejść w rolę osoby, dla której ty sam jesteś odległą inspiracją. Następnie twoim zadaniem jest zdobywanie followersów – aby tego dokonać, musisz naprzemiennie wciskać odpowiednie klawisze, żeby tworzyć interesujące zdania”. Obserwujący i retweety stają się tym samym odpowiednikiem monet i punktów z *Super Mario Bros.* – otrzymujesz nagrody, które prowadzą do kolejnych nagród, te zaś pozwalają przejść na wyższy *level*: ze zwykłych, nic nieznaczących śmiertelników wskakujemy na pozycję influencerów. Gdy nasza ludzka natura ustępuje ambicjom playera, bardziej niż samorozwój liczy się zdobywanie kolejnych poziomów, *upgrade*’owanie – niezbędne, by być odpowiednio przygotowanym, kiedy staniesz twarzą w twarz z bossem na końcu kolejnego poziomu.

Sieci społecznościowe to właśnie ta „supermoc”, do której wciąż nie zdołaliśmy przywyknąć – twierdzi Brooker – ale to właśnie najnowsza (i najbardziej zaawansowana) forma zjawiska *gamingu* jest w stanie przekształcić naszą całą egzystencję w grę na punkty. Zdaniem Brookera doszło do tego „w wyniku błędu” – czy to Zuckerberg, czy zastępy jego strategów nie przewidzieli, że w ten sposób uzależnią nas od nowego masowego narkotyku. A jednak stało się coś zupełnie niespodziewanego – znaleźliśmy się wszyscy wewnątrz gry, w którą gramy, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Dla milionów nieświadomych użytkowników gamifikacja to coś więcej niż zwykła rozrywka – to część ich życia towarzyskiego,

definiująca ich jako jednostkę. W *Czarnym lustrze* już to widzieliśmy – dzieje się tak nieustannie, nie tylko w przypadku Lacie, która próbuje ugruntować swoją pozycję w kręgach społecznych „wysokich czwórek” w odcinku *Na łeb na szyję*.

Brooker, ze względu na swoje eklektyczne doświadczenia, jest w stanie wiarygodnie odwzorować w swoich dziełach rzeczywistą wielowarstwowość świata mediów. Telewizja splata się z siecią i portalami społecznościowymi, wpływając na ich rozwój i pozostawiając im w spadku niektóre cechy wypracowanej przez siebie komunikacji masowej – w tym przypadku cechy całkowicie toksyczne. *Gaming* przebija się do świata szerokiej publiczności i zdomowia się w nim na dobrze, stając się jednym z najbardziej fascynujących i niedocenionych twórczych produktów współczesności – kolejnym sposobem na dodanie atrakcyjności koszmarom i wypaczeniom środków komunikacji, zarówno tych tradycyjnych, jak i bardziej nowoczesnych.

Kiedy dostrzeżemy wielowymiarowość medialnego konstruktów, łatwiej będzie nam się w nim zorientować. Tu znów należy sięgnąć do podręcznikowych słów Postmana, który w swoich „huxleyowskich ostrzeżeniach” pisze, że: „jedynie w gruntownej i niewzruszonej świadomości struktury i skutków informacji, w demistyfikacji mediów należy upatrywać nadziei, że choć w pewnym stopniu uda się nam zdobyć kontrolę nad telewizją, komputerem czy jakimkolwiek innym medium [komunikacji]”^[56].

Brooker działa w imię tej myśli na każdym etapie swojej kariery: ukazuje dynamikę manipulacji i propagandy, spektakularyzację i ostracystyczne potępienie możliwe dzięki środkom komunikacji masowej. Wszystko po to, by zerwać medialne i technologiczne łańcuchy krępujące jednostkę, przywrócić jej centralną pozycję, na którą zasługuje. Zdołał tego dokonać dzięki telewizyjnej „parodii” – metodzie odrzucanej przez Postmana ze względu na jej naturę, podlegającej jednak przecież tym samym nagannym prawom telewizji, która poszukuje jak najszerzej publiczności poprzez banalizację i przesadę.

Brooker, usadowiony wygodnie na kanapie przed ekranem, spławiłby go pewnie w ten sam sposób, w jaki żegna swoich widzów na koniec każdego odcinka: „Do zobaczenia następnym razem, a teraz *go away*”.

OD WYDAWCY POLSKIEGO

Czarne lustro Charliego Brookera jest serią wyjątkową na wielu płaszczyznach i, jak udowadnia autor tej książki, pomysły twórców są świetnym materiałem wyjściowym do dalszych analiz. Analiz, które w przeciwieństwie do klasycznych dzieł SF nie wybiegają w bardzo odległą przyszłość, ale odnoszą się do obecnie rozwijanych technologii i ich społecznych następstw. Niektóre technologie już istnieją, inne nie, ale łatwiej jest sobie wyobrazić wdrożenie w niedalekiej przyszłości jeszcze za naszego życia rozwiązań prezentowanych w serialu Brookera niż np. wynalazków rodem ze *Star Treka* z teleportacją ludzi czy statkami kosmicznymi przekraczającymi prędkość światła na czele. To dlatego *Czarne lustro* jest tak niepokojące, a dyskusje o nim pełne emocji i ekscytacji.

Zważywszy na fakt, że seria nadal jest kontynuowana – niedawno mieliśmy premierę piątego sezonu, a pod koniec 2018 roku Netflix zaprezentował interaktywny epizod *Czarne lustro: Bandersnatch* – autor książki nie miał szansy odnieść się do wszystkich odcinków. To posłowie starać się będzie choć trochę wypełnić tę lukę, ale w tym miejscu chciałbym zastrzec, może nazbyt asekuracyjnie, że tekst ten nie powinien być czytany jako pełnoprawna i wszechstronna analiza; piszę tych kilka akapitów z pozycji fana, a nie profesjonalnego badacza tekstów kultury czy futurologa. Nie streszczam też bardzo dokładnie każdego odcinka z osobna, bo zakładam, że czytelnik tej książki zna je bardzo dobrze.

Zarówno *Bandersnatch*, jak i cały piąty sezon stoi, według mnie, na przyzwoitym poziomie, ale w tym krótkim zestawieniu zaprezentuję kolejne epizody w kolejności moich subiektywnych zachwyty; zaczynam od tych, które najmniej mnie ujęły, aby na końcu przejść do ulubionego.

Zaczynam zatem od *Bandersnatcha*, odcinka, który po emisji w grudniu 2018 roku został okrzyknięty nową jakością w telewizji, bo dawał widzowi możliwość wyboru ścieżki, jaką mógł podążać główny bohater – Stefan Butler, młody programista tworzący grę dla znanego studia w 1984 roku. Warto dodać, że gra była zainspirowana powieścią *Bandersnatch*, której autor popadł w szaleństwo.

W praktyce wygląda to tak, że możemy sterować poczynaniami Stefana, decydując się na jedną z dwóch opcji na dole ekranu; czasem są to proste wybory, np. które płatki śniadaniowe ma zjeść, a czasem trudne lub kompletnie absurdalne: w jednej ze ścieżek mogłem wybrać uświadomienie Stefanowi, że jest bohaterem interaktywnego filmu na platformie Netflix, by móc oglądać jego obłąd pomieszany ze wściekłością. Pomysł na ten rodzaj interaktywności nie jest nowy; krytycy zwracali uwagę, że *Mozaika* Stevena Soderbergha z 2018 roku opierała się na podobnej idei, ale ja cofnę się jeszcze dalej, bo do roku 1984 (sic!), kiedy powstał czeskosłowacki serial *Przygody Świętopelka Kuraczka* z niezapomnianym Josefem Dvořákem w roli tytułowej. Swego czasu, bodaj na początku lat 90., produkcję można było obejrzeć nawet w TVP. Serial opowiadał historyjki z życia wesołego kucharza, którego wybory były wynikiem głosowania publiczności w studiu; w pewnym momencie przerywano daną scenę i tak jak w *Bandersnatchu*, ludzie decydowali, w którą stronę ma podążać fabuła. Oczywiście najważniejszą różnicą była nieodwracalność postępowania Kuraczka; nie można było sprawdzić alternatywnych ścieżek, a serial kończył się bez możliwości ich cofnięcia i modyfikacji jako ciąg już raz wybranej i zatwierdzonej linii fabularnej.

Zasadnicza różnica między tymi dwoma produkcjami to innego rodzaju sprawstwo. Kuraczek podąża za kolektywną decyzją grupy, Stefan Butler – za indywidualną decyzją jednostki. Warto dodać, że jednostki nastawionej na eksploatację *wszystkich* możliwych scenariuszy przygotowanych w wielowymiarowych liniach fabularnych. Możemy zatem kierować Stefana, jak nam się podoba, sprawdzać alternatywy, a w razie niezadowolającego nas efektu zaczynać zabawę od początku. I jak tu nie wpaść w obłąd, prawda, Stefanie?

Może przesadzam, ale uważam, że *Bandersnatch* nie jest filmem, zdecydowanie bliżej mu do gier. Wielowątkowych gier RPG. Ale jest to gra niemal w stanie czystym; bez punktów doświadczenia, bez możliwości wyboru postaci, bez zdefiniowanej jasno mechaniki, ba! – nawet bez prawdziwego interfejsu (bo dwa klawisze to trochę za mało). To także gra, w której nasze decyzje mają konsekwencje, jednak nie dla gracza, lecz dla postaci; często wątpliwe moralnie (delikatnie mówiąc), jak doprowadzenie umęczonego Stefana do samobójstwa, a w wielu przypadkach stanowiące elementy gore – jak poćwiartowanie własnego ojca siekierą. Stefan już nie jako bohater, ale jako awatar, swoista cyfrowa kukielka, rzucana za pomocą naszej woli w wiele, często przypadkowych miejsc,

staje się czymś w rodzaju zabawki czy simsa, który nie wie, co lub kto kieruje jego poczynaniami. Układ? Spisek? A może sieć tajemniczych sił, których istnienia Stefan się tylko mętnie domyśla? Nieprzypadkowo twórcy osadzają akcję w wiele znaczącym 1984 roku; zdają się mrugać do nas okiem i szeptać do ucha: „Zobacz, jak fajnie jest być orwellowskim Wielkim Bratem, który nie tylko patrzy, ale też wpływa na absolutnie wszystko. I to z własnego fotela, nie wychodząc z domu. Kliknij i uśmierć Stefana – potem możesz go bezpiecznie ożywić. Zobacz, jaka to świetna zabawa”.

W tym sensie zabawa w *Bandersnatch* może być odbierana na pewnym poziomie jako eksperyment socjologiczno-etyczny, w którym w roli eksperymentatora nie występuje widz czy gracz, ale sami twórcy. Czy jest to eksperyment udany? Myślę, że do pewnego stopnia tak, ale traktuję go jak wstęp do czegoś bardziej złożonego, czegoś, co pozwoli nie tylko wybierać, ale także chociażby tworzyć nowe ścieżki – być może Netflix pójdzie w tym kierunku i zaproponuje coś z pogranicza gry, serialu i eksperymentu testującego naszą wrażliwość? Takie huberathowskie *Gniazdo światów*^[57], ale w obrazkach? Dające uczucie prawdziwej kontroli i sprawczości, a nie tylko jej namiastki? Poklikamy, zobaczymy.

A skoro już o kontroli mowa, przejdę płynnie do *Smithereens*, czyli do jednego z trzech odcinków piątego sezonu, który miał premierę w czerwcu 2019 roku. To w gruncie rzeczy mało „blackmirrorowa” historia, bo technologie występujące w świecie przedstawionym są obecne już teraz, a bohaterowie i ich otoczenie mogliby zachować się w podobny sposób dzisiaj. Mamy oto taksówkarz-porywacza o imieniu Chris, wszechobecne media społecznościowe i ich właściciela, który nie do końca ma wpływ na to, co stworzył. I ten właśnie wątek, bardziej niż narzekający na smartfony i wynikające z tego tragedie taksówkarz-filozof, najbardziej do mnie trafia. Właściciel serwisu *Smithereens*, Billy Bauer, to skrzyżowanie Marka Zuckerberga z ekstrawaganckim producentem filmowym z Hollywood (z lekką domieszką pop-Buddy). Odbieram go jako genialne dziecko epoki cyfrowej, które zrealizowało swój pomysł na fajną społecznościówkę, ale nie przewidziało, jak daleko może pójść jej globalna powszechność oraz, zgodnie z logiką późnokapitalistycznego rozwoju, monetyzacja tej marki i rosnąca zależność pomiędzy zarabianiem przez serwis pieniędzy z jednej strony a wpływem tej olbrzymiej sieci na zachowania zwykłych ludzi i instytucje – z drugiej.

W *Kodzie kapitalizmu*, błyskotliwej analizie współczesności, prof. Marcin Napiórkowski strona po stronie udowadnia, na czym polega utowarowienie niemal wszystkiego w obecnych czasach. Dochodzi też do wniosku, że aby skutecznie sprzedawać, trzeba niejako opakować produkt w nęcącą nabywcę ideologię, czyli kłamstwo. Najczęściej proste i ładne, o charakterze osobistej fikcji, bardzo trudnej bądź niemożliwej do zweryfikowania. „[...] W «starym» kapitalizmie, zdominowanym przez fetyszyzm towarowy, wszystko było na sprzedaż. W «nowym» kapitalizmie, podporządkowanym kultowi marki – wszystko sprzedaje” – pisze Napiórkowski i dodaje, że my sami (jako mikroinfluencerzy, fani czy zwykli użytkownicy) również kłamiemy^[58], aby sprzedawać – czy to siebie, czy marki, czy wizerunki. Często nawet nie będąc tego świadomi; czymże jest bowiem (spontaniczna?) dystrybucja lajków i udostępnień? Tu już nie chodzi o budowanie swojej tożsamości z marek, ale przejście do stanu, w którym my sami stajemy się markami. Zapatrzeni w ekrany smartfonów, skrolując terabajty danych i udostępniając własne, nie dostrzegamy tego i nie zdajemy sobie sprawy z tej słabości. „Niebo mogłoby się zrobić fioletowe i nikt by tego nie zauważył, bo patrzycie w dół na swoje telefony” – rzuca sfrustrowany Chris do porwanego chłopaka. I w pewnym sensie ma rację, bo porwał go, gdy ten wpatrywał się w swój smartfon.

Autor *Kodu kapitalizmu* zauważa też, że współczesne wielkie firmy odkleiły się od właścicieli. To bardzo ważne, bo nastąpiło rozdzielenie własności od zarządzania, czego konsekwencje pokazuje dziwna rozmowa Billy’ego z Chrisem o jego zmarłej w tragicznych okolicznościach dziewczynie. Mężczyzna nie rozumie, że rozmowa z właścicielem Smithereens to nie rozmowa z cesarzem czy też twórcą obecnie istniejącej platformy, ale raczej z namiestnikiem lub co najwyżej z wysokiej rangi, ale urzędnikiem, biurokratą ograniczonym licznymi formalnościami. Już nawet sama rozmowa z twórcą serwisu jest operacją niemal niemożliwą; instytucjonalne otoczenie Smithereens, nawet wbrew woli swego twórcy, izoluje go szczelnie na wielu poziomach, nie pozwalając ludziom z zewnątrz na jakikolwiek kontakt. Ciekawe w tym kontekście jest też działanie policji. W zderzeniu z wszechpotężnym algorytmem portalu, ogromnymi zasobami danych, sztabem specjalistów od przetwarzania informacji i niezmordowanymi komputerami zdaje się nic nieznaczącą, w sumie poczciwą instytucją z minionej epoki. Wie mniej niż algorytm, nie posiada tak zaawansowanych narzędzi i musi

ustąpić pola, prosząc (nie żądając!) o pomoc w rozbrojeniu porywacza prywatną korporację.

Moc mediów społecznościowych i ich ranga jest dziś potężna. Zwłaszcza jeśli chodzi o ochronę danej marki, praw własności intelektualnej, ale także łamanie zasad poprawności politycznej. „Na wniosek właściciela praw Facebook czy YouTube mogą w ciągu kilku dni zdecydować o zablokowaniu czy usunięciu niepokornej grupy albo konta «bezprawnie» posługującego się zastrzeżonymi znakami i nazwami. [...] Procedury karne największych mediów społecznościowych działają błyskawicznie, nieubłagane i w znacznym stopniu równoległe do panującego porządku prawnego. Od decyzji Facebooka czy Google’a nie przysługują odwołania do żadnych zewnętrznych instancji wyższych” – pisze Marcin Napiórkowski^[59]. Przerażające? A to dopiero początek. Nadchodzą nowe pokolenia, dla których taka rzeczywistość będzie normą. W dorosłość wchodzi obecnie Pokolenie Z, czyli ta generacja, która nie zna świata bez mediów społecznościowych. Są to osoby urodzone po 2000 roku, niemal od kołyski ze smartfonem w garści. Wróć do nich jeszcze przy okazji odcinka *Rachel, Jack i Ashley Too*, bo w tym miejscu chciałbym zagrać w *Striking Vipers*. W mordobicie, które okaże się, ku mojemu zaskoczeniu, pornoromansem.

Ten odcinek *Czarnego lustra* bierze na tapet wirtualną rzeczywistość. Robi to jednak w sposób, nawet jak na siebie, mocno nietypowy. Otóż nie jest to opowieść o wirtualnej rzeczywistości *per se*. W moim odczuciu jest to redefinicja pojęcia zdrady małżeńskiej i szeroko rozumianej tożsamości seksualnej. Ale od początku, bo podobnie jak w *Bandersnatchu* mamy tu grę komputerową, jednak zdecydowanie bardziej zaawansowaną niż wszystko to, co było do pomyślenia w latach 80. XX wieku (może jeden Stanisław Lem byłby skłonny to przewidzieć).

W grę gra dwóch przyjaciół (Danny i Karl), ale robią sobie wieloletnią przerwę, aby spotkać się na urodzinach Danny’ego. Karl wciąż jest samotny – kilka związków, w które się zaangażował, w końcu się rozpadło – za to Danny ma żonę Theo i wiecie w miarę ustabilizowane życie dosyć nudnego trzydziestoparolatka. I tu pojawia się prezent od Karla: najnowsza wersja gry, przy której dawno temu spędzali długie godziny. Danny dosyć niechętnie podchodzi do tematu, ale ostatecznie się przekonuje. Włącza konsolę, łączy się przez sieć z kumplem, odpalają grę i... przenoszą się do wirtualnej rzeczywistości – tak realnej, jak dla bohaterów realne było San Junipero czy kosmiczna podróż na USS Callister;

wytransferowany umysł „żyje” w świecie gry i zmienia się w postać, którą można wybrać z szerokiego wachlarza przed rozpoczęciem rozgrywki. Danny decyduje się na azjatyckiego karatekę, a Karl wciela się w seksowną blondwłosą wojowniczkę.

Zaczyna się walka. Ultrarealistyczna, jeśli chodzi o wygląd postaci i otoczenia, ale pełna umowności i komputerowej sztuczności, biorąc pod uwagę fizykę obiektów czy niespotykaną tężyznę wojowników. Gracze czują moc; umiejętności komputerowych awatarów przypominały mi niektóre rozwiązania z leciwego już, lecz wciąż sugestywnego *Matrixa*, a pragnienie graczy wcielenia się w nieskazitelne i silne postacie – marzenie Yorkie o życiu wiecznym w zdigitalizowanym niebie San Junipero. Jest moc, jest fun, i to na maksa!

Wszystko idzie dobrze, dopóki gracze nie wychodzą z ról fighterów. Gdy tylko je opuszczają, zaczyna się mała katastrofa. Wiedząc, że to jedynie awatary (wspominałem już, że seksowne?), zupełnie, niby przypadkiem, wpadają sobie w ramiona, całują się i zupełnie naturalnie zaczynają uprawiać seks. Seks, jakiego nie doświadczyli w całym swoim życiu; cudowny, technicznie podkreślony, niesamowicie zmysłowy – dzięki specjalnym łączom, które oddziałując bezpośrednio na mózg, doprowadzają dwójkę do niemal kosmicznych lub, jak kto woli, technologicznie doskonałych orgazmów.

Po uniesieniu wraca jednak codzienność. Trzeba się wylogować i spojrzeć prawdzie w oczy. „Czy ja właśnie przespałem się z najlepszym kumplem?” – myśli Danny i spogląda na śpiącą w sypialni żonę. Karl natomiast ma mniejsze opory; dla niego to wszystko jest sztuczne; jest czymś na kształt dzisiejszych sekskamerek albo seksu z kreskówki 3D, np. w stylu hentai; dostępne na wielu specjalistycznych platformach, dające wprawdzie mocne poczucie uczestnictwa, jednak poza fizycznym ciałem, które leżąc na kanapie przed konsolą, bezwiednie trzyma pada.

Dochodzi do kolejnych „walk”. I kolejnych wyrzutów sumienia – aż w końcu Danny postanawia pogadać z Karlem i sprawdzić, czy czuje do niego to samo w realu. Okazuje się, że zupełnie nie; nie jest przecież homoseksualistą. Zaskakujące?

W kontekście społecznych rozważań o problemach społeczności LGBT pojawia się pytanie, czy Danny i Karl są częścią tej wspólnoty. Czy ich płciowość, w dzisiejszych czasach powiedzielibyśmy zapewne o genderowej tożsamości, jest homo- czy heteroseksualna? Czy może biseksualna? W tym miejscu muszę się podzielić tezą, że jeśli transfer świadomości osiągnie taki poziom, jak

zaprezentowano w *Striking Vipers*, wspomnienie dzisiejszych dyskusji o społecznościach LGBT i definicji pojęcia tożsamości czy orientacji seksualnej będzie się wydawać rojeniem staroświeckich, bardzo naiwnych w pewnych kwestiach dyletantów. Oto bowiem, dzięki technologii, zmieniają się wszelkie możliwe definicje orientacji, a technologiczna płynność i dostępność będzie pozwalać na liczne eksperymenty bez społecznych konsekwencji; tak właśnie skończyła się zresztą historia tego trójkąta. W finale widzimy, jak Karl i Danny spotykają się co jakiś czas wirtualu w zamian za ciche przyzwolenie na seksspotkania Theo z mężczyznami (nawiasem mówiąc, nie była ona fanką nowej technologii; wolała staroświeckie „walki”). Zastanówmy się przez chwilę nad pojęciem, które pewnie chodzi Wam w tej chwili po głowie. Zdrada małżeńska. Jedynym jej desygnatem do tej pory była dosyć konkretna sytuacja polegająca na emocjonalnym i/lub fizycznym kontakcie z osobą trzecią (kontakcie do tej pory przysługującym jedynie współmałżonkowi). W obecnych czasach to się nieco zmieniło; wystarczy poczytać kobiece pisma, aby dowiedzieć się, że cyberseks może być przez niektóre kobiety traktowany jak zdrada, przez inne niekoniecznie. Podobnie jest z udziałem partnera bądź partnerki w sekszacie. Flirtowanie w realu i w wirtualu również dla niektórych oznacza zdradę, dla innych nie. Swingowanie tak samo. Pójdźmy dalej. Czy stosowanie przez kobietę popularnych sekskamerek to już prostytutka czy może sztuka? A jeśli jest zamężna, to czy jest to zdrada? Czy prezentowanie swojego ciała w określony sposób od razu narzuca nam interpretację według klucza starych definicji i klasycznych norm? Czy się im niefrasobliwie wymyka?

Byłem ostatnio w Toruniu na wystawie Mariny Abramović. Ta światowej sławy performerka testowała wrażliwość swojego ciała na wiele różnych sposobów: biczowała się, mdlała w podpalonej benzynie pięcioramiennej gwiazdzie, zachęcała innych do użycia na jej ciele niebezpiecznych narzędzi (należy dodać, że bez żadnych konsekwencji; w zestawie przedmiotów były m.in. gwoździe, łańcuchy czy nóż). Nie muszę dodawać, że niemal wszystkie te akty wykonywała nago. Na jednej z wystaw stała wraz ze swoim partnerem Ulayem w drzwiach; nie było możliwe wejście do środka bez otarcia się o parę nagich performerów. W przeszłości szokowała, dziś jest uznaną artystką, królową totalnego performance'u, który zawsze był pieczołowicie rejestrowany na różnych nośnikach, później odtwarzany, a także odgrywany przez innych artystów. Ciało Mariny to

jednocześnie jej narzędzie, za pomocą którego prezentuje publiczności swój przekaz. I teraz wyobraźcie sobie dziewczynę, która robi podobne rzeczy, ale jedynie wirtualnie; czy przychodzi Wam do głowy słowo camgirl?

Oczywiście nie jest moim celem trywializowanie przekazu Mariny Abramović poprzez zestawienie jej z wirtualną panienką, której występy są pokazami czysto erotycznymi, ale technicznie rzecz biorąc, w obydwu sytuacjach to właśnie ciało jest narzędziem, technologia dystrybucją, a efektem – zysk w konkretnej walucie. Skandal mocno się ostatnio upowszechnił i zmonetyzował, a stosując nomenklaturę Napiórkowskiego – utowarowił. Skutek tego taki, że z Mariną ma problem wyłącznie bogobojna prawica, zdecydowana większość zbywa jej twórczość wzruszeniem ramion, ale istnieje grupa jej wiernych fanów z krytykami sztuki na czele. Większość camgirls w tym kontekście to przasna kultura masowa dla, powiedzmy, wykluczonych estetycznie. Zarabiają jednak wszyscy.

Nie będę dalej rozwijał tego wątku i nie chcę brnąć w socjologię sztuki czy teorię pól Pierre'a Bourdieu. Chciałem tylko pokazać, że technologia nie tyle redefiniuje klasyczne pojęcia, ile jest w stanie przeorać totalnie (niechże już będzie ten Bourdieu) nasze habitusy^[60] w sposób, jakiego nigdy byśmy się nie spodziewali. *Striking Vipers* pokazał, że takie redefinicje będą nie tylko możliwe i prawdopodobne, ale wręcz nieodzowne, i to właśnie technologia, nie ludzie, będzie za te procesy odpowiadać.

A czy technologia jest w stanie zmienić naszą tożsamość? Mój wykładowca socjologii ogólnej, prof. Wojciech Sitek, parafrazując klasyczne powiedzenie księcia Saliny^[61] („Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić”), powiedział na jednym z wykładów, że „jeśli chcemy zachować tożsamość, musimy ją zmienić”. Było to nawiązanie do polityki Mieszka I, który odrzucił pogaństwo (tożsamość swoją i swojego ludu), aby przyjąć chrześcijaństwo. W jakimś sensie zmienił naszą tożsamość i dzięki niemu jesteśmy, kim jesteśmy. Co ważne, w przeciwieństwie do silniejszego ówczesnie plemienia Prusów w ogóle jesteśmy, bo dzięki zmianie tożsamości przetrwaliśmy. Dostyc podobnie jest z technologią w *Czarnym lustrze*. W odcinku *Rachel, Jack i Ashley Too* pokazuje ona tożsamość w wielu różnych wymiarach, a także jej zmiany. Mnie interesuje ona w ujęciu socjologicznym i skupię się właśnie na tym aspekcie, odsuwając na bok kwestie, czy i kiedy transfer kopii mózgu człowieka na inny nośnik będzie możliwy (a tak dzieje się w przypadku Ashley Too – robota, którego

osobowość opiera się na zeskanowanym mózgu piosenkarki Ashley O granej przez Miley Cyrus).

Główna bohaterka, Rachel, w dniu swoich piętnastych urodzin dostaje od ojca w prezencie lalkę-robotę Ashley Too i zaprzyjaźnia się z nim. Nowy kompan Rachel uczy ją tańca, słucha tego, co dziewczyna ma do powiedzenia (w przeciwieństwie do znudzonej i lekko jędzowatej siostry oraz wycofanego ojca), doradza, pomaga w szkole, słowem – robi wszystko to, czego oczekuje się od przyjaciela, siostry lub rodzica. Ashley Too, oprócz tego, że jest masowo produkowanym gadżetem, który pomnaża biznes piosenkarki, jest też jedną z najważniejszych „osób” w konstelacji rodzinno-towarzyskiej nieśmiałej Rachel. Co więcej, robot przekonuje nastolatkę, aby ta wzięła udział w konkursie tanecznym organizowanym przez szkołę. Motywuje ją i pomaga w codziennych ćwiczeniach układu tanecznego; jest to oczywiście układ Ashley O (na jakże wielu poziomach przebiega tu utowarowienie! Ashley O nie tylko czerpie zyski z tantiem za sprzedaż robota, nie tylko reklamuje swoje piosenki w publicznych szkołach, ale też dociera ze swoim komercyjnym przekazem wprost w życie żywej osoby, a także w pewnym sensie ją zmienia – Rachel nie zdecydowałaby się na udział w konkursie, gdyby nie Ashley Too). Dlaczego to wszystko wydaje się takie łatwe? Czemu Rachel zaprzyjaźnia się z robotem i dlaczego, jak pomyśleliby ludzie urodzeni w XX wieku, nie ma dla niej różnicy pomiędzy tym, co sztuczne, a tym, co prawdziwe?

Otóż Rachel jest przedstawicielem (niezbyt typowym, ale do tego jeszcze wrócę) Pokolenia Z (lub Alfa; w tym kontekście są one do siebie podobne), o którym wspominałem wcześniej. Jest to pokolenie, dla którego technologia informatyczna i związane z nią wynalazki są nie tylko częścią jego życia od urodzenia (innego świata nie zna), ale także *naturalnym* otoczeniem. Pokolenie Z zostało dosyć dokładnie opisane w raporcie *Generacja Z – jak zrozumieć dziś pokolenie jutra*^[62]. „Przyszło im żyć w czasach, gdzie dostęp do technologii jest dużo łatwiejszy. Czasy są szybsze, bardziej dynamiczne [...]. Są znacznie bardziej świadomi świata współczesnego niż pokolenia wcześniejsze” – mówi Natalia Skrzypek z Dentsu Aegis Network Polska, jednego z twórców badania w wywiadzie dla Onetu^[63]. W odpowiedzi na pytanie prowadzącego o stereotypy dotyczące np. samolubnych zachowań, jakimi w społecznej świadomości cechuje się Pokolenie Z, Natalia Skrzypek przekonuje, że zetki nie są samolubnymi „cyfrowymi zombie” i mają

bardzo dobry kontakt z rodzicami; nie buntują się tak jak pokolenia wcześniejsze, a ich idolami są częściej rodzice niż celebryci (i tutaj postawa Rachel zdecydowanie się różni od postaw z wyników raportu).

Natalia Skrzypek dodaje też, że pokolenie to konsumuje świat offline i online z równym natężeniem; nie żyją jedynie w internecie, zależy im na relacjach w świecie rzeczywistym. A jeśli Rachel i jej świat rzeczywisty to piosenki Ashley O i jej lalka-robot Ashley Too? Psychologiczna granica pomiędzy tym, co wykreowane, a tym, co naturalne, jest równie płynna co trudna do wytyczenia; tożsamość piosenkarki jest świetnym tego przykładem. Ashley O to gwiazda młodzieżowa z różowymi włosami, która śpiewa słodkie i pozytywne popowe przeboje dla nastolatków. Jej kariery dogląda ciotka – pilnuje, aby żadne nieprawomyślności nie przychodziły jej do głowy. O jakie złe rzeczy może chodzić? O rysy na jej wizerunku.

Zauważmy, że widziana w mediach tożsamość Ashley (tej prawdziwej) jest *sztuczna* i zdecydowanie sztuczniejsza od tożsamości nieprawdziwej Ashley, która to była wzorowana na *prawdziwym* mózgu Ashley, a nie na kodeksie wizerunkowej tożsamości kontrolowanym przez jej ciotkę! Rachel ma zatem pełne prawo do nieodróżniania, która tożsamość jest prawdziwa, a która fałszywa. Ale... czy takie pytanie w ogóle można postawić? Postawić można, jednak odpowiedzieć nie sposób.

Ciekawa w tym kontekście wydaje się osobowość samej piosenkarki, która z jednej strony odniosła spektakularny sukces i jest masowo uwielbiana, a z drugiej – chce zmienić swój wizerunek na egzystencjalny i mroczny, bo to zdecydowanie bardziej współgra z jej charakterem. Ciotka nie chce o tym słyszeć i faszkuje Ashley lekami. Piosenkarka traci przytomność, trafia do szpitala i tam, za pomocą zmyślnego urządzenia, specjaliści sondują jej mózg „w poszukiwaniu nowych piosenek”. Zamiast jednak pozytywnych i skocznych melodii odkrywają poważniejsze i mniej wesołe treści. Kradną więc je i przerabiają na piosenki w stylu „starej” Ashley. Podczas koncertu na żywo – z hologramem Ashley O, a jakże, i jej głosem wprost z komputera – zadowolona publika dostaje to, czego chce; niejako afirmuje fałszywą tożsamość wyekstrahowaną z prawdziwej tożsamości prawdziwej Ashley. Poplątane? To nie wszystko.

W wyniku błędu, do jakiego dochodzi w układzie danych robota, Ashley Too uaktywnia wszystkie cechy prawdziwej Ashley, stając się nią bez żadnych filtrów;

początkowo lalka miała cały zestaw blokad, aby odbiorcy piosenek Ashley O nie czuli dyskomfortu. Zmiana jest fundamentalna dla całej fabuły. Odtąd jedynie robot jest prawdziwy (!). Jest jedyną „żyjącą” Ashley bez żadnych filtrów, upiększeń i fałszywych wizerunków. Kiedy dowiaduje się, że Ashley O jest w szpitalu i ciotka najprawdopodobniej maczała w tym palce, chce uwolnić (siebie? Ashley O?) i prosi o pomoc Rachel. Wraz z siostrą Rachel, Jack, ruszają uśpionej piosenkarcie na ratunek. Jako jeden z niewielu odcinków serialu *Rachel, Jack i Ashley Too* kończy się happy endem; Ashley zostaje uratowana, a na jej (już rockowym i ostrym) koncercie bawią się wspólnie Rachel, Jack i Ashley Too. Historia jest w wielu miejscach zabawna, ale daje nam sporo materiału do przemyśleń nie tylko o tożsamości, ale też o rodzinie i relacjach w jej obrębie i poza nim.

Pokolenie Z, Pokolenie Alfa (które nadejdzie po Z), a także w jakiejś części moje pokolenie (Milenialsi, czyli Pokolenie Y) jest w pewnym stopniu „skażone” technologią i nie potrafi wyrugować jej z codziennego życia. W relacjach z innymi też jesteśmy niejako na nich skazani; nie potrafimy żyć bez innych – ich ocen, porad, rozmów, preferencji czy samej tylko obecności. Wielość naszych twarzy i wizerunków zmieniamy zależnie od potrzeby. Boimy się zostać w tyle i chcemy za wszelką cenę być na bieżąco. Żyjemy życiem zewnątrzsterownym (w opozycji do wewnątrzsterownego: niezależnego i samowystarczającego), czyli takim, jakie przepowiedział David Riesman w książce *Samotny tłum*. Zauważa on, że „[...] poszukiwanym dziś produktem nie jest już surowiec czy maszyna, lecz osobowość. Odnosząc zewnątrzsterowną osobowość do właściwego jej ekonomicznego środowiska, widzimy, że osobowość tę charakteryzuje pewna szczególna cecha, którą określić można terminem zapożyczonym ze słownika oligopolistycznej konkurencji. Ten termin to «zróżnicowanie produktu»”^[64]. Rodzice natomiast, widząc zmieniający się rynek i permanentną zmienność, są „niezdolni wyposażyć swe dzieci w wyraźnie zarysowane modele ich samych i społeczeństwa, [...] mogą wpoić swym dzieciom jedynie dążność do sprostanania wymaganiom każdej sytuacji, jakkolwiek by ona była. Treść tych wymagań znajduje się poza ich wpływem; określa ją szkoła i grupa rówieśników, która pomoże również dziecku ustalić swe miejsce w społecznej hierarchii. Ale również te autorytety nie wypowiadają się jednoznacznie. Jednoznaczne zasady wyboru, które niegdyś przyświecały ludziom w okresie wewnątrzsterowności, wyszły z obiegu”^[65].

Mamy więc osobowość jako produkt, raczej słabą (w rozumieniu tradycyjnym) władzę rodzicielską oraz rozchwianie autorytetów i niejaki rozmycie w definiowaniu celów; możesz wprawdzie być, kim chcesz „na rynku osobowości”, ale twoje najmniejsze nawet wybory są szeroko oceniane i komentowane.

W rodzinie Rachel bardzo to widać. W postawach młodych ludzi widać to jeszcze bardziej. Elementy, których Riesman przewidzieć nie mógł, czyli media społecznościowe, to iście diabelscy pomocnicy w kształtowaniu się nowego typu człowieka. Ciekawostką, jaką należy przywołać w tym miejscu, jest to, że autor *Samotnego tłumu* opisywał owe zanikanie tradycyjnych więzi społecznych, a także postępującą ich instrumentalizację w roku... 1960 (wtedy ukazało się pierwsze wydanie książki). Niektóre z jego wówczas śmiałych i ostrych hipotez dziś brzmią jak oczywiste oczywistości.

Parafrazując zatem zdanie prof. Sitka, to świat zmusił nas do zmian, aby sam również mógł się zmienić. Czy na korzyść? To się okaże. Na pewno wyłoni się z tego jakoś nowa tożsamość, która na naszych oczach dopiero się kształtuje i umyka precyzyjnym opisom. Może, aby przetrwać, *musimy* się zmienić. Znowu.

Istnieje jednak coś, co w społeczeństwach lub większych grupach jest pewnym realnie istniejącym odniesieniem: kulturowym, społecznym czy tożsamościowym. Mam na myśli koncepcję tzw. mitu założycielskiego. Każde pokolenie ma swój mit założycielski, wydarzenie formacyjne, które przeżywane wspólnie sprawia, że staje się wyróżnikiem na tyle silnym, aby z całym przekonaniem mówić czy pisać o wspólnocie doświadczeń przy próbach analiz postaw i stylów życia danej generacji. Dla wielu był to np. Woodstock w 1969 roku, kiedy to miał miejsce największy zlot młodzieży na przestrzeni wielu dekad, a muzyka grana podczas festiwalu zmieniła historię rocka. Był to okres buntu, nowych paradygmatów w sztuce, kontestacji zastanego porządku, czas nowej energii, wielkich idei (pacyfizmu, wolnej miłości, braterstwa dzieci kwiatów). Mit, który zakorzenił się bardzo silnie i do dziś jest żywo dyskutowany. Zastanawiałem się, czy w obecnych czasach pierwszej połowy XXI wieku takie wydarzenie miało miejsce. Czy *Czarne lustro*, które wybiegając nieco w przyszłość, śledzi tak naprawdę współczesność i wytyka jej błędy, a także wskazuje ludzkości ścieżki, którymi iść nie należy, stawia takie pytania? Czy mit założycielski nie jest może frazesem w dobie mitu jednostkowego, który definiujemy indywidualnie i z osobna? Każdy sam przed swoim smartfonem czy migoczącym ekranem laptopa, konsultując swoją ważność

i prawdziwość w mediach społecznościowych. Słowem, gdzie i czy w ogóle istnieje Woodstock dla Pokolenia Z (i w jakimś stopniu Pokolenia Y)? Cóż, wydaje mi się, że istnieje, i chyba wiem, gdzie się znajduje. Przychodzi mi do głowy jedno, bardzo konkretne słowo. Tym słowem jest Netflix.

Patryk Młynek, Wydawnictwo Dolnośląskie

BIBLIOGRAFIA

WSTĘP. HISTORIE Z TEGO ŚWIATA

[1] Wywiad „Creator Charlie Brooker Explains... *Black Mirror: White Christmas*” (dostępny w serwisie YouTube) [dostęp 16.07.2019].

[2] Nikołaj Bierdiajew, *Nowe średniowiecze. Los człowieka we współczesnym świecie*, tłum. M. Reutt, Poznań 1984, s. 3.

I. COMPUTER LOVE

[3] *OKCupid row: Hurrah for our less than perfect matches! Online dating isn't a science*, <https://www.telegraph.co.uk/women/sex/11000204/OKCupid-online-dating-row-Hurrah-for-our-less-than-perfect-matches.html> [dostęp 10.07.2019].

[4] Laura Entis, http://www.nbcnews.com/id/55749644/ns/business-small_business/t/okcupid-founder-if-you-use-internet-youre-subject-hundreds-experiments [dostęp 10.07.2019].

[5] Danez Smith, *Don't Call Us Dead*, Graywolf Press 2017.

[6] C. Stewart Gillmor, *Stanford, the IBM 650, and the First Trials of Computer Date Matching*, <https://ieeexplore.ieee.org/document/4211741> [dostęp 10.07.2019].

[7] <https://ieeexplore.ieee.org/document/4211741> [dostęp 10.07.2019].

[8] Ugo Fasolo, *Le varianti e l'invariante*, Rusconi 1976.

[9] Milo de Angelis, *Tema dell'addio*, Mondadori 2014.

[10] Christian Rudder, *Notes: Introduction [w:] Dataclysm: Love, Sex, Race, and Identity – What Our Online Lives Tell Us about Our Offline Selves*, Broadway Books 2015.

[11] Benjamin Winterhalter, *Don't Fall in Love on OkCupid*, <https://daily.jstor.org/dont-fall-in-love-okcupid/> [dostęp 10.07.2019].

[12] *Online Dating: A Critical Analysis From the Perspective of Psychological Science*, http://faculty.wcas.northwestern.edu/elifinkel/documents/2012_FinkelEastwickKarneyReisSprecher_PSPI.pdf [dostęp 16.07.2019].

II. ŻYĆ BEZ KOŃCA

[13] Elmo Keep, <https://www.theverge.com/a/transhumanism-2015> [dostęp 10.07.2019].

[14] Giacomo Leopardi, *Zibaldone di pensieri* [w:] *Pensieri di varia filosofia e di bella letteratura*, Le Monnier, Firenze 1921, s. 498.

[15] Giacomo Leopardi, *Zibaldone di pensieri*, Mondadori 2004, s. 79.

[16] <https://carboncopies.org/mission/> [dostęp 10.07.2019].

[17] Rafi Letzter, *Brain-Uploading Company Has No Immediate Plans to Upload Brains*, <https://www.livescience.com/62212-nectome-grant-mit-founder.html> [dostęp 10.07.2019].

[18] Mark O'Connell, 'Your animal life is over. Machine life has begun.' *The road to immortality*, <https://www.theguardian.com/science/2017/mar/25/animal-life-is-over-machine-life-has-begun-road-to-immortality> [dostęp 10.07.2019].

III. ZAUFAM MI

[19] <http://www.righttimemarketer.com/2017/04/27/97-say-customer-reviews-influence-purchase-decision/> [dostęp 16.07.2019].

[20] Paul Kemp Robertson, Chris Barth, *The Contagious Commandments: Ten Steps to Brand Bravery*, Portfolio Penguin 2018.

[21] Mara Hvistendahl, *Inside China's Vast New Experiment in Social Ranking*, <https://www.wired.com/story/age-of-social-credit/> [dostęp 16.07.2019].

IV. PAMIĘĆ ABSOLUTNA

[22] <http://eyetap.blogspot.com/> [dostęp 16.07.2019].

[23] Jorge Luis Borges, *Pamiętliwy Funes*, tłum. S. Zembrzuski [w:] tegoż, *Fikcje*, Warszawa 2003.

[24] Tamże.

V. OSZUSTWO

[25] Rebecca Hawkes, *From Rogue One's Peter Cushing to Audrey Hepburn: 6 stars who were digitally brought back to life*, <https://www.telegraph.co.uk/films/0/rogue-ones-peter-cushing-audrey-hepburn-stars-digitally-brought/> [dostęp 16.07.2019].

[26] Conner Schwerdtfeger, *Even Twilight: Breaking Dawn's Director Knows That Bella's Baby Was A Mess*, <https://www.cinemablend.com/news/1633259/even-twilight-breaking-dawns-director-knows-that-bellas-baby-was-a-mess> [dostęp 16.07.2019].

VI. AWATAR WALKI, AWATAR WŁADZY

[27] Jaron Lanier, *Ten Arguments for Deleting Your Social Media Accounts Right Now*, 2018.

[28] Siva Vaidhyanathan, *Antisocial Media: How Facebook Disconnects Us and Undermines Democracy*, 2018.

[29] Jamie Bartlett, *The People Vs Tech: How the Internet is Killing Democracy (and how We Save It)*, 2018; polski przekład: *Ludzie przeciw technologii. Jak Internet zabija demokrację i jak ją możemy ocalić*, tłum. K. Umiński, Katowice 2019, s. 40.

[30] Tamże, s. 42.

VII. BEZ OBAW

[31] Monica Anderson, *Parents, Teens and Digital Monitoring*, <https://www.pewinternet.org/2016/01/07/parents-teens-and-digital-monitoring/> [dostęp 16.07.2019].

[32] Nick Wingfield, *Should You Spy on Your Kids?*, <https://www.nytimes.com/2016/11/10/style/family-digital-surveillance-tracking-smartphones.html> [dostęp 16.07.2019].

[33] <https://www.wired.co.uk/article/uk-school-surveillance-technology> [dostęp 10.07.2019].

[34] Lorenzo Franceschi-Bicchieri, Joseph Cox, https://www.vice.com/en_us/article/53vm7n/inside-stalkerware-surveillance-market-flexispy-retina-x [dostęp 16.07.2019].

[35] Judith Shulevitz, *Big Mother Is Watching You*, <https://newrepublic.com/article/115347/parental-surveillance-creepy-new-ways-spy-your-kids> [dostęp 16.07.2019].

[36] Tonya Rooney, *Spying on your kid's phone with Teensafe will only undermine trust*, <http://theconversation.com/spying-on-your-kids-phone-with-teensafe-will-only-undermine-trust-40385> [dostęp 16.07.2019].

[37] <https://logger.mobi/blogs/how-do-i-track-my-boy-friend-or-husband/> [dostęp 16.07.2019].

[38] Geoff Manaugh, *The City That Remembers Everything*, <https://www.theatlantic.com/technology/archive/2018/02/james-joyce-as-police-operation/553817/> [dostęp 16.07.2019].

[39] Tamże.

VIII. PODŁĄCZENI I OCALENI

[40] Julia Naftulin, *Here's how many times we touch our phones every day*, <https://businessinsider.com.pl/international/heres-how-many-times-we-touch-our-phones-every-day/vh0m39c> [dostęp 20.07.2019].

[41] <https://www2.deloitte.com/uk/en/pages/press-releases/articles/uk-public-glued-to-smartphones.html> [dostęp 20.07.2019].

[42] <https://www.theguardian.com/technology/2017/oct/07/google-boss-sundar-pichai-tax-gender-equality-data-protection-jemima-kiss> [dostęp 20.07.2019].

[43] Julia Carrie Wong, *Facebook overhauls News Feed in favor of 'meaningful social interactions'*, <https://www.theguardian.com/technology/2018/jan/11/facebook-news-feed-algorithm-overhaul-mark-zuckerberg> [dostęp 20.07.2019].

[44] <https://economictimes.indiatimes.com/magazines/panache/sundar-pichai-android-p-jomo-shush-make-headlines-at-the-google-i/o-2018/articleshow/64086095.cms> [dostęp 20.07.2019].

[45] <https://www.apple.com/siri/> [dostęp 20.07.2019].

[46] Brian K. Vaughan, Marcos Martin, Muntsa Vicente, *The Private Eye*, Bao Publishing 2017.

[47] Tamże.

[48] Brian X. Chen, *I Used Apple's New Controls to Limit a Teenager's iPhone Time (and It Worked!)*, <https://www.nytimes.com/2018/07/11/technology/personaltech/apple-iphone-screen-time.html> [dostęp 20.07.2019].

IX. GDZIE KONIEC, TAM NOWY POCZĄTEK

[49] Yuval Noah Harari, *Sapiens. Od zwierząt do bogów*, tłum. J. Hunia, Kraków 2019.

[50] <https://www.nbcnews.com/meet-the-press/video/conway-press-secretary-gave-alternative-facts-860142147643> [dostęp 20.07.2019].

[51] Michael R. Ott, *The Migration of Religious Longing for the „Other” into the Historical Materialist Critical Theory of Utopia in the thought of Theodor W. Adorno and Ernst Bloch* [w:] *The Dialectics of the Religious and the Secular: Studies on the Future of Religion*, Lejda 2014, s. 38.

POSŁOWIE. CZARNE LUSTRO PRZED CZARNYM LUSTREM

[52] Neil Postman, *Zabawić się na śmierć*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2002, s. 225.

[53] Tamże.

[54] <https://www.theguardian.com/commentisfree/2009/aug/24/charlie-brooker-screens-invasion> [dostęp 20.07.2019].

[55] <https://www.ft.com/content/915affc0-e4a8-11e7-97e2-916d4fbac0da> [dostęp 20.07.2019].

[56] Neil Postman, tamże.

Od Wydawcy POLSKIEGO

[57] W powieści *Gniazdo światów* Marek S. Huberath proponuje czytelnikowi pewną grę. W dużym skrócie: jeśli przestaniemy czytać, jeden z bohaterów przeżyje; czytając – uśmiercamy go.

[58] Marcin Napiórkowski, *Kod kapitalizmu. Jak Gwiezdne wojny, Coca-Cola i Leo Messi kierują twoim życiem*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019, s. 32.

[59] Tamże, s. 15.

[60] Habitus to system trwałych i przekazywalnych dyspozycji określających nasz sposób bycia; szeroko rozumiane sposoby myślenia i działania, kompetencje i umiejętności zinternalizowane w procesie socjalizacji jednostki. Koncepcja habitusu zakłada jego elastyczność; jednostki są w stanie przyjmować jedną z wielu istniejących strategii, by kwestionować zastany porządek społeczny. Pojęcie habitusu najpełniej opisał Pierre Bourdieu w pracy *Szkic teorii praktyki poprzedzony trzema studiami na temat etnologii Kabylów*, a także w *Zmyśle praktycznym*.

[61] Giuseppe Tomasi di Lampedusa, *Lampart*, przeł. Zofia Ernstowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1963, s. 31.

[62] Szczegóły oraz raport do pobrania na stronie: pokolenie-z.pl.

[63] Wywiad dostępny na stronie: <https://www.youtube.com/watch?v=QD0QszFFW90>
[dostęp 28.08.2019].

[64] David Riesman, *Samotny tłum*, przeł. Jan Strzelecki, Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2011, s. 78.

[65] Tamże, s. 79.

[1*] Chodzi o opowiadanie *Pamiętliwy Funes* ze zbioru *Fikcje* (przyp. red.).

[2*] Pod koniec 2018 roku pojawiła się informacja o zamknięciu Laboratorium Building 8. Jak poinformował jednak portal Business Insider Polska, cytując rzecznika koncernu: „Zespół będzie rozwijał swoje projekty w ramach innych struktur” (przyp. red.).

[3*] Mangaka – twórca mangi (przyp. red.).

[4*] Transhumaniści żartują, że litery kodu genetycznego: A, C, G, T, należałoby zastąpić przez: H, Y, P, E (*ang. odlot*) (przyp. tłum.).

Kiedy **Netflix** zaprezentował doskonały serial *Black Mirror*, wszyscy oniemieli. Fascynacja widzów mieszała się z prawdziwym strachem. W książce omówiono wszystkie odcinki i sezony serialu, kompleksowo i wyczerpująco przedstawiając powiązania między wątkami filmowymi a światem, w którym żyjemy lub żyć będziemy. Okazuje się, że nowe technologie i ich powszechność nie tylko zwiększają komfort i poprawiają jakość naszego życia, ale też zmieniają społeczeństwo, i to w wielu wymiarach: psychologicznym, politycznym, a także moralnym. *Black Mirror* przestaje być jedynie fikcją – w coraz większym stopniu staje się rzeczywistością.

Pierwsze dwa sezony Black Mirror uważam za najlepszą rzecz, jaką pokazała telewizja w drugiej dekadzie XXI wieku [...]. Grasz, oglądasz, klikasz? Masz komórkę w kieszeni? Tablet przy sobie? Obchodzi Cię anonimowość w sieci? To jest serial o człowieku w zetknięciu z technologią, a więc zdecydowanie o Tobie, czytelniku tych słów.

Rafał Oświeciński, recenzent, publicysta, związany z film.org.pl

Sądziecie, że Black Mirror to tylko serial? Ta książka brutalnie pokaże, jak bardzo się mylicie. Black Mirror to my. Czy raczej to, na co pozwoliliśmy technologii, wpuszczając ją do naszego życia.

Robert Ziębiński, pisarz, dziennikarz, były redaktor naczelny magazynu PLAYBOY

FABIO CHIUSI – dziennikarz, badacz kultury i polityki ery cyfrowej, ekonomista i filozof nauki. Publikował na łamach „L'Espresso”, „la Repubblica”, „la Lettura” oraz „Wired”. Koordynował program PuntoZero analizujący wpływ innowacji na proces tworzenia polityki. Członek Centro Nexa – akademickiego stowarzyszenia przy Politechnice Turyńskiej badającego społeczeństwo informacyjne.

Patronaty:

